

Carlos
Fuentes
Pieśń ślepców



Czytelnik

Carlos
Fuentes
Pieśń ślepców

*przełożyła
Kalina
Wojciechowska*

*1973
Warszawa
Czytelnik*

Nie nam dane to pozyskać,
Od żalości wynędzniałym,
Ślepym, słabym i zbolałym.

(Arcipreste de Hita,
Księga Dobrej Miłości)

DWIE ELENY

José Luisowi Cuevas

— Nie wiem, skąd jej się biorą te pomysły. Nie była wychowana w ten sposób. Ty także nie, Wiktorze. Ale faktem jest, że małżeństwo ją zmieniło. Tak, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Myślałam, że mój mąż dostanie ataku. O tych jej poglądach nie można dyskutować, a już na pewno nie podczas obiadu. Moja córka bardzo dobrze wie, że jej ojciec musi jeść w spokoju. Inaczej od razu podnosi mu się ciśnienie. Tak mu powiedział lekarz. A ostatecznie ten lekarz wie, co mówi. Nie na próżno bierze dwieście pesos od wizyty. I proszę bardzo, pomów z Eleną. To, co ja mówię, nie robi na niej wrażenia. Powiedz, że znosimy cierpliwie wszystko. Pogodziliśmy się z tym, że zaniedbuje dom po to, żeby się uczyć francuskiego. I z tym, że chodzi na te dziwaczne filmy do jakiejś spelunki, pełnej tych chłopaków z długimi włosami. I nawet nam nie przeszkadzają te jej czerwone pończochy, jak u pajaca. Ale żeby podczas obiadu przekonywała ojca, że kobieta może żyć z dwoma mężczyznami, którzy się wzajemnie „uzupełniają”! Wiktorze, dla wła-

snego dobra musisz wybić takie poglądy z głowy twojej żony.

Od czasu obejrzenia filmu „Jules i Jim” w klubie filmowym Elenę coś napadło i nabrała zwyczaju wszczynania bitwy w czasie niedzielnego obiadu — jedyne go zebrania obowiązującego w rodzinie. Po wyjściu z kina wsiedliśmy do naszego MG i pojechaliśmy na kolację do „Coyote Flaco” w Coyoacán. Elena wyglądała jak zwykle bardzo pięknie, w czarnym swetrze, skórzanej spódnicy i tych pończochach, które tak się nie podobają jej mamie. Prócz tego zawiesiła sobie na szyi łańcuszek z wisiorkiem z nefrytu, który, jak twierdzi jeden z jej przyjaciół, przedstawia księcia Miksteków, Uno Muerte. Elena, zawsze taka wesoła i beztroska, tego wieczora wydawała się pełna napięcia: policzki miała czerwone i ledwie kiwnęła głową przyjaciołom, którzy zwykle zbierają się na pogawędkę w tej nieco staroświeckiej restauracji. Zapytałem jej, co chce zamówić, i nie odpowiedziała mi, zamiast tego ujęła moją rękę i spojrzała mi w oczy. Zamówiłem dwa *pepitos*.

Elena tymczasem potrzasała grzywą koloru bladoróżowego i gładka się po szyi.

— Wiktor, mój nibelungu, pierwszy raz zrozumiałam, że mają rację mizoginiści, że my, kobiety, narodziłyśmy się, żeby nas nienawidzić. Nie będę dłużej udawać. Odkryłam, że mizoginia jest warunkiem miłości. Wiem,

że się mylę, ale im większe będę miała wymagania, tym bardziej będziesz mnie nienawidził i próbował mnie zadowolić. Wiktor, nibelungu, musisz mi kupić strój dawnego marynarza, jak ten, w którym występuje Jeanne Moreau.

Powiedziałem jej, że z największą chęcią, byleby nadal oczekiwała wszystkiego ode mnie. Elena pogłaskała moją rękę i uśmiechnęła się.

— Wiem, że jeszcze się nie wyzwoliłeś, kochanie. Ale ufaj. Kiedy dasz mi już wszystko, czego mogę zażądać, sam zechcesz, żeby inny mężczyzna dzielił z nami życie. Ty sam zechcesz być Juliuszem. Ty sam poprosisz, żeby Jim zamieszkał z nami i dźwigał ciężar. Czyż nie tak powiedział tamten blondyn? Kochajmy się, kochajmy jedni drugich.

Pomyślałem, że Elena może mieć rację, jeśli chodzi o przyszłość. Po czterech latach małżeństwa wiedziałem, że przy niej wszystkie reguły moralności nauczanej w dzieciństwie muszą zniknąć w jakiś naturalny sposób. To zawsze w niej kochałem: jej naturalność. Nigdy nie przeczy jakiejś regule po to, żeby ją zastąpić inną, tylko po to, żeby otworzyć jakby pewien rodzaj drzwi, jak w książeczkach dla dzieci, gdzie każda ilustrowana stronica zapowiada jakiś ogród, jaskinię lub morze, do których wchodzi się przez otwór ukryty na stronicy poprzedniej.

— Nie chcę mieć dzieci wcześniej niż w sześć lat po ślubie — powiedziała mi któregoś wieczora, leżąc z głową na moich kolanach, w ciemnym salonie naszego domu, podczas gdy słuchaliśmy płyt Cannonballa Adderley. A innym razem w tym samym domu w Coyoacán, który udekorowaliśmy polichromią i maskami kolonialnymi o hipnotycznych oczach: „Ty nigdy nie chodzisz na mszę i nikt na to nic nie mówi. Ja też nie będę chodzić i niech sobie gadają, co chcą”. Albo na tym poddaszu, które nam służy za sypialnię i w jasne ranki widać stamtąd światło wulkanów: „Pójdę dzisiaj na kawę z Alejandrem. To wielki malarz, ale onieśmiałaby go twoja obecność, a ja potrzebuję, żeby mi wytłumaczył niektóre rzeczy”. Albo idąc za mną po deskach łączących nie dokończone mieszkania w domach, które buduję w Desierto de los Leones: „Pojadę na dziesięć dni w podróż po kraju”. Albo kiedy z pośpiechem pijemy kawę w „Tyrolu”, po południu, podnosząc rękę, żeby pozdrowić znajomych przechodzących ulicą Hamburgską: „Dzięki, że pozwoliłeś mi zwiedzić ten burdel, nibelungu. Wydał mi się czymś z czasów Toulouse-Lautrec’a, niewinny jak opowiadanie Maupassanta. Widzisz? Teraz dowiedziałam się, że grzech i deprawacja nie są tam, tylko gdzie indziej”. Albo po prywatnym pokazie „Anioła zagłady” : „Wiktor, moralne jest wszystko to, co

daje życie, a niemoralne to, co odbiera życie, prawda?”

I teraz powtórzyła to z ustami zapchanymi kawałkiem sandwicza:

— Prawda, że mam rację? Jeżeli *ménage à trois* * daje nam życie i radość, i nasze osobiste stosunki we trójkę stają się lepsze od tych, jakie nas łączyły w życiu we dwójkę, prawda, że to jest moralne?

Kiwnąłem głową potwierdzająco, jedząc i słuchając syczenia duszącego się w tłuszczu mięsa. Kilku przyjaciół stało przy rożnach i piecykach, po czym, dopilnowawszy, by zamówione przez nich potrawy znalazły się w tym stadium smażenia czy pieczenia, w jakim sobie życzyli, przysiedli się do nas i Elena znowu zaczęła śmiać się, żartować i była taka jak zawsze. Wpadłem na niefortunną myśl dokonania przeglądu otaczających nas twarzy przyjaciół i każdego po kolei wyobrażałem sobie zainstalowanego w moim domu, przydzielającego Elenie tę porcję uczucia, namiętności czy podniety intelektualnej, jakiej ja, po wyczerpaniu moich możliwości, nie mogłem jej już ofiarować. Obserwując to czy inne oblicze wyrażające skwapliwą gotowość słuchania (a mnie czasem nuży słuchanie mojej żony), uprzejmą ofertę wypełnienia braków czy poprawienia błędów rozumowania

Ménage à trois (fr.) — małżeństwo we troje.

(ja wolę, żeby w tym, co ona mówi, brakowało logiki i konsekwencji), skłonność formułowania pytań precyzyjnych i, według ich autora, rewelacyjnych (a ja nigdy nie posługuję się słowem, tylko gestem czy telepatią, żeby poruszyć Elenę), pocieszałem się, mówiąc sobie, że w końcu dadzą jej tę odrobinę, którą mają do zaofiarowania jako deser, pożywkę, dodatek. Ten, z fryzurą *à la* Ringo Starr, zadał jej precyzyjne i rewelacyjne pytanie, dlaczego jest mi nadal wierna, a Elena odpowiedziała mu, że niewierność jest dzisiaj regułą, jak dawniej komunizm w pierwsze piątki miesiąca, i przestała na niego patrzeć. Tamten drugi, z szyją czarnego żółwia, zinterpretował na swój sposób odpowiedź Eleny, dodając tonem wykluczającym wszelki sprzeciw, że wierność staje się dziś postawą buntowniczą. Trzeci, w idealnie skrojonym tużurku z epoki wiktoriańskiej, intensywnym spojrzeniem spode łba zaprosił moją żonę do dalszego mówienia: on miał być idealnym słuchaczem. Elena podniosła rękę i kazała kelnerowi przynieść kawę.

Szliśmy, trzymając się za ręce, brukowanymi ulicami Coyoacán, pod jesionami, przeżywając kontrast upalnego dnia z wilgotną nocą, która, po wieczornym ulewnym deszczu, przywracała błysk naszym oczom i rumieńce policzkom. Oboje lubimy chodzić piechotą w milczeniu, ze spuszczoną głową i splecio-

nymi rękami, po tych starych ulicach, które od początku były punktem stycznym naszych wspólnych skłonności do asymilacji. Myślę, że o tym nie mówiliśmy sobie nigdy, ani Elena, ani ja. I nie trzeba. Pewne jest to, że sprawia nam przyjemność, spotkanie z dawnymi rzeczami, jak gdybyśmy je wydobywali z jakiegoś bolesnego zapomnienia lub, dotykając ich, dawali im nowe życie, albo też szukając dla nich w domu miejsca, odpowiedniego światła lub otoczenia, bronili się sami przed podobnym zapomnieniem w przyszłości. Pozostaje klamka z lwią paszczą, którą znaleźliśmy na jakiejś hacjendzie w Los Altos i którą głaszczemy otwierając się domu, wiedząc, że każde dotknięcie ją niszczy; zostaje kamienny krzyż w ogrodzie, oświetlony żółtą lampką z wyobrażeniem czterech rzek stykających się w jednym punkcie, czterech serc, wyrwanych może przez te same ręce, co później wyrzeźbiły kamień; i pozostają cztery konie jakiejś od dawna rozmontowanej karuzeli, niby maszkarony na dziobie brygantyn, które spoczną na dnie morza, jeśli nie ukażą swego drewnianego szkieletu na jakiejś plaży pośród uroczystych papug i konających żółwi.

Elena zrzuca sweter i rozpala kominek, podczas gdy ja szukam płyt Cannonballa, przygotowuję kieliszki piółunówki i kładę się na tapczanie, czekając na nią. Elena pali papierosa z głową na moich kolanach i oboje słu-

chamy powolnej melodii saksofonu Hermana Lateef, którego poznaliśmy w nowojorskim „Gold Bug”, przypominając sobie tę twarz czarownika z Kongo w stroju Disraeliego, jego oczy śpiące i wielkie jak dwa afrykańskie węże boa, jego bródkę stuprocentowego Sven-gali i sine wargi przylgnięte do saksofonu, który odbiera Murzynowi głos, każąc mu przemawiać z elokwencją tak obcą jego ochrypłemu, prawdopodobnie, bełkotowi z dnia poprzedniego; i jęklliwe, powolne tony, które nigdy nie zdołają wypowiedzieć tego, co chcą, bo są tylko, od początku do końca, poszukiwaniem i przybliżeniem, pełnym dziwnej wstydlivosti, otwierają mu drogę do naszych zmysłów, smaku i dotyku, zaczynającego od-twarzać kształt instrumentu Lateefa: tylko za-powiedź, preludium, ograniczenie do rozkoszy wstępnych, które dlatego przeobrażają się w sam akt.

— Murzyni amerykańscy odgrzewają wła-sciwie na swoim ogniu pieczeń dla Białych — mówi Elena, kiedy zajmujemy nasze zwykłe miejsca przy ogromnym chippendale’owskim stole w jadalni jej rodziców. — Miłość, mu-zyka, żywotność Murzynów zmuszają Białych do usprawiedliwiania się. Pomyślcie, że teraz Biali prześladują fizycznie Murzynów, bo wre-szcie zrozumieli, że Murzyni prześladują ich duchowo, biją ich w walce psychologicznej.

— W takim razie dziękuję Bogu, że tu nie

ma Murzynów — mówi ojciec Eleny nabiera-jąc na talerz zupy z porów, którą podaje mu w dymiącej porcelanowej wazie chłopak, tu-bylec, pełniący poza tym w ciągu dnia funkcje ogrodnika w ogrodach letniej rezydencji na Las Lomas.

— Ale cóż to ma wspólnego, tatusiu? To tak, jakby Eskimosi dziękowali Bogu, że nie są Meksykanami. Każdy jest, kim jest, i ko-niec. Ciekawe jest tylko to, co się dzieje, kiedy nawiązujemy kontakt z kimś, kto nam każe wątpić o słuszności naszych przekonań, a jednocześnie wiemy, że ten ktoś nam jest potrzebny. A potrzebny jest nam dlatego, że nam przeczy.

— Lepiej jedz zupe. Te rozmowy z każdą niedzielą stają się coraz bardziej idiotyczne. Ja tylko wiem, że nie wyszłaś za mąż za Mu-rzyna, prawda? Higino, podaj paszteciki.

Don José obserwuje Elenę i mnie, i swoją małżonkę z wyrazem triumfu, a doña Elena, matka, próbując ratować klejącą się z tru-dem rozmowę, relacjonuje swoją działalność z ubiegłego tygodnia, podczas gdy ja obser-wuję meble kryte brokatem koloru *bois de rose**, wazy chińskie, tiulowe firanki i dywa-ny z wigoniowej skóry w tym domu o pro-stych liniach, za którego ogromnymi oknami poruszają się na wietrze eukaliptusy z wą-

Bois de rose (fr.) — drzewo różane.

wozu. Don José uśmiecha się, gdy Higinio podaje mu paszteciki polane śmietaną, i jego zielone oczka przybierają wyraz satysfakcji, niemal o charakterze patriotycznym, takiej jaką się w nich widuje, kiedy Prezydent powiewa sztandarem w dniu 15 września, nie dorównującej jednakże roztkliwieniu, które go ogarnia, gdy zasiada, z cygarem w ustach, przed swoją „prywatną” szafą grającą i słucha bolera. Mój wzrok zatrzymuje się na bladej ręce donii Eleny, która bawi się okruszynami ciasta i opowiada z wysiłkiem o wszystkim, czym się zajmowała od czasu, gdy widzieliśmy się ostatnim razem. Słucham z daleka tej kaskady załatwionych spraw, wygranych i przegranych partii kanasty, odwiedzin w szpitalu dzieci z ubogich rodzin, nabożeństw, zabaw na cel dobroczynny, poszukiwania nowych firanek, utarczek ze służącymi, długich rozmów telefonicznych z przyjaciółmi, wizyt u księży, nowo narodzonych dzieci, lekarzy, zegarmistrzów, cukierników, stolarzy, itd., itd. Zatrzymałem wzrok na jej palcach, długich i pieszczotliwych, lepiących w tej chwili kulki z ciasta.

— ...powiedziałam im, żeby nigdy więcej nie przychodzili mnie prosić o pieniądze, bo ja nie zarządzam niczym. Odesłałam ich do biura twego ojca, niech porozmawiają z sekretarką.

...szczupły przegub ręki o ruchach omdle-

wających, bransoletka z medalionami (Chrystus z Cubilete, Rok Jubileuszowy w Rzymie i wizyta prezydenta Kennedy) rzeźbionymi w złocie i miedzi, które brzęczą, kiedy doña Elena bawi się gałeczkami z ciasta.

— ... dosyć człowiek robi udzielając im poparcia moralnego, nie wydaje ci się? Szukałam cię w czwartek, żebyśmy poszły razem na premierę „Diany”. Wysłałam nawet szofera rano, żeby stanął w ogonku po bilety, wiesz, jakie są ogonki w dzień premiery.

... i ramię pełne, o przezroczystej skórze, pod którą widać żyły, niby drugi szkielet, szklany, wyrysowany pod grubą białą warstwą...

— ... zaprosiłam twoją kuzynkę Sandritę i pojechałam po nią samochodem, ale zajęłyśmy się niemowlęciem i potem już było za późno na teatr. Śliczne dziecko! Ona ma do ciebie żal, bo nawet nie zadzwoniłaś do niej z powinszowaniem. Zatelefonować, to doprawdy niewielka fatyga, mogłabyś się na to zdobyć!

... i dekolt czarnej szyi ukazujący wysoko górną część piersi stromych i ściśniętych niby jakieś nowe zwierzę na nowym kontynencie...

— ... ostatecznie to nasza krewna. Nie możesz się wyprzeć więzów rodzinnych. Chciałabym, żebyście ty i Wiktor byli na chrzcinach w przyszłą sobotę. Pomogłam jej wybrać małe popielniczki, które otrzymają

w podarunku zaproszeni. I tak czas minął na pogawędce i bilety się zmarnowały.

Podniosłem wzrok. Doña Elena patrzyła na mnie. Natychmiast spuściła oczy i powiedziała, żebyśmy przeszli na kawę do salonu. Don José przeprosił towarzystwo i poszedł do biblioteki, gdzie ma tę elektryczną maszynę, która nadaje jego ulubione płyty, kiedy się wrzuci w szparę fałszywą dwudziestocentówkę. Usiedliśmy przy stoliku z kawą i z daleka usłyszeliśmy, jak ten *jukebox* zaczyna bulgotać, a potem grać melodię „Ty i ja”. Doña Elena tymczasem nastawiła telewizor, ale bez dźwięków, co nam wytłumaczyła na migi, kładąc palec na ustach. Patrzyliśmy na przesuwające się nieme obrazy jakiegoś filmu o ukrytym skarbie, w którym uroczysty mistrz ceremonii prowadził pięcioro uczestników — dwie dziewczyny nerwowe i uśmiechnięte, z fryzurą w kształcie ula, wytworną panią domu i dwóch mężczyzn, czarnowłosych i melancholijnych — do kryjówki, gdzie znajdował się czek, w ciasnym gabinecie pełnym wazonów, oprawnych książek i pozytywek.

Elena uśmiechnęła się siedząc koło mnie w półmroku salonu z marmurową posadzką i plastikowymi kwiatami.

Nie wiem, dlaczego przezwiała mnie „nibelungiem”, ale zaczęła teraz odmieniać i na wszelkie sposoby przekręcać to słowo.

Szare, falujące, porysowane kreskami osoby

szukały swego skarbu przed naszymi oczyma, a Elena, zwinięta w kłębek na kanapie, zrzuciła na dywan pantofle i ziewnęła, podczas gdy jej matka, korzystając z ciemności, utkwiała we mnie pytający wzrok swoich czarnych oczu, szeroko otwartych i podkrążonych. Założyła nogę na nogę i poprawiła sobie spódnice na kolanach. Z biblioteki dochodziły do nas przytłumione dźwięki bolera: „My, którzyśmy się tak kochali”, i raz po raz chrapanie don Josego, pogrążonego w poobiedniej drzemce. Doña Elena przestała na mnie patrzeć i utkwiała swoje wielkie czarne oczy w eukaliptusie poruszającym się za oknem na wietrze. Poszedłem za jej wzrokiem. Elena ziewała i mruzczała, z głową na moich kolanach. Pogłaskałem jej kark. Za naszymi plecami wąż, który przecina Wzgórza Chapultepec, zachował jakby w głębi na dnie światła, wyraźnie widoczne w ruchomej ciemności, która zginała pnie drzew i targała ich czupryny.

— Pamiętasz Veracruz? — spytała z uśmiechem matka zwracając się do córki, ale patrząc przy tym na mnie. Elena mruknęła coś, jakby potwierdzenie, drzemiąc na moich kolanach, a ja odpowiedziałem:

— Tak, byliśmy tam kilka razy.

— Podoba ci się miasto? — doña Elena wyciągnęła rękę i opuściła ją na kolana.

— Bardzo — powiedziałem. — Mówią, że

to ostatnie miasto śródziemnomorskie. Podobna mi się kuchnia tamtejsza. Ludzie też. Lubię przesiadywać długo pod arkadami, jeść *molletes* i popijać kawę.

— To moje strony rodzinne — powiedziała. Pierwszy raz zobaczyłem jej dołeczki w policzkach.

— Tak, wiem.

— Ale straciłam nawet tamtejszy akcent — roześmiała się ukazując dziąsła. — Wyszłam za mąż mając dwadzieścia dwa lata. A kiedy się mieszka w Meksyku, traci się akcent prowincjonalny. Poznałeś mnie już jako starszą damę.

— Wszyscy mówią, że pani i Elena wyglądają jak siostry.

— Ach, nie. Tylko teraz przypomniały mi się tamte burze, w nocy nad Zatoką. Kiedy słońce nie chce zatonać w morzu, robi się burza i wszystko jest zalane światłem jasnozielonym, upiornym, i człowiek dusi się za zamkniętymi okiennicami, czekając na deszcz. Deszcz tropikalny nie orzeźwia. Potem robi się jeszcze goręcej. I nie wiem, po co służba zamykała okiennice, ile razy zbierało się na deszcz. O wiele byłoby przyjemniej, gdyby strugi wody wpadały w otwarte okna.

Zapaliłem papierosa.

— Tak, robi się wtedy bardzo duszno. Ziemia uwalnia się od swoich zapachów tytoniu, kawy.

— A te sypialnie... — doña Elena zamknęła oczy.

— Jak to?

— Wtedy nie było szaf ściennych — przesunęła dłoń po lekkich zmarszczkach wokół oczu. — W każdym pokoju stała ogromna szafa i służący wkładali między bieliznę liście laurowe i tymianek. Zresztą do niektórych kątów nie dochodziło słońce i była wilgoć. Pachniało pleśnią, jak by to powiedzieć, mchem...

— Tak, wyobrażam sobie. Ja nigdy nie mieszkałem w tropikach. Tęskni pani za tym wszystkim?

Teraz pocierała jeden przegub o drugi i ukazywała żyły na rękach.

— Czasami. Trudno mi się przyzwyczać. Wyobraź sobie: wyszłam za mąż w osiemnastym roku życia, a potem już mnie uważano za starszą panią.

— I to wszystko przypomniała sobie pani patrząc na to dziwne światło w głębi wąwozu?

Doña Elena wstała.

— Tak, to są *spots*, które José kazał zainstalować w zeszłym tygodniu. Ładnie wyglądają, prawda?

— Zdaje się, że Elena zasnęła.

Połaskotałem ją w nos. Elena obudziła się i wróciliśmy samochodem do Coyoacán.

— Przepraszam cię za te niedzielne nasiedówki rodzinne — powiedziała Elena, kiedy

wychodziłem do pracy nazajutrz rano. — Ale nie ma na to rady. Musi pozostać jakaś więź z rodziną i życiem mieszczańskim, choćby tylko jako potrzeba kontrastu.

— Co będziesz dziś robiła? — spytałem zwi-
jając w rulon moje plany i biorąc teczkę.

Elena ugryzła figę, skrzyżowała ramiona i pokazała język zezowatemu Chrystusowi, którego kiedyś znaleźliśmy w Guanajato.

— Będę malować całe rano. Potem pójdę na obiad z Alejandrem, żeby mu pokazać moje ostatnie rzeczy. W jego pracowni. Tak, już ją urządził. Tam, w Olivar de los Padres. Po południu idę na lekcję francuskiego. Może wstąpię na kawę i potem czekam cię w klubie filmowym. Dają western mitologiczny „W samo południe”. Jutro umówiłam się z tymi chłopakami, Murzynami. Należą do Black Muslims i bardzo chcę wiedzieć, co myślą naprawdę. Rozumiesz, że wiemy o tym tylko z gazet? Rozmawiałeś kiedyś z Murzynem ze Stanów, nibelungu? Jutro po południu nie waż mi się przeszkadzać. Zamykam się i muszę przeczytać Nervalą od deski do deski. I niech Juan sobie nie wyobraża, że przyjdzie mnie nudzić ze swoim *soleil noir de la mélancolie** i udawać niepokieszonego wdowca. Już mu powiedziałam, co o tym myślę, i dam mu szko-

—
Soleil noir... (fr.) — Czarne słońce melancholii.
(Fragment wiersza Nervalą).

łę jutro wieczorem. Tak, urządza bal kostiumowy. Musimy pójść przebrani za „meksykańskie malowidła ściennie”. Trzeba to już raz zaliczyć. Kup mi kalie, bardzo cię proszę, Wiktorze, nibelunguito, a jeżeli chcesz, to przebierz się za okrutnego konkwistadora Alvarado, który piętnował rozpalonym żelazem Indianki, zanim je posiadał. „*Oh, Sade, where is thy whip*”.* Ach, a we środę gra Miles Davies w Mellas Artes. Jest już trochę *passé**, ale mimo wszystko mnie podnieca. Kup bilety. *Chao*, najdroższy.

Pocałowała mnie w kark i nie mogłem jej objąć z powodu rulonów z projektami, jakie miałem w rękach, ale zapaliłem silnik i ruszyłem, unosząc z sobą aromat figi i obraz Eleny ubranej w moją koszulę, rozpiętą i przewiazaną paskiem w okolicy pępka, w obciśłych spodniach *à la torero*, z bosymi nogami, przygotowującej się do ... będzie czytała poemat czy malowała obraz? Pomyślałem, że wkrótce mamy wyjechać razem w podróż. To nas zbliżało bardziej niż wszystko inne. Dojechałem do „periferico”. Nie wiem dlaczego, zamiast minąć most Altavista w kierunku Desierto de los Leones, wjechałem na okrężną autostradę i dodałem gazu. Czasem tak robię.

—
O h, S a d e, w h e r e... (ang.) — O, Sade, gdzie twa szpicruta.

P a s s é (fr.) — niemodny.

Chcę być sam i pędzić, i śmiać się, kiedy ktoś mi za coś wymyśla. I może zachować jeszcze na pół godziny obraz Eleny w chwili pożegnania, jej naturalność, jej złotawą skórę, jej zielone oczy, jej nieskończoną mnogość projektów, i myśleć, że jestem bardzo szczęśliwy przy niej, że nikt nie może być szczęśliwszy dzieląc życie z kobietą tak nowoczesną, tak żywotną... która mnie... która mnie tak uzupełnia.

Mijam hutę szkła, barokowy kościół, młyn diabelski, lasek cyprysowy. Gdzie to słyszałem to słowo? Uzupełniać. Okrążam fontannę Petroleos i wjeżdżam na Paseo de la Reforma. Wszystkie samochody pędzą w kierunku centrum miasta, które błyszczy w głębi za nieuchwytną i gęstą zasłoną dymu. Ja jadę w górę, na Lomas de Chapultepec, gdzie o tej godzinie zostały tylko panie domu i służba, bo mężowie wyjechali do pracy, a dzieci do szkoły, i gdzie zapewne moja druga Elena, moje dopełnienie, czeka w swoim ciepłym łóżku, z czarnymi podkrążonymi oczyma i białym ciałem, dojrzała i głęboka, pachnąca jak bielizna w szafach sypialnianych tropiku.

KRÓLOWA LALEK

Marii Pilar i Josemu Donoso

Poszedłem, bo ten bilecik, tak niezwykle, przypomniiał mi o jej istnieniu. Znalazłem go w zapomnianej książce, której stronicie ukazały mi widmo dziecięcej kaligrafii. Porządkowałem moją bibliotekę, po wielu latach zaniedbania. Wszystko było dla mnie niespodzianką, bo niektóre książki, umieszczone na najwyższych półkach, nie były dotykane od niepamiętnych czasów, tak dalece, że pozłacane brzegi stronic zaczęły się kruszyć i na moje otwarte dłonie spadał szarozłoty pył, niby werniks powlekający ciała widziane najpierw w marzeniach, a potem w budzącej rozczarowanie rzeczywistości baletu, który pierwszy raz w życiu oglądamy w teatrze. Była to książka mego dzieciństwa — może lektura wielu innych dzieci — i opowiadała szereg historii przykładowych, mniej lub bardziej brutalnych, z tych, co skłaniały nas do wdrapywania się na kolana starszych, by ich pytać bez końca: „dlaczego”. Niewdzięczni, marnotrawni synowie, dziewczęta porywane przez chłopców stajennych i powracające ze skruchą do domu, tak samo jak te, co dobrowolnie opuściły

domowe ognisko, starcy, którzy w zamian za oczyszczenie hipoteki żądali ręki najlepszej córki, najbardziej gotowej do poświęceń dla zagrożonej rodziny — dlaczego? Nie pamiętam odpowiedzi. Wiem tylko, że spomiędzy poplamionych stronic, trzepocąc w powietrzu jak biały motyl, wypadła karteczka ze straszliwą kaligrafią i ortografią Amilamii: „Amilamia nie zapomina pszyjaciela i szókaj mnie tu, gdzie narysowane”.

A po drugiej stronie nakreślony dziecinną ręką plan: ścieżka biegnąca od punktu X, niewątpliwie oznaczającego ławkę w parku, gdzie przesiadywałem wówczas całe godziny, zbuntowany przeciw narzuconej mi nudnej edukacji, niepomny rozkładu lekcji szkolnych i pogrążony w lekturze, która, jeśli nie została napisana przeze mnie, to taką mi się przynajmniej wydawała. Jakże miałem wątpić, że tylko z mojej wyobraźni mogli narodzić się ci wszyscy korsarze, kurierzy carscy, wszyscy ci chłopcy, trochę młodszy ode mnie, żeglujący przez całe dni po wielkich rzekach Ameryki. Siedząc na ławce z żelaznych prętów, malowanych na zielono, nie słyszałem z początku lekkich kroków przebiegających po żwirze ścieżki, nim zatrzymały się za moimi plecami. Była to Amilamia i nie wiedziałbym, ile czasu stała za mną w milczeniu, gdyby jej psotny duch nie kazał połaskotać mego ucha łodygą mleczka, który potem, z wydętymi wargami

i zmarszczonym czołem, usiłowała zdmuchnąć, wysyłając puch w moim kierunku.

Zapytała o moje imię i po chwili głębokiego namysłu powiedziała mi swoje, z uśmiechem, jeśli nie uderzająco szczerym, to bynajmniej nie wystudiowanym. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że Amilamia znalazła, by tak rzec, pośredni środek ekspresji, między uroczą niewinnością swego wieku a formami mimiki dorosłych, którą dobrze wychowane dzieci powinny znać i stosować przynajmniej w uroczystych momentach prezentacji i pożegnania. Powaga Amilamii była raczej jej darem naturalnym, gdy tymczasem, przez kontrast, jej chwile spontaniczne zdawały się wyuczone. Próbuje ją sobie przypomnieć, przez kilka wieczorów, w serii nieruchomych, stałych obrazów, które w końcu złożą się w całość. I wciąż zdumiewa mnie to, że nie mogę myśleć o niej takiej, jaką w rzeczywistości była, ruchliwa, lekka, pytająca, nieustannie spoglądająca to w tę, to w tamtą stronę. Muszę ją sobie przypominać nieruchomą na zawsze, jak w albumie z fotografiami. Amilamia w oddali, punkcik w miejscu, gdzie zbocze opada od jeziora koniczyny do strzyżonego trawnika, gdzie ja siedzę na ławce i czytam: punkt w napływającym kolejno cieniu i słońcu, i ręka, która stamtąd, z wyżyn, przesyła mi powitanie. Amilamia zatrzymana w swoim biegu w dół zbocza, w białej sukience i majteczkach

w kwiatki obciskających uda, z otwartymi ustami i przymkniętymi oczyma, bo szybki bieg wywoływał pęd powietrza, tak że dziewczynka niemal płakała z uciechy. Amilamia siedząca pod eukaliptusem, udająca, że płacze, po to, żebym ja do niej podszedł. Amilamia leżąca na trawie, głową w dół, z kwiatem w dłoniach: kiść drobnych kwiatków zerwana z jakiejś rośliny, którą, jak później odkryłem, hodowano nie w tym ogrodzie, lecz gdzie indziej, może w ogrodzie przy domu Amilamii, bo jedyna kieszeń jej fartuszka w niebieską kratę często była pełna tych białych kwiatków. Amilamia, która widzi, że czytam, uczepona oburącz prętów zielonej ławki, zadająca mi pytania swoimi szarymi oczyma. Pamiętam, że nigdy nie zapytała mnie, co czytam, jakby mogła z moich oczu odgadywać obrazy zrodzone ze stronic książki. Amilamia śmiejąca się i uszczęśliwiona, gdy podnosiłem ją w górę, obracając małą figurkę nad moją głową, a jej zdawało się, że odkrywa inną perspektywę świata w tym powolnym locie. Amilamia odwracająca się plecami i kiwająca mi z daleka rączką na pożegnanie. I Amilamia w tysiącnych pozach, jakie przybierała w pobliżu mojej ławki: zawieszona na rękach, z nogami w powietrzu; w bufiastych majteczkach; siedząca na zwirowanej ścieżce ze skrzyżowanymi nogami i podbródkiem wspartym na dłoni, rozciągnięta na trawie i wysta-

wiająca pępek do słońca, splatająca gałęzie drzew, rysująca patykiem zwierzęta na błotnistej ziemi, ukryta pod ławką i oblizująca jej pręty, oddzielająca w milczeniu sterczące kawałki kory ze starych pni, Amilamia ze wzrokiem utkwionym w horyzont za wzgórzem, śpiewająca z zamkniętymi oczyma, naśladująca głosy ptaków, psów, kotów, kur, koni. Wszystko dla mnie — wszystko i nic. To był jej sposób bycia w moim towarzystwie, wszystko, co pamiętam, ale także jej sposób bycia w samotności, w parku. Tak, może pamiętam to tylko we fragmentach, bo lektura wykluczała obserwowanie przez cały czas tej pulchnej dziewczynki o gładkich włosach, których barwa zmieniała się razem ze światłem: od słomy do prażonego kasztana. I dziś dopiero myślę, że Amilamia w tym momencie ustanowiła inny punkt ciężkości dla mojego życia, ten, który stwarzało napięcie między moim własnym niezdecydowanym dzieciństwem a otwartym światem, ziemią obiecaną, przechodzącą w moje władanie podczas lektury.

Wtedy nie. Wtedy marzyłem o kobietach z moich książek, o „samicach” (to określenie budziło we mnie dreszcz), które przebierały się w królewskie szaty, aby w tajemnicy kupić naszyjnik, o postaciach wymyślonych przez mitologię — na wpół istotach ludzkich, na wpół salamandrach o białych piersiach

i wilgotnych brzuchach, które w swych łozach oczekiwały monarchów. I tak, niepostrzeżenie, przeszedłem od obojętności dla mojej dziecinnej towarzyski do akceptacji jej wdzięku i powagi, a potem do bezwiednego odrzucenia tej niepotrzebnej obecności. W końcu zaczęła mnie drażnić — miałem czternaście lat, a ta siedmioletnia dziewczynka nie była jeszcze dla mnie wspomnieniem i jego tęsknotą, tylko przeszłością i jej aktualnością. Ulegałem jej przez słabość. Razem biegaliśmy, trzymając się za ręce, przez trawniki, po całym ogrodzie. Razem potrząsaliśmy pniami sosen i zbieraliśmy szyszki, które Amilamia pieczołowicie przechowywała w kieszeni fartuszka. Razem robiliśmy łódki z papieru, żeby później gonić za nimi wzdłuż brzegów kanału. A po południu, gdy razem staczaliśmy się z pagórka, wśród okrzyków radości zderzyliśmy się z sobą na ziemi, Amilamia upadła głową na moje piersi, słyszałem jej dyszenie tuż przy moim uchu i czułem jej włosy na wargach i jej małe ramionka uczone mojej szyi. Rozluźniłem ten uścisk zdecydowanym ruchem, tak że upadła na ziemię. Amilamia płakała pocierając stłuczone kolano i łokieć, a ja wróciłem na moją ławkę. Potem dziewczynka odeszła i nazajutrz wręczyła mi karteczkę, bez słowa, i znikła, podśpiewując, między drzewami. Wahałem się, czy podrzeć kartkę, czy zachować ją między stronicami

książki „Wieczory w wiejskim dworze”. Nawet moje lektury dzieciniały przy Amilamii. Nie przyszła już więcej do parku. W kilka dni później wyjechałem na wakacje, a później wróciłem do obowiązków szkolnych w obliczu zbliżającego się egzaminu maturalnego. Nie zobaczyłem jej już potem ani razu.

II

A teraz, niemal odrzucając ten obraz niezwykły, jeśli nie fantastyczny, i tym boleśniejszy, że realny, wracam do tego zapomnianego parku i stojąc u wylotu alei sosen i eukaliptusów uświadamiam sobie, jak mały był ten zadrzewiony obszar, który w mojej wyobraźni przybrał rozmiary zdolne pomieścić wzburzone morze mojej wyobraźni. Bo tu przecież narodzili się, żyli i umarli Michał Strogow i Huckleberry, Milady de Winter i Genowefa z Brabantu, w małym ogrodzie, otoczonym zardzewiałą kratą, z niewielką ilością drzew starych i zaniedbanych, ozdobionych jedną tylko ławką z cementu, który imituje drzewo i każe mi myśleć, że moja piękna ławka z kutego żelaza, malowana na zielono, nigdy nie istniała albo była częścią mego uporządkowanego delirium retrospektywnego... Jak mogłem wierzyć, że to było to, ten szczyt, na który Amilamia wchodziła i schodziła pod-

czas swoich codziennych spacerów, to strome zbocze, z którego stoczyliśmy się razem? Po prostu porośniętą brunatną trawą wzniesienie, tej tylko wysokości, którą upierała mu się nadać moja pamięć.

„Szókaż mnie tu, gdzie narysowane”. A więc trzeba przejść przez ogród, minąć kępę drzew, zejść w trzech susach ze wzgórza, przeciąć ten mały łąn owsa — to tutaj z pewnością dziewczynka zbierała białe płatki — otworzyć skrzypiącą furtkę parku i nagle przypomnieć sobie, wiedzieć, znaleźć się na ulicy, uświadomić sobie, że wszystkie tamte młodzieńcze popołudnia, jakby cudem, zdołały zawiesić całe życie miasta, uciszyć to morze gwizdków, dzwonków, głosów, warkotów, jęków, przekleństw: jaki był prawdziwy magnes — cichy ogród czy rozgorączkowane miasto? Czekam na zmianę światła i przechodzę na drugą stronę nie przestając patrzeć na czerwone kółko, które zatrzymuje ruch. Spoglądam na karteczkę Amilamii. Tak czy inaczej, ten prymitywny plan jest w tej chwili prawdziwym magnesem momentu, który przeżywam, i sama myśl o tym przeszywa mnie dreszczem. Moje życie, po straconych popołudniach czternastu lat, musiało wrócić do utartych łożysk dyscypliny i teraz jako dwudziestodwuletni młody człowiek, z dyplomem wyższych studiów, gabinetem przyjęć, zapewnionym umiarkowanym dochodem,

nie żonaty jeszcze, bez rodziny na utrzymaniu, lekko zrażony do przygód z sekretarkami, znęcony ledwie od czasu do czasu jakąś wycieczką na wieś czy na plażę, nie miałem tego centralnego punktu przyciągania, którym dawniej były dla mnie moje książki, mój park i Amilamia. Przebiegam ulicę tego przedmieścia szarego, o niskich dachach. Jednopiętrowe domy ciągną się rzędem, jeden za drugim, duże okratowane okna i bramy, z których obłazi farba. Gdzieniegdzie tylko odgłos jakiejś pracy przerywa monotonię całości. Zgrzytanie maszyny do ostrzenia noży, młotek szewca. Na chodnikach bawią się dzieci z tej dzielnicy. Do moich uszu dociera melodia organków pomieszana z głosami dzieci. Przystaję na chwilę, żeby im się przyjrzeć, z uczuciem, także przelotnym, że pomiędzy nimi będzie Amilamia, ukazująca bezwstydnie swoje kwieciste majteczki, zawieszona nogami na jakimś balkonie, zawsze wierna swoim akrobatycznym wybrykom, z kieszenią fartuszka pełną białych płatków. Uśmiecham się i pierwszy raz staram się sobie wyobrazić dwudziestodwuletnią dziewczynę, która, jeśli jeszcze mieszka pod wskazanym adresem, wyśmiejże moje wspomnienia albo może zapomniała już o popołudniach spędzonych w ogrodzie.

Dom jest bliźniaczo podobny do innych. Brama, dwa zakratowane okna z zamkniętymi

okiennicami. Jedno piętro zwieńczone fałszywą balustradą pseudoklasyczną, która z pewnością ukrywa sekrety tarasu: rozwieszoną bieliznę, wiadra z wodą, pomieszczenia dla służby, dla zwierząt. Zanim nacisnę guzik dzwonka, chcę się wyzbyć wszelkich złudzeń: Amilamia już tu nie mieszka. Czemuż by miała pozostawać przez piętnaście lat w tym samym domu. Zresztą mimo przedwczesnej swobody, z jakiej mogła korzystać, robiła wrażenie dziewczynki dobrze wychowanej i zadbanej, a ta dzielnica nie jest elegancka. Rodzice Amilamii na pewno się stąd wyprowadzili. Ale może nowi lokatorzy będą wiedzieli, dokąd.

Naciskam dzwonek i czekam. Dzwonię drugi raz. Oto nowa przeciwność: nikogo nie ma w domu. A ja, czy odczuję jeszcze raz tę potrzebę odszukania mojej małej przyjaciółki? Nie, bo już niemożliwe, żebym otworzył książkę z mego dzieciństwa i znalazł, przypadkiem, karteczkę Amilamii. Powrócę do rutyny, zapomnę o tym momencie, który miał znaczenie tylko jako przelotna niespodzianka.

Stukam znowu. Przykładam ucho do drzwi i jestem zaskoczony: za drzwiami słychać urywany, chrypliwy oddech; dmuchanie, któremu towarzyszy niemiły zapach stęchłego tytoniu, sączy się przez szczeliny w deskach.

— Dobry wieczór. Chciałbym się dowiedzieć...

Na dźwięk mego głosu, osoba, która podeszła do drzwi, odchodzi ciężkim, niepewnym krokiem. Znowu naciskam guzik dzwonka i tym razem krzyczę:

— Proszę otworzyć! Czy nie słychać dzwonka?

Żadnej odpowiedzi. Nadal dzwonię raz po raz, bez rezultatu. Odchodzę od drzwi, nie odrywając wzroku od najmniejszych szpar, jak gdyby odległość mogła mi dać perspektywę. Myśląc wciąż o tych przeklętych drzwiach, nie patrząc na nic, przechodzę przez ulicę, czyjś ostry krzyk ratuje mnie w porę, potem słychać przeciągły, groźny gwizd, podczas gdy ja, oszołomiony, szukam osoby, która mnie ocaliła, lecz widzę tylko samochód oddalający się ulicą i czepiam się słupa latarni, nie tyle w poszukiwaniu bezpieczeństwa, co punktu oparcia, bo nagle ogarnia mnie jakaś słabość, nogi uginają się pode mną. Patrzę na dom, który był, powinien być, domem Amilamii. Tam, za balustradą, jak odgadywałem, powiewa na sznurze rozwieszona bielizna. Nie wiem, co tam jest: koszule, piżamy, bluzki, nie wiem; ja widzę ten mały fartuszek w niebieską kratę, nakrochmalony, przyczepiony klamerkami do długiego sznurka, który kołysze się między żelazną sztabą a gwoździem wbitym w białą ścianę tarasu.

III

W Urzędzie Rejestracyjnym Nieruchomości powiedziano mi, że posesja zapisana jest na nazwisko niejakiego pana R. Valdivii, który wynajmuje ten dom. Komu? Tego nie wiedzą. Kim jest ten Valdivia? Podał jako zawód: handlowiec. Gdzie mieszka? — Kto pan jest? — zapytała mnie urzędniczka z wyniosłą ciekawością. Nie umiałem się przedstawić w sposób spokojny i budzący zaufanie. Sen nie uwolnił mnie od zmęczenia nerwów. Valdivia. Wychodzę z Urzędu Rejestracyjnego i światło na ulicy razi mnie w oczy. Odraza, jaką budzi we mnie słońce, przedzierające się przez niskie chmury — i dlatego bardziej intensywne — walczy z pragnieniem powrotu do cienistego, wilgotnego parku. Nie, to tylko chęć dowiedzenia się, czy Amilamia mieszka w tym domu i dlaczego nie chcą mnie tam wpuścić. Ale co powinienem czym prędzej od siebie odpędzić, to tę niedorzeczną myśl, która nie pozwoliła mi zmrzyć oka w nocy. Zobaczyć fartuszek suszący się na tarasie, ten sam, w którego kieszeni przechowywała kwiaty, i dlatego uwierzyć, że w tym domu mieszka siedmioletnia dziewczynka, którą znałem czternaście czy piętnaście lat temu... Może ma córeczkę. Tak, Amilamia w dwudziestym drugim roku życia jest matką dziewczynki, która może tak samo się ubiera, podobna jest

do niej, powtarza te same zabawy, kto wie, może chodzi do tego samego parku. Pogrożony w tych rozmyślaniach, znowu dochodzę do bramy domu. Naciskam guzik i czekam chrypliwego oddechu po drugiej stronie drzwi. Pomyliłem się. Drzwi otwiera kobieta, która ma nie więcej niż pięćdziesiąt lat. Ale opatulona szalem, czarno ubrana i w pantoflach na niskim obcasie, nie umalowana, z siwiejącymi włosami, wydaje się zrezygnowana, wolna od wszelkich złudzeń czy pretekstów do zachowania młodości, i patrzy na mnie oczyma obojętymi aż do okrucieństwa.

— Pan sobie życzy?

— Przysłała mnie pan Valdivia.

Kaszlę i przyglądam ręką włosy. Powinienem był zabrać z sobą teczkę z biura. Zdaję sobie sprawę, że bez niej nie odegram dobrze swej roli.

— Valdivia? — kobieta pyta bez niepokoju, bez zainteresowania.

— Tak, właściciel domu.

Jedna rzecz jest pewna: ta twarz nie zdradzi niczego. Kobieta patrzy na mnie nieulekłym wzrokiem.

— Ach, tak. Właściciel domu.

— Pani pozwoli, że wejdem?

Zdaje mi się, że w kiepskich komediach komiwojazer wysuwa nogę naprzód, żeby nie dopuścić do zamknięcia mu drzwi przed nosem. Ja tego nie robię, ale kobieta odsuwa

się i gestem ręki zaprasza mnie do wejścia. Podchodzę do oszklonych drzwi, stąpam po żółtych kafelkach dziedzińca i pytam znowu, zwracając się twarzą do pani, która idzie za mną drobnym kroczeniem:

— Tędy?

Kiwa głową twierdząco i wtedy dopiero widzę, że w rękach ma różaniec benedyktyński i bawi się nim bez przerwy. Nie widziałem tych starych różańców od czasów dzieciństwa i chcę coś powiedzieć na ten temat, ale szorstki i zdecydowany sposób, w jaki kobieta otwiera drzwi, uniemożliwia zdawkową rozmowę. Wchodzimy do pokoju, długiego i wąskiego jak kiszka. Pani domu z pośpiechem otwiera okiennice, ale jest nadal ciemno, bo pnące krzaki bluszczu w czterech doniczkach z porcelany i inkrustowanego szkła zasłaniają światło z okna. W salonie jest tylko stara kanapa z wysokim oparciem z plecionego łyka i kołyszący się fotel. Ale nie ten brak mebli ani rośliny zwracają moją uwagę. Pani zaprasza mnie, żebym siadł na kanapie, a sama zajmuje miejsce w fotelu.

Obok mnie, na kanapie leży otwarte pismo ilustrowane.

— Pan Valdivia przeprasza, że nie przyszedł osobiście.

Pani kołysze się w fotelu, nie mrugnawszy okiem. Zerkam z ukosa na to otwarte pismo z komicznymi rysunkami.

— Przesyła pani pozdrowienia i ...

Zatrzymuję się, oczekując jakiejś reakcji z jej strony. Nie przestaje się kołysać. Magazyn jest pobazgrany czerwonym ołówkiem do warg.

— ... i prosi, żeby uprzedzić panią, że zamierza ją niepokoić przez kilka najbliższych dni...

Moje oczy poszukują wciąż ukradkiem.

— ... Trzeba dokonać nowej oceny domu dla urzędu katastralnego. Zdaje się, że nie robiono tego od... Od jak dawna państwo tu mieszkają?...

Tak, ten ołówek do warg leży rzucony pod fotelem. A jeśli ta kobieta się uśmiecha, to robi to rękami, powolnym ruchem palców gła-skających różaniec: tutaj przez chwilę wyczuwam nieuchwytnie szyderstwo, którego nie wyraża twarz. Tym razem także mi nie odpowiada.

— ... przynajmniej od piętnastu lat, prawda?

Nie potwierdza. Nie przeczy. I na jej białych, wąskich wargach nie ma ani śladu szminki.

— ... Pani, jej mąż i...?

Nie spuszcza ze mnie wzroku, nie zmieniając wyrazu twarzy, niemal upoważniając mnie, abym mówił dalej. Przez chwilę trwamy w milczeniu, ona bawiąc się różańcem, ja po-

chylony do przodu, z rękami na kolanach. Wstaje z kanapy.

— Wobec tego przyjdę tu znowu po południu, ze wszystkimi papierami.

Pani przytakuje głową i w milczeniu podnosi kredkę do warg, bierze pismo z karykaturami i ukrywa w fałdach szala.

IV

Scena nie zmieniła się. Po południu, podczas gdy ja zapisuję wyimaginowane cyfry w ogromnym notesie i udaję zainteresowanie rodzajem desek w mieszkaniu i pomiarami domu, pani kołysze się i pociera końcami palców trzy dziesiątki różańca. Wzdycham, zakończywszy domniemaną inwentaryzację salonu, i proszę ją, żebyśmy przeszli do innych pomieszczeń. Pani podnosi się, opierając długie ramiona w czerni o poręcz fotela i otulając szczerzej szalem wąskie, kościste plecy.

Otwiera drzwi z matowego szkła i wchodzimy do jadalni, gdzie jest niewiele więcej mebli niż w salonie. Ale stół z metalowymi nogami i cztery krzesła z niklu i ceraty nie mają nawet śladu dystynkcji mebli w salonie. Okratowane okno z zamkniętymi okiennicami musi oświetlać w pewnych momentach tę jadalnię o nagich ścianach, bez szaf i kredensów. Na stole stoi tylko patera z plastyku,

a na niej kiść winogron, dwie brzoskwinie i brzęczący wieniec much. Pani ze skrzyżowanymi ramionami i twarzą bez wyrazu stoi ze mną. Ośmielam się przerwać ustalony porządek: jest oczywiste, że wspólne pokoje domu nie powiedzą mi nic o tym, czego chcę się dowiedzieć.

— Czy nie moglibyśmy wyjść na taras? — pytam. — Zdaje się, że to najlepszy sposób obliczenia powierzchni całości.

Pani spogląda na mnie z leciutkim prześliskiem w oczach, uwydatnionym może przez półmrok jadalni.

— Po co? — mówi wreszcie. — Pomiary te są dobrze znane panu... Valdivia...

Te pauzy, przed i po nazwisku właściciela domu, są pierwszym symptomem faktu, że coś jednak dręczy tę panią i zmusza ją do pewnej obronnej ironii.

— Nie wiem — zadaję sobie wysiłek, żeby się nie uśmiechnąć. — Może wolałbym kolejność z góry na dół niż — mój fałszywy uśmiech rozplywa się — niż z dołu do góry...

— Niech pan postępuje raczej według moich wskazówek — mówi pani z rękami skrzyżowanymi na piersiach i srebrnym krzyżem na brzuchu.

Zanim zdobędę się na słaby uśmiech, zmuszam się do pomyślenia, że w tym półmroku moje gesty nie mają znaczenia nawet symbolicznego. Otwieram zeszyt i notuję dalej,

możliwie najszybciej i nie odrywając wzroku, cyfry i uwagi dotyczące mego zadania, fikcji, która — mówi mi o tym lekki rumieniec na policzku, suchość języka — nikogo nie oszuka. I zapełniając stronicę niedorzecznymi znakami, kwadratami i formułami algebraicznymi, zadaję sobie pytanie, co mi przeszkadza iść prosto do celu, spytać o Amilamię i wyjść z jakąś wystarczającą odpowiedzią. Nic. A jednak jestem pewien, że tą drogą, gdybym nawet otrzymał odpowiedź, nie dowiem się prawdy. Moja chuda i milcząca towarzyszka, której widok niczym nie zainteresowałby mnie na ulicy, w tym domu o ledwie istniejącym umeblowaniu i nieobecnych mieszkańcach przestaje być bezimienną twarzą z miasta, aby przybrać postać tajemnicy. Taki jest ten paradoks i chociaż wspomnienie Amilamii rozbudziło na nowo moje apetyty wyobraźni, będę przestrzegał reguł gry, utrzymam do końca pozory i nie spocznę, póki nie znajdę odpowiedzi — może bardzo jasnej i prostej, bezpośredniej i oczywistej — pomimo zasłon, które pani z różańcem rozwiesza na mojej drodze. Zdumiewam tę damę na próżno? Jeśli tak, tym radośniej będę się czuł w labiryntach mego wynalazku. Muchy brzęczą wokół patery z owocami, ale siadają na tej ranie w brzoskwini, tym kawałku nadgryzionym — podchodzę bliżej pod pretekstem moich notatek — ząbkami, które zostawiły swój ślad

w aksamitnej skórce i żółtym miąższu owocu. Nie patrzę w stronę pani z różańcem, udaję pogrążonego w notatkach. Owoc wydaje się nadgryziony, ale nie dotknięty. Pochyliam się, opieram ręce o stół, żeby się przyjrzeć, wysuwam naprzód wargi, jak gdybym chciał powtórzyć czynność wykonaną przedtem przez kogoś innego, ugryźć brzoskwinię nie dotykając jej. Spuszczam wzrok i widzę jeszcze jeden ślad, tuż przy moich stopach: dwie równoległe kreski na podłodze, jak gdyby od kół roweru, dwie opony odcisnięte na drzewie posadzki, które dochodzą aż do stołu, a potem cofają się, coraz słabsze, wzdłuż pokoju, do miejsca, gdzie stoi pani.

Zamykam mój zeszyt.

— Idziemy dalej, proszę pani.

Odwracając się do niej widzę, że stoi z rękami na oparciu krzesła. Przed nią wykasłuje swój dym z papierosa mężczyzna o przygarbionych plecach i niewidzialnym spojrzeniu: oczy są ukryte w tych powiekach, pomarszczonych, nabrzmiąłych, obwisłych, które przypominają szyję starego żółwia, ale mimo wszystko zdają się śledzić moje ruchy. Policzki źle ogolone, poorane tysiącem szarych brúzd, zwisają z wystających kości policzkowych, a zielonkawe ręce usiłują skryć się pod pachami; ubrany jest w zgrzebną niebieską koszulę, a jego kędzierzawe włosy przypominają dno łodzi poroście muszlami. Nie po-

rusza się i jedynym rzeczywistym znakiem jego egzystencji jest to ciężkie charczenie (jak gdyby oddech musiał przezwycięzać zapory flegmy, podrażnienie śluzówki, niesmak), które już słyszałem przedtem przez szpary drzwi.

Szeptę, czując własną śmieszność: „Dobry wieczór” — i zamierzam zapomnieć o tym wszystkim: o tajemnicy Amilamii, jej śladach, pomiarach domu. Pojawienie się tego astmacyjnego wilka usprawiedliwia nagłą ucieczkę. Powtarzam „Dobry wieczór”, tym razem tonem pożegnania. Żółwia maska rozplywa się w straszliwym uśmiechu: każda cząstka tego ciała wydaje się sfabrykowana z kruchego kauczuku, pomalowanej i zgniłej ceraty. Ramię wyciąga się i zatrzymuje mnie w pół kroku.

— Valdivia umarł cztery lata temu — mówi mężczyzna tym swoim zdławionym głosem, dalekim, wychodzącym z brzucha, nie z gardła, głosem sepleniącym i słabym.

Zatrzymany dotknięciem tych szponów, niemal bolesnym, mówię sobie, że nie ma po co udawać. Twarze z kauczuku i z wosku, które mnie obserwują, nie mówią nic, i dlatego mogę, pomimo wszystko, udać jeszcze ostatni raz, okłamać się, że mówię sam do siebie, wymawiając jej imię.

— Amilamia.

Tak, nikt już nie musi udawać. Ręka ści-

skająca moje ramię okazuje swoją siłę tylko na moment, potem, natychmiast słabnie i opada z drzeniem, zanim ujmie drugą woskową dłoń, która dotykała jego ramienia: pani, zmieszana po raz pierwszy, patrzy na mnie oczyma zranionego ptaka i płacze, suchym łkaniem, które nie może zmiękczyć sztywności jej rysów. Ludożercy z mojej wyobraźni nagle stają się dwojgiem samotnych starców, opuszczonych, zranionych, z trudem mogą znaleźć ulgę w połączeniu swych dłoni, pośród drzenia, które napędza mnie wstydem. Fantazja przywiodła mnie do tej nagiej jadalni, aby pogwałcić intymność i sekret dwóch istot wygnanych z życia przez coś, czego nie miałem prawa z nimi dzielić. Nigdy jeszcze tak sobą nie pogardzałem. Nigdy tak głupio nie zabrakło mi słów. Każdy gest jest daremny: czy mam się zbliżyć, dotknąć ich, pogłaskać głowę pani, przeprosić za moje wścibstwo? Chowam do kieszeni zeszyt z notatkami. Zapominam o wszystkich poszlakach mojej historii kryminalnej: pobazgrane kredką do warg czasopismo, nadgryziony owoc, ślady roweru, fartuszek w niebieską kratkę... Postanawiam wyjść z tego domu nic nie mówiąc. Stary zdecydował się spojrzeć na mnie spod grubych powiek. Sepłeniący głos mówi:

— Pan ją znał?

Ten czas przeszły, tak naturalny, którego

oni muszą używać codziennie, niszczy do reszty moje złudzenia. W tym jest odpowiedź. Pan ją znał. Ile lat? Ile lat żył świat bez Amilamii, zamordowanej najpierw moim zapomnieniem, wskrzeszonej zaledwie wczoraj bezsilnym świstkiem papieru? Kiedy przestały te oczy, szare i poważne, zdumiewać się, ze łzami zachwytu, tym zawsze samotnym ogrodem? Kiedy przestały te wargi śłać uśmiechy lub wydymać się z tą uroczystą powagą, z jaką — teraz to sobie uświadamiam — Amilamia odkrywała i uświęcała sprawy tego życia, którego przelotność może intuicyjnie przeczuwała?

— Tak, bawiliśmy się razem w parku. Już dawno.

— Ile miała wtedy lat? — pyta stary, głosem jeszcze bardziej zgaszonym.

— Może siedem. Tak, nie więcej niż siedem.

Głos kobiety podnosi się wraz z ramionami, które zdają się błagać:

— Jak wyglądała, proszę pana? Proszę nam powiedzieć, jaka była?

Zamykam oczy. — Amilamia jest także moim wspomnieniem. Mógłbym porównać ją tylko do rzeczy, których dotykała, nosiła i odkrywała w parku. Tak. Teraz ją widzę zbiegającą w dół zbocza. Nie, to nieprawda, że to ledwie widoczne wzniesienie terenu. To było wzgórze porośnięte trawą i Amilamia wy-

deptała w niej ścieżkę, schodząc co dzień i wspinając się z powrotem, i witała mnie ręką, nim zeszała, przy dźwiękach muzyki, tak, muzyki moich oczu, wśród malowideł mego węchu, smaków słuchu, zapachów dotyku... mojej halucynacji... słuchacie mnie?... schodziła z podniesioną ręką, w białej sukience, z fartuszkim w niebieską kratkę... tym, który schnie na sznurku na waszym tarasie...

Ujmują mnie za ramiona, ale nie otwieram oczu.

— Jaka była, proszę pana?

— Miała szare oczy, a kolor włosów zmieniał się, zależnie od przebłysków słońca i cienia drzew...

Obydwoje prowadzą mnie teraz; oczy mam wciąż zamknięte, słyszę oddech mężczyzny, odgłos metalowego krzyża przy różańcu, uderzającego o biodro kobiety...

— Proszę mówić, bardzo proszę.

— Pęd powietrza wyciskał jej łzy z oczu podczas biegu... Przybiegała do mojej ławki i policzki miała posrebrzone łzami radości...

Nie otwieram oczu. Teraz idziemy po schodach. Dwa, pięć, osiem, dziewięć, dwanaście stopni. Cztery ręce prowadzą mnie i popychają łagodnie.

— Jaka była, jaka była?

— Siadała pod eukaliptusami i udawała, że płacze, żebym przestał czytać i podszedł do niej...

Zgrzytają zawiasy. Zapach zabija wszystko, obezwładnia inne zmysły, rozsiada się jak Wielki Mogoł na tronie mojej halucynacji, ciężki jak kufer, pełen insynuacji jak szelest drapowanego jedwabiu, przeładowany ozdobami jak tureckie berło, matowy jak zagubiona żyła kruszcu, lśniący jak martwa gwiazda. Ręce puszczają mnie. Słyszę otaczające mnie raczej drzenie dwojga starych niż ich łkanie. Powoli otwieram oczy, czekam, aż warstwa płynnej mgiełki na rogówce, a później siatka rzes odkryją przede mną pokój, gdzie toczy się ta gigantyczna bitwa płatków o konsystencji niemal ludzkiego ciała, tak wszechmocna jest obecność kwiatów, które tutaj, niewątpliwie, mają żywą, ukrwioną skórę: słodycz lilii, mdlący zapach kopytnika, żałobny aromat tuberoz, uroczysty — gardenii; mała alkowa bez okien, oświetlona rozżarzonymi do białości paznokciami ciężkich skwierczących świec, wprowadza swoje oblicze wosku i kwiatów do centrum splotu słonecznego i dopiero teraz — poprzez słońce, życie — można odżyć na nowo, aby ujrzeć za świecami i pośród rozproszonych kwiatów stos zniszczonych zabawek, kolorowe obręcze i pomarszczone baloniki, przezroczyście kule, drewniane koniki z wyłysiałą grzywą, wrotki, lalki łyse i ślepe, wypatroszone z trocin niedźwiadki, celuloidowe kaczkę, psy zżarte przez mole, wystrzępione skakanki, szklane

czarki pełne zeschniętych słodyczy, wydeptane buciki, rower o trzech kółkach — trzy kółka? nie, dwa, i nie roweru, dwa koła tam, na dole, buciki ze skóry i letnie sandaalki, a pośrodku, w zasięgu mojej ręki, mały katafalk ze spiętrzonych skrzyneczek malowanych na niebiesko, udekorowany papierowymi kwiatami — i tylko te wydają się w tym miejscu kwiatami życia — goździki i słoneczniki, maki i tulipany, ale tak jak tamte, kwiaty śmierci, są elementem tej żałobnej cieplarni, gdzie spoczywa, wewnątrz posrebrzanej trumny, pośród jedwabiu, na wezglowiu z białego atlasu, ta nieruchoma i pogodna twarzyczka w obramowaniu koronkowego welonu, różowa twarz lalki: brwi, nakreślone leciutkim dotknięciem pędzla, zamknięte powieki, prawdziwe, grube rzęsy, rzucające lekkie cień na policzki tak tryskające zdrowiem, jak w czasie zabaw w parku. Wargi poważne, czerwone, prawie z tym samym grymasem, jaki przybierała Amilamia udając zasmuconą, żebym przyszedł się z nią bawić. Ręce złożone na piersi. Benedyktyński różaniec, taki sam jak jej matki, okręcony wokół gipsowej szyi.

Dwoje starych uklęknęło, szlochając. Wyciągam rękę i dotykam porcelanowej twarzyczki mojej przyjaciółki. Czuję chłód tych sztywnych rysów lalki-królowej prezydującej splendorowi tej królewskiej komnaty śmierci.

Porcelana, gips i wata. „Amilamia nie zapomina swego pszyjaciela i szókaj mnie tu, gdzie narysowane”.

Odsuwam rękę od fałszywych zwłok. Odciski moich palców zostają na twarzy lalki.

I mdłości zakradają się do mego żołądka, osad z dymu świec i odoru kopytnika w zamkniętym pokoju. Odwracam się plecami od grobowca Amilamii. Ręka kobiety dotyka mego ramienia. Mimo spojrzenia oczu, które niemal wyszły z orbit, jej zgaszony głos nie drży.

— Niech pan tutaj więcej nie przychodzi. Jeśli naprawdę ją pan kochał, niech pan nie wraca.

Ściskam rękę matki Amilamii, zamglonym wzrokiem patrzę na głowę starca, zwieszoną między kolanami, i wychodzę z alkowy na schody, do salonu, do sieni i na ulicę.

V

Jeśli nie rok, upłynęło od tego czasu dziewięć lub dziesięć miesięcy. Przestało mnie dręczyć wspomnienie tego odrażającego bałwochwalstwa. Nie prześladował mnie już zapach kwiatów i obraz zastygłej lalki. Prawdziwa Amilamia wróciła do moich wspomnień i jeśli nie czułem się zadowolony, to w każdym razie uzdrowiony: park, żywa dziewczynka, godziny mojej młodzieńczej lektury prze-

zwyciężyły widmo chorobliwego kultu. Obraz życia silniejszy jest niż tamten sztuczny. Mówię sobie, że będę żył zawsze z moją prawdziwą Amilamią, która zwyciężyła karykaturę śmierci. I któregoś dnia ośmielam się zajrzeć do tego notesu w kratkę, gdzie mam zanotowane fałszywe cyfry pomiarowe. I pomiędzy stronic znowu wypada karteczka Amilamii z jej niezdarnym pismem i planem wskazującym drogę z parku do jej domu. Uśmiecham się, biorąc ją do ręki. Nadgryzam jeden jej brzeg, myśląc, że biedni staruszkowie mimo wszystko przyjmą ten podarunek.

Wkładam marynarkę i wiążę krawat pogwizdując. Dlaczego ich nie odwiedzić, nie ofiarować im tej karteczki z pismem dziewczynki?

Szybko przybliżam się do jednopiętrowego domu. Deszcz pada teraz wielkimi, rzadkimi kroplami, pod których wpływem z magiczną szybkością zaczyna emanować z ziemi to mokre błogosławieństwo, jakby usuwając ściółkę i przyspieszając fermentację wszystkiego, co wyrasta korzeniami z prochu.

Dzwonię. Deszcz gęstnieje i dzwonię coraz mocniej. Piskliwy głos krzyczy: „Zaraz” i czekam, aż pojawi się sylwetka matki z jej wiecznym różańcem. Podnoszę wyłogi marynarki. Moje ubranie, moje ciało także zmieniają zapach w zetknięciu z deszczem. Drzwi otwierają się.

— Czego pan sobie życzy? Jak dobrze, że pan przyszedł!

W krześle na kółkach ta dziewczyna z potwornie zniekształconym ciałem trzyma rękę na klamce i uśmiecha się do mnie nienaturalnym grymasem. Garb na piersi sprawia, że suknia wygląda jak firanka okrywająca ciało, biała zasłona, której jednakże dodaje kokieterii fartuszek w niebieską kratę. Mała kobieta z kieszeni fartuszka wyciąga pudełko papierosów; pośpiesznie zapala jednego, plamiąc ustnik wargami pomalowanymi na pomarańczowo. Dym każe jej zmrużyć piękne, szare oczy. Poprawia sobie włosy z miedzianym odbłaskiem, starannie uczesane i ułożone w trwałą ondulację, nie przestając patrzeć na mnie pytająco, spojrzeniem wyrażającym bezgraniczną rozpacz, ale także pragnienie, a w tej chwili lęk.

— Nie, Carlos, odejdz. Nie wracaj tu nigdy.

A jednocześnie z głębi domu słyszę charczący oddech starego, coraz bliżej.

— Gdzie jesteś? Nie wiesz, że nie wolno ci otwierać na dzwonki? Wracaj! Diabelskie nasienie! Chcesz znowu dostać batem?

Woda deszczowa spływa mi po czole, po policzkach, po ustach, a małe, przerażone rączki wypuszczają na wilgotne kamienne płyty czasopismo z komicznymi opowiastkami.

TEGO CHCIAŁ ŁOŚ

Gabrielowi García Márquez

Alejandro zawsze mieszkał w hotelach. Odkad przybył do Coahuila w dwudziestym drugim roku życia, myślał, że pracownia z jasnym światłem, daleko od centrum, i pokój hotelowy skromny i pogrążony w półmroku są najlepszym sposobem pogodzenia pracy z życiem prywatnym; w pracowni przyjmował przyjaciół, krytyków lub innych malarzy, a w hotelu przyjaciółki, bez ryzyka krótkich spieć: bardzo prędko odkrył, że najczęściej są to żony lub przyjaciółki jego kolegów. Alejandro był nie bardziej próżny niż większość śmiertelnych: czasem zadawał sobie pytanie przed lustrem, przybierając w przesadne grymasy swą ruchomą twarz — która zdaniem wielu osób przypominała Petera Lorre — dlaczego ma takie powodzenie u kobiet.

— Teraz jest moda na potwory — powiedział mu, śmiejąc się, młody krytyk Rojas. — Karloff, Lugosi i twój sobowtór Lorre obdarzeni są fascynacją retrospektywną. Wspomina się ich z tęsknotą, jako część epoki, w której zło musiało wyrażać się w symbolach skrajnych: rogate satyry, mumie i wampiry

z Düsseldorfu. Dzisiaj każdy młody, unikający fryzjera, zdolny byłby wyrazić więcej wewnętrznej niegodziwości niż niegdyś tysięcy masek Lon Chaneya. Zresztą kobiety są idealnie dysponowane do tego, żeby jakiś Drakula z klasy średniej wyssał z nich krew z uderzeniem północy, toteż najgorsza groźba potwora — pogwałcenie niewinności — przyjmowana jest radośnie i ochoczo.

Alejandro nie uśmiechnął się. Malował dalej, nie patrząc na Rojasa. Jego teza była nieścisła tylko z chronologicznego punktu widzenia: żona Rojasa, Libertad, nigdy nie odwiedzała Alejandra w pokoju hotelowym po siódmej wieczorem. Artysta nakreślił pędzlem smużkę sjeny palonej i przypomniał sobie, że młoda mężatka ma istną manię tlenu i otwierania okien. Jedynym wynikiem tej miłości trwającej zaledwie dwa miesiące i pełnej przeciągów, było ostre zapalenie płuc. Alejandro westchnął i odsunął się od sztalug, obrócony plecami do okna, które, o jedenastej rano, domagało się przezroczyści bardziej już literackiej niż aktualna za gęsta dymna zasłona Doliny Meksykańskiej. Tam, na górze, w Olivar de los Padres, ranek potrafił wydrzeć kilka przezroczystych godzin mgie napływającej z miasta i punktualnym wichrom marcowym, zemście wyschłego, sprofanowanego jeziora. I w oczach autoportretu odkrył komicznie intensywne i zimne

spojrzenie jajogłowego potwora, który po obejrzeniu filmu „Ręce Orłaca” radosnymi koszmarami wypełniał jego dzieciństwo.

— Spójrz, co zrobiłem przez twoją gadanię — zawołał malarz. Rojas wyciągnął ramiona na znak, żeby tamten niczego nie ruszał: była to prośba krytyka, który pierwszy raz zdołał wpłynąć na pociągnięcia pędzlem, a zarazem temat gwarantowany dla egzegezy nowego autoportretu Alejandra Sevilli: cudownego odnowiciela, kata dla ilustracyjnego, romantycznego muralizmu, pierwszego w Meksyku artysty, który odnalazł obumarły i barbarzyński korzeń rzeźby tubylców.

— Pamiętasz twoje pierwsze dzieła? — uśmiechnął się Rojas. — Siqueiros dla niezamierzonych, mówiliśmy sobie wszyscy. Zawsze to mówiłem: Sevilla dostrzegł Coatlicue i zrozumiał oryginalność Meksyku, minimalny, lecz absolutny margines naszego życia, to, co pozostało jeszcze nie tknięte przez Zachód.

Alejandro ledwie skinął głową na potwierdzenie, zamknął oczy i przesunął palcami po płótnie. Wycisnął z tuby kroplę błękitu pruskiego na palec wskazujący i leciutko wtarł w oczy portretu: jego własne oczy spojrzały na niego i z wolna zaczęły się uśmiechać, na myśl artysty o jednej czy drugiej kobiecie: ciemnej jak kamień kościołów, bladej jak świt w górach: te meksykańskie ciała, w których umiejscowiają się kolorowe lasy i ska-

czą, i są jak dzikie koty górskie uwięzione w ciele upiorów.

Potał swoje oczy.

— Dobrze, nie będę już cię nazywał Lolą. Ale i ty tak nie mów. Nie jestem Lola. Pomyśl, że nigdy nie miałem tożsamości. Nigdy nie mówiłem na ciebie „Alejandro”, prawda? Ty jesteś moją przyjemnością, a ja twoją. Nazywaj mnie siłą, i ja ciebie siłą. Okey, Siło.

Komiczne okrucieństwo zaczęło stapać się z realnym cieniem ciała.

— Nic nie powiesz, Lupe? Dlatego właśnie mi się podobasz. Wiesz, do czego służysz. Zdajesz sobie sprawę z tego, że nie wymówiłaś ani jednego słowa od czasu, gdy cię poznałem i zaprosiłem cię do mego pokoju, a tyś poszła za mną nic nie mówiąc. Jakież idiotyzmy mówiłabyś, Lupe, ale twoja inteligencja czyni cię niemą. Tak, tak, moja boska karnacja, kawałku unerwionej skóry, jakże błyszczą twoje oczy, bogini z miękkiego kamienia, nigdy mnie nie rozpraszasz, nigdy mi nie przeszkadzasz...

Daleki i uśmiechnięty blask oczu połączył się w końcu z ukrytym przykrym uczuciem, którego fałszywe okrucieństwo zewnętrzne nie pozwalało dostrzec. — Myślałem, że jesteś niewinnym więźniem. Wszyscy mówią, że jesteś przygłupia. — Jasne, że jestem niewinna, Alejandro. Czyż jest coś bardziej zde-

prawowanego niż niewinność? — Chodź, pokaż mi, czy coś może zmać tę sztywną maskę. Gdzieś się nauczyła tyłu rzeczy, Adelo? — Podglądałam moją mamę. Ona lepiej się bawiła. Wtedy wszystko było grzechem. Niech żyje pedagogia! — To była odwrotność metody Montessori, kochanie.

Bezwiednie podrapał się po policzku.

— Zawsze kończysz jak Wielki Wódz Sinostry — roześmiał się krytyk i przebiegł wzrokiem postać malarza, jakby próbował utrwalić w pamięci wysokie buty górnika, spodnie z czarnej grubej tkaniny, niebieską koszulę, głowę o krótkich blond kędziurach, oczy senne i lekko wyłupiaste, krótki nos z garbkiem, wargi pełne i skrzywione: twarz złośliwego zdumienia.

Teraz mieszka w Olivar de los Padres, w pobliżu cementarza na wzgórzu, w domu, który kazał sobie zbudować i którego prostota wprowadza w błąd. Pobielane wapnem mury i jedyne piętro kryją w sobie szereg mauretańskich cokołów i wnętrz, w których ciemne drzewo i obfitość glinianych bożków keczua, figurynek z Olmeco i tekturowych Judaszów przepuszczają jak gdyby przez filtr gwałtowne światło pobielanych ścian zewnętrznych.

Wyprowadził się z hotelu po wystawie z 68 roku. Alejandro zawsze przeżywał ciężkie stany przygnębienia i niepokoju po wysta-

wieniu nowej kolekcji obrazów, teraz jednak lęk przed powtarzaniem się, pogłoski o zaniku siły twórczej i wysiłek podejmowany, aby przewyciężyć jedno i drugie, przeobraziły go w istną galarete, ukrytą pod ogromnym płaszczem z kołnierzem i wyłogami z oślej skóry. Drżący wyszedł z galerii, nie powiedziawszy ani słowa: te blade malowidła istot, w których odwracał się porządek zewnętrzny i chaos wewnętrzny, by utwierdzić porządek udręczonego niepokoju w obliczu chaosu rzeczywistości, powiedziały to zamiast niego, i Alejandro, bliski zemdlenia, pobiegł zamknąć się w pokoju hotelowym, na ulicy Luis Moya.

Rozebrał się, natarł spirytusem piersi, nogi, czoło i odsunął prześcieradła. W łóżku leżała skulona kobieta w ubraniu, Argentynka o posrebrzanych włosach. Alejandro krzyknął z przerażenia; kobieta przedstawiła się — Dulce Cúneo — mówiąc o podróży, którą odbyła samochodem aż z Patagonii, po to, żeby poznać swego bohatera i — nie żądając bynajmniej nic od niego — dać mu wszystko. Wizja śmiertelnego znużenia wstrząsnęła umysłem malarza: z przerażeniem zobaczył, jak mała Argentynka położyła ręce na biodrze, jakby zamierzała rozpocząć taniec lub scenę z „Carmen” Bizeta czy też jakieś ćwiczenie gimnastyczne własnego pomysłu (a on przypomniał sobie mury Krety, na których niewiasty o na-

gich piersiach przystępują do popisów akrobatycznych), po to, by w końcu otworzyć błyskawiczny zamek spódniczki i pozwolić jej upaść na podłogę. Obecność tej malutkiej kobiety z gołymi nogami, skomplikowanym systemem podwiązek, w zakieciku zapiętym po szyję i z wymalowaną na twarzy serią łuków w okolicy oczu i ust, przyprawiła malarza o mdłości. Rzucił się na łóżko, kryjąc twarz w poduszkach i jęknął: — Niech pani wyjdzie, proszę bardzo, proszę odejść. Bardzo źle się czuję. Teraz nie mogę — usiłując odnaleźć wewnątrz siebie to zwierciadło, w którym kobiety były zawsze, jeśli nie przedłużeniem, to przynajmniej odbiciem zewnętrznym, widzialnym — obiektywnie zatajonym — ukrytych sęków Alejandra Sevilli. Na próżno szukał jakiejś łączności między zakochanym artystą i małą samiczką, gadatliwą, tak wyemancypowaną, że ścigała go, przypierała do muru pieśczołami, skakała na łóżku i tłumaczyła, że od czasów Wiktorii Ocampo nie ma intelektualistki argentyńskiej poddanej starym regułom feudalnym świata hiszpańskiego: — *Che*, pozwól się trochę zdziwić, chcesz?

Alejandro westchnął ciężko i pozwolił.

Gdy się obudził, Dulce, owinięta w prześcieradło, zamówiła już chude śniadanie i maczała rogalik w filiżance kawy z mlekiem. Alejandro, spocony i zgrzany, nie chciał słu-

chać potoku wiadomości: Dulce myślała, że trudno jej będzie wśliznąć się do sypialni; boy hotelowy ułatwił jej wszystko; widać, że kobiety wchodziły tu i wychodziły z całkowitą swobodą; nigdy nie marzyła, że wszystko będzie tak idealne; on nawet się nie poruszył, pozostawił jej całą inicjatywę: to była podwójna przyjemność: działać jak mężczyzna i odczuwać to jak kobieta; ona jest feministką i kobietą nowoczesną; to była najszczęśliwsza noc w jej życiu — nastrój cyniczny, spontaniczny i cywilizowany, przypominało jej to sceny miłosne z „Do utraty tchu”, nie grano tego jeszcze w Meksyku? Tak, Buenos Aires jest bardziej europejskie.

Alejandro zamknął oczy i Dulce poprawiła mu poduszki pod głowę i ramionami. W milczeniu czekał, aż Argentynka odejdzie. Czasem otwierał lewe oko. Czasem prawe. Argentynka była w łazience. Teraz się pewnie ubiera. Wkrótce sobie pójdzie. Wyszła owinięta w prześcieradło i z kredką do warg w ręce. Uśmiechała się jak obłąkany diabeł, zrobiła sobie długie, zakręcone pejsy i przylepiła do żółtawych policzków. Wlazła na krzesło i zaczęła bazgrać czerwoną kredką po ścianach. Alejandro otworzył oczy i krzyknął: mała kobietka wielkimi czerwonymi literami wypisywała poematy, wyznania miłosne, w żargonie Buenos Aires, gdzie słowo *vos* (Alejandro Sevilla) rymowało się z *atroz* (cier-

pienia Dulce) a *querés* (niepotrzebne pytanie) z *vez* (następny, zapowiedziany i nieunikniony). Spadały obrazy i lustra: poemat rozwijał się dalej, ze ściany na ścianę i Alejandro połknął kilka aspiryn, kręcąc głową przecząco, nie chcąc akceptować straszliwego zdumienia, oblany zimnym potem, i próbował wyobrazić sobie nowy obraz, serię obrazów, począwszy od tego dopiero wczorajszej nocy dokonanego podsumowania swojej dotychczasowej twórczości. *Vos, querés, vez, atroc.* Rojas wszedł do pokoju z wycinkami z prasy. Karliczka powiedziała: — *Chao, petiso* — i dalej pisała na ścianach, aż wreszcie skończyła, wyczerpana, i położyła się do łóżka obok Alejandra.

— Zabierzcie ją, zabierzcie — zdołał wyszeptać malarz.

Dulce bawiła się z nim pod kołdrą, Rojas czytał krytyki z wystawy. Alejandro wydał krótki jęk sprofanowanej wiewiórki.

W trzy dni później Dulce Cúneo została przymusowo odstawiona do Argentyny. Alejandro w milczeniu, z podkrążonymi oczyma, opłacił koszty, opuścił hotel i zakupił parcelę w Olivar de los Padres.

Wyruszył w podróż do Europy i do Stanów Zjednoczonych, podczas kiedy tutaj budowano mu dom. Wiara w architekta Boyer pozwoliła mu poświęcić osiem miesięcy na to, co Flaubert nazwał „największą rozpustą”. Dla

Alejandra, na pierwszym, trudnym do zniesienia planie, wyrazem tego były hotele, ciężkie jedzenie, wymiana pieniędzy, formalności celne, oczekiwanie w biurach podróży, przenoszenie się z samolotu do pociągu, z pociągu do taksówki, odźwierni, napiwki, kelnerzy, taksówkarze. Drugi, zatarty plan zajmowały profile miast i ulice wydobyte z zapomnienia — *mods* na Soho Square, ubrania w stylu Oskara Wilde; najbardziej ruchliwe skrzyżowania w Paryżu — St. Germain, rue Bonaparte, rue de Seine — z wyżyn de Chez Lippe; Bleeker Street w sobotni wieczór ze swoją maskaradą ściągającą zaktualizowanego Genêta — Murzyni, Żydzi, Goje, Czerwonoskórzy: purytanie wieczystej fundacji na skale Plymouth wyobraźni skazanej na wygnanie; trzeci plan, utajony, celowo utrzymany w nieświadomości; wystawy obrazów, ledwie widziane spod spuszczonej rzęs, dwa lub trzy filmy dziennie — Palais Chaillot, Academy Cinema, The New Yorker — paryżanka, która mówiła jak bohaterka Antonioniego („Wiem, że nigdy cię nie pokocham. Nie będę mogła kochać cię w tym roku. Może w przyszłym. W takim razie zapewne pojedę do Malagi. To nieprawda. Chodźmy się przejść. Jeżeli okażesz się dostatecznie znudzony, będę mogła pokochać cię natychmiast”); Angielka z Londynu, wyrażająca się jak bohaterka D.H. Lawrence’a („Niesiesz Południe między udami,

w oczach ma El Dorado i czarną krew ofiar, by zapłodnić moją mgłę, rzuć się na dywan, Alec”); dziewczyna z New Yorku, która mówiła jak bohaterka Jacka Richardsona („Nie doszłabym do pierwszej bazy, gdybyś ty był moim Alfonsem, Alex Archivalo. Zróbmy wysiłek, żeby utrzymać naszą reputację. Ooops, tędy już nie. Nie bądź uparty”). *Guinness is good for you. Dubo Dubon Dubonnet. The Pause that Refreshes. Je vous ai compris! Don't Let Labour Ruin It! Go with Goldwater!*

Piwo Wyborowe — Meksyk do budowy używa cementu z Anáhuac — Demokracja i Sprawiedliwość Społeczna. Alejandro mrugał oczyma za czarnymi okularami, podczas gdy taksówka wiozła go wzdłuż szerokich Pustych Alej, pewnego poranka dymu i spalonej tortilli. Rzucił na podłogę swoją brezentową walizkę i rozejrzał się dokoła w nowym domu w Olivar de los Padres, ślepym i białym.

Rojas skrzyżował ramiona i ze zdziwieniem patrzył na nową paletę: farby czerwone, czarne, białe, czyste aluminium.

— Dużo bywałeś w kinie?

Alejandro podrapał się w szyję, stojąc naprzeciw pustego płótna.

— Grafia w ruchu, rozumiesz? Nie jak taniec, który jest ruchem alegorycznym. Nie, nie, nie. Kino ma tę zasługę, że ruch rzeczywisty staje się sztuką: otworzyć drzwi, iść ulicą, poruszać łyżeczką w kubku. Tak to

jest, Rojas. Natura i sztuka są jednym i tym samym w kinie. Więc nie trzeba sobie łamać głowy. Świat zewnętrzny i świat dzieła sztuki są jednakowe. Nie potrzebujesz tłumaczyć sztuki z punktu widzenia społecznego potrzebą zrozumienia czegoś, skoro nie rozumiesz świata, tego dzieła sztuki, które podziwiasz. Skończyło się. Dość tłumaczeń: dzieło jest rzeczywistością, nie jej symbolem, jej wyrazem czy jej znaczeniem. Ale jak, Rojas? Muszę to znaleźć.

Adela przyszła go odwiedzić.

— Wiesz, gdzie co jest, moja piękna. W lodówce znajdziesz gotowe kanapki z pasztem. Jak chcesz, to nastaw płyty, które przywiozłem. Łazienka jest w głębi. Butelki za firanką w pracowni. Zabaw się, czym możesz. Ja się chwilę przedrzemię.

Przygryzł paznokcie i z niechęcią patrzył na pierwszy szkic obrazu: — Dokończę go, Rojas, trzeba sobie narzucić jakąś dyscyplinę. Wiesz, co to jest. Po prostu widzę. Od sześciu stuleci posługujemy się oczami, aby malować. Wszystko jest optyką. Zdajesz sobie sprawę, co za ograniczenie? Linia, kolor, modelowanie, perspektywa, cień — albo geometria, impresja, forma; wszystko jest wizualne, jakbyśmy nie mieli innych organów. Jestem wściekły na siebie, przysięgam ci. Jedenaście lat zmarnowałem, żeby to odkryć. Od Giotta do Mondriana wszyscy dali się nabrać; wszy-

scy starają się używać oczu, malarstwo jest tylko tym chłopcem, który prowadzi ślepcę. Edyp zrozumiał dopiero, kiedy oślepl, czy nie? Z oczyma szeroko otwartymi niczego się nie dowiedział. Teraz muszę wyzbyć się oczu, żeby malować naprawdę.

Lupe wróciła do niego.

— Słuchaj, Johnny Belinda, bądź tak dobra i przejdź do kuchni. Tak. Co robisz rano co dzień? Zrób wszystko tak samo. Nie mów mi, że kiedy jesteś sama, rozmawiasz z sobą albo podśpiewujesz. Niech będzie pochwalony J. C. No, a teraz rób to, co robisz sobie na śniadanie. Pokraj pomarańcze na plasterki. Bardzo dobrze. Teraz najtrudniejsze zadanie. Rozbij i rozmieszaj jajka. Energicznie. Teraz grzanki. Tu masz toaster. Żeby były równiutkie, kwadratowe. Otwórz pudełko płatków, Lupe. Zatrzymaj się. Tak. Nie mów nic, nie mów, nie mów.

Obraz napęłnił się światłami nocy: las reklam świetlnych na ciemnych budynkach.

— Wiem, że to na nic, nie patrz tak na mnie. Zaczekaj. Najpierw trzeba ukryć to, co w końcu obnażymy. Ile czasu trwało, zanim sobie zdali sprawę, że stożki i kule Cézanne'a to gruszki i jabłka? Ile czasu potrzebowali na zrozumienie, że punkty Seurata to plaża, a światła Moneta — dworzec kolejowy? Wiem, że nie wystarczy malować fabrykę, żeby dać pojęcie o dynamice przemysłu. Wiem,

że nie wystarczy ten nocny pejzaż ze swymi reklamami mydła i piwa. Zaczekaj, Rojas, proszę cię, poczekaj. Najpierw muszę oddać to w ten sposób, po to, żeby później usunąć wszystkie fałszywe prestiże: pamięć, czas, zwiastowanie. Muszę to wszystko zabić. Od tej chwili nie zgadzam się mówić, że w malarstwie istnieje postęp, choćby twój dobry gust nazwał to „obietnicą”, albo tradycja, którą ty nazwiesz „pamięcią”, albo czas między jednym i drugim, aby uczynić obraz obiektywnym. Nie zgadzam się. Zaczekaj.

Lola także przyszła go odwiedzić.

— Milcz, nie odzywaj się. Jeżeli znowu powiesz, że nie znamy naszych imion, przysięgam, że ci dam w zęby. Uklęknij. Całuj moje ręce. Nędzna zabawka z gąbki i plastyku. Myślisz, że pozwalam ci wejść do mego domu po to, żebyś plotła od rzeczy? Podnieś twarz. Spójrz na mnie. Czego chcesz? Żebym malował z moją biografią, albo autobiografią, jeszcze gorzej? Myślisz, że możesz sobie pozwolić na taki luksus, żeby być moim natchnieniem albo moim stanem ducha? Albo rozpraszać moje skupienie? Wybierz to sobie z głowy. Służysz tylko do tego, żeby mnie chronić przed obłędem albo samobójstwem. Sypiam z tobą po to, żeby się nie wykastrować albo nie chodzić do psychiatry. Sypiam z tobą i z Lupe, i z Adela, żeby z wami wyczerpać moją biografię i nie dopuścić do

bankructwa mego malarstwa. I żeby nie musieć zaczynać na nowo. Wiesz, co to kosztuje, zaczynać miłość, mówić znowu te same słowa i wierzyć, że te same czyny są nowe? Kryć się przed ojcami, braćmi, mężami? Nie myśl, że będę się zabawiał w Van Gogha razem z jego uchem! Zerwij z siebie te szmaty. Prędko! Chroni mnie przed miłością. Jesteś tu dlatego, że nie stwarzasz mi problemów!

Oddalił się od drugiego płótna z rękami na wargach i błyszczącym wzrokiem.

— Teraz rozumiesz, Rojas? Przedtem chciałem powiedzieć, że między nami możliwa jest sztuka uświęcona. Wszystkie moje figury były przedstawieniem ciemnej strony ukrytej i sakramentalnej, która nadal była sposobem naszego scalenia. Mieliście rację: to była Cocatlicue w swym aktualnym królestwie, Tezcatlipoca w nocnej speluncie, Xipe Totec w autobusie Penitenciaría — Panteones. To nieprawda, Rojas, przysięgam ci. Sztuka jest święta tylko wtedy, kiedy natura jest niebezpieczna. Potrzebuje nieba i piekła, skrajnego wyboru poza ziemią. Bardzo dobrze. W takim razie ziemia i człowiek usiłują uświęcić się sami w czasie. Bardzo dobrze. Idę dalej. Ani ziemia, ani człowiek nie są już święci. Święte jest to. Ta końcowa profanacja. To, co im ofiarowuję. Ani pobożne uczucia, ani twarz ludzka, ani wyzwolona materia, ani światło albo czysty romboid. Nie. W tym jest jedyna

świętość: w negacji świętości. To, czego o ni używają.

Alejandro wyciągnął rękę w stronę skończonego obrazu. Idealna reprodukcja słoiczka sproszkowanej kawy. Szklany słoik z przykrywką i czerwoną etykietką z napisem: Nestlé, kawa przyrządzana błyskawicznie, bez kofeiny. Wyprodukowana w zakładach Ocotlán, Jalisco, znak rejestracyjny.

— Ja zrobiłem, co mogłem — uśmiechnął się Rojas. — Los, to co chciał.

Obraz jest tylko obrazem. Alejandro w końcu zaczął się dobrze czuć w domu na Olivar de los Padres. Spacerował wiele po mieście, zatrzymując się całe godziny, żeby obserwować mury z propagandą partii rządzącej i wizerunek jej kandydata, afisze z filmów meksykańskich, towary wystawione w Minimax. Kupował stare egzemplarze powieści komicznych i sentymentalnych i pokrył ściany pracowni wycinkami z pism, gdzie łączyła się historia meksykańskiej *comic book*, w której występowali don Catarino, Chupamito i Marmerto, z historią rodziny Burrón, i *fumetti* José C. Cruz, poprzez historię Pepina, Chamaquito Chico i Supermędrców. Z niecierpliwością czekał na reklamy telewizyjne, przerywające bez pardonu jego ulubione filmy z lat trzydziestych. I Bogart, Bacall, Errol Flynn, Joan Crawford — czyż nie były to modele konsekracji personalnej — gest, ubranie, metafizy-

ka? Niepewną ręką zaczął malować najprostszymi liniami gazetowego karykaturzysty twarze Humphreya i Laurena w „Wielkim śnie” i zanim sam zasnął, czytywał jedną po drugiej powieści Raymonda Chandlera. I Adela, Lola i Lupe odwiedzały go nadal, punktualne, potulne, przynależne do rodziny, wstrzemięzliwe, obce pracy Alejandra Sevilla, aczkolwiek zaskoczone jego bierną i refleksyjną postawą obserwacji — niemal fetyszyzmu — w obliczu skarpetek do gry w tenisa, butelki z wodą sodową lub koperty popularnej płyty.

— Musisz stąd wyjść. Widziałeś się w lustrze? — Rojas ujął go za ramiona i zaprowadził naprzeciw żółtej butelki *pulque*, w której Alejandro ujrzał swoje wklęsłe odbicie, bardziej niż kiedykolwiek przypominające satyra częstującego dziewczynki cukierkami.

W półmroku mieszkania młoteczek Trini Lopez kierował ruchami par stojących naprzeciw siebie i zajętych ćwiczeniem *surf*. Alejandro przyjął ofiarowany mu kieliszek *cuba-libre*, po czym utorował sobie drogę pośród sztywnych nóg, drżących bioder i kapryśnych ramion i stanął oparty o ścianę w głębi salonu. Zobaczył przechodzącego Rojasa, którego ciągnęła za rękę jego żona: Libertad wachlowała się dłonią i otworzyła okna na ulicę de Elba. Z perspektywy tego siódmego piętra miasto wydało się półkolem

sceny, na której maski proscenium podkreślały konwencjonalność kurtyny w głębi — a także swoją własną, akceptowaną sztuczność. Alejandro zobaczył pana domu, ubranego w jedwabne kimono, u szczytu rozświetlenia. Był to Vargas, młody reżyser teatralny, a ściany mieszkania zdobiły fotosy gwiazdy Lotte Lenya, w różnych fazach jej długiej kariery, od młodej, wymizerowanej prostytutki w „Operze za trzy grosze” do ostatniego jej zdjęcia, które ukazywało ją jako starą lesbijkę, w pantoflach ze sztyletami ukrytymi wewnątrz, u boku agenta nr 007. Salon był sanktuarium — i kryptą — świata Brechta i Weilla: znajdowały się tu nie tylko fotosy wielkich spektakli muzycznych Berlina międzywojennego, lecz także szczegóły umeblowania i dekoracji, które wczoraj jeszcze potępione i zesłane do otchłani drobnomieszczactwa, powracały dziś w całej glorii tęsknot: fałszywa *belle époque* i jej prolongacja w *art nouveau* — wykorzystując konsumpcyjny charakter nowoczesnego mieszkania — zajmowała pozycję wiszącą w kolekcji aksamitnych firanek, lamp z abażurem haftowanym paciorkami i krzesel z frędzlami.

Uroczą rudowłosa żona Vargasasa pojawiła się w rajstopach z czarnej koronki i kapelusiku *à la* Charlie Chaplin w tym samym momencie, gdy skończyła się płyta i dziewczyna o czarnych włosach i błękitnych oczach wy-

łączyła się z kolektywnego tańca i przyciskając ręce do żołądka podeszła do miejsca przy ścianie w głębi, gdzie stał Alejandro. Malarz spojrzał na nią, nie przestając pić. Dziewczyna odzyskała oddech, podziwiając grację, z jaką żona Vargasasa śpiewała „Alabama Song” wśród oklasków i śmiechów zgromadzonych gości. Wewnętrzny niepokój Alejandra trwał zaledwie sekundę: czas potrzebny na przeniesienie myśli od puszki ananasu w konserwach do profilu dziewczyny, niemal ukrytego w masie długich czarnych włosów, które opadały luźno na twarz, aż do kącików nie umalowanych ust. Uśmiechała się zmęczona. Pokiwała ręką komuś na drugim końcu salonu, po czym skrzyżowała ramiona. Alejandro usiłował oderwać od niej wzrok i odzyskać obraz puszki z ananasem. Dziewczyna rozejrzała się w koło. Poruszyła dwoma palcami, uśmiechając się na widok Alejandra. Malarz wyjął pudełko papierosów i poczęstował ją *raleighem*.

Powiedziała:

— Dziękuję. Jestem Joyce.

Alejandro zaświecił zapałkę i przybliżył ją do twarzy Joyce.

— Czy mogę pani coś powiedzieć?

Joyce podniosła na niego oczy. Alejandro nie chciał porównywać tych niebieskich oczu z niczym, a tym mniej przywoływać wspomnienia efeba z brązu wyłowionego z morza

w pobliżu attyckiego przyłądka, o imieniu zapomnianym, lecz ważnym, bo nic nie oznaczało, bo efeb nie zamierzał sławić niczyjego zwycięstwa czy opłakiwać śmierci, tylko być samym sobą, uchwyconym w swej codziennej smukłości.

— Myślę, że jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem.

Joyce zaciągnęła się głęboko dymem. Nie mogła ukryć zmieszania, które wywoływało rumieńce na twarzy.

— To jest mój mąż — wskazała papierosem. — Ten, co śpiewa w chórze, na klęczkach.

— On ci tego nigdy nie mówił?

Joyce utkwiała wzrok w jego oczach.

— Anglosasi nigdy nie mówią frazesów — uśmiechnęła się. — Dlatego wołę Latynów — spuściła oczy. — Prawdę mówiąc, pan jest pierwszym, który mi to mówi.

— Co państwo tu robią?

— Studiujemy archeologię. W tym roku robimy doktorat. Stanford. Tam chcielibyśmy przedstawić pracę. Byliśmy już w Yucatán, w Palenque, w Xochicalco. Pojutrze jedziemy do Tula.

Joyce zmarszczyła brwi. Alejandro ujął jej rękę.

— Nie zawracaj mi głowy — powiedziała sucho dziewczyna. — Przeżyłam już tyle przy-

gód, ile trzeba. Miłość to nie zabawa w komórki do wynajęcia. Wystarczy poznać ją z jednym człowiekiem. To jest coś pośredniego, tajemniczego, paradoksalnego i nie polega na emocjach najbardziej oczywistych. Nie chcę wielkiej namiętności latyńskiej.

— Joyce, nie lubię wstępów. Czy możesz wyjść teraz ze mną?

— Muszę wyjść z moim mężem. Czeka na ciebie jutro o dwunastej w filii National City Bank.

Odeszła w swoich woalach liliowego koloru, wydekoltowana, wysoka, falująca i poważna. Wszyscy zaklaskali i ktoś nastawił płytę z *bossa nova*. Alejandro powoli zszedł po schodach. Winda była nieczynna po jedenastej.

Nazajutrz, kilka minut po dwunastej, wszedł do gmachu o barokowej fasadzie i unowocześnionym wnętrzu i szukał jej pośród drewnianych drzwi i skórzanych krzeseł. Siedziała naprzeciwko urzędnika. Miała głowę okrytą gazową chusteczką i ciemne okulary. Bez makijażu widać było piegi na nosie. Podszedł do niej i podali sobie ręce.

— Zmieniam właśnie naszą pensję miesięczną. Za chwilę będę wolna.

Wzięła pieniądze i podniosła się. W sandałach na niskich obcasach wydawała się znacznie niższa i miała z sobą siatkę na zakupy, w której było kilka puszek konserw

i zabawka dziecinna, jeździec na koniu, upleciony z włókna.

— To dla mego syna — uśmiechnęła się, kiedy wyszli na oślepiające światło ulicy Isabel la Católica. — Przepada za zabawkami meksykańskimi.

— Mam wóz zaparkowany — powiedział Alejandro. Ujął ją pod łokieć i przeszli przez ulicę.

— Muszę wstąpić do „Excelsioru” i dać ogłoszenie — powiedziała Joyce, podczas gdy Opel wolno posuwał się aleją 5 Maja, ścigany przez wszechobecnych sprzedawców biletów na loterię.

— Zdamy razem napić się kawy? — Alejandro zdjął czarne okulary i ścisnął rękę Joyce.

— Najpierw muszę dać ogłoszenie. Potrzebujemy niańki do dziecka. — Joyce także ucisnęła jego rękę. Alejandro podniósł jej rękę do ust. Klaksony wpadły w furję. Oboje przez chwilę obserwowali się ze śmiechem, po czym Opel znowu zaczął się posuwać.

— Powiedzieli mi już, kim jesteś. Podziwiam twoje obrazy. Wszyscy mówią, że to jedyne malarstwo zbliżające się do sztuki tubylców w ujęciu nowoczesnym. Ale bądź pewien, że podobałeś mi się jeszcze przedtem.

— Joyce! Podobasz mi się niewiarogodnie. Przysięgam ci. Spójrz, co się ze mną dzieje. Dotykam cię i ogarnia mnie szaleństwo.

— Nie. Proszę cię bardzo. Tu jest redakcja dziennika. Wsiądziesz ze mną?

— Zaparkuję samochód i czekam cię w „Księgarni Francuskiej”. Potem pójdziemy na kawę gdzieś w pobliżu.

— O. K.

Joyce wysiadła i pobiegła do biur dziennika. Alejandro zajechał na parking, po czym przeszedł piechotą kilkadziesiąt metrów do księgarni.

— Dzień dobry — powiedziała mu Lisette. — Przyszły już książki dla pana.

Przykucnęła pod niską szafką i wyjęła z niej kilka tomów. Alejandro przeglądał reprodukcje Delaunaya i powiedział sobie, że wszystko jest światłem bez przedmiotów: finał Rembrandta. Spojrzał na zegarek. Potem obiegł wzrokiem wnętrze księgarni, wysokie półki i drabinki na kółkach, odpowiednio rozmieszczone popielniczki i wazon z liliami na okrągłym stole pośrodku. Z książkami pod pachą podszedł do kasy i zapłacił.

Wyszedł z księgarni na Paseo de la Reforma.

Przystanął na chwilę, potem szybko doszedł do parkingu, zapłacił i wsiadł do swego Opla. Ruszył boczną ulicą i skręcił w prawo, na ulicę Bucareli.

Nowa wystawa Alejandra została otwarta w zeszłym tygodniu i wywołała skandal. Oskarżono go o wyparcie się samego siebie, odwrócenie się plecami od kraju, o bezczelne

plagiaty z Pop Art. Rojas napisał artykuł w obronie Sevilli. Tytuł brzmiał: „Uświęcenie pospolitości”. Adela, Lupe i Lola znikły już. Wystawa zwabiła kilka nowych kobiet, które dzielą między siebie dni tygodnia w domu na Olivar de los Padres. Wszyscy mówią, że bez względu na to, czy jest dobrym, czy złym artystą, Alejandro, niepoprawny Don Juan, nie ma szczęścia do kobiet. Niedawno przypomniałem mu, że już skończył trzydzieści trzy lata i powinien pomyśleć o małżeństwie. Alejandro tylko spojrzał na mnie ze smutkiem.

MORALNOŚĆ DAWNYCH CZASÓW

Carlosowi Velo

— Czarne sępy! Żarłoczne kruki! Precz z moich oczu! Chcecie, żeby wyschły wszystkie rośliny? Idźcie inną drogą, naokoło domu donii Casildy, ta stara dewotka gotowa ukłęknać na wasz widok! Uszanujcie dom republikanina-juarysty! Czyście kiedy widzieli, że bym ja wchodził do waszych ciemnych świątyń, puchacze! Nie prosiłem was o wizytę. Precz! Precz!

Mój dziadek wymachuje laską, oparty o płot ogrodu. Na pewno urodził się już z tą laską. Myślę, że w nocy zabiera ją z sobą do łóżka, żeby jej nie zgubić. Gałka laski jest zupełnie podobna do dziadka i wyobraża grzywiastego lwa, z oczami rozwartymi szeroko, jakby widział wiele rzeczy naraz, a dziadek też jest grzywiastym starcem i ma żółte oczy, i sięgają mu aż do uszu, kiedy widzi nadchodzących księży i seminarzystów, którzy muszą przejść koło naszego ogrodu, bo to najkrótsza droga do kościoła. Seminarium jest położone na peryferiach miasteczka Morelia i dziadek przysięga się, że je zbudowali na drodze do naszego domu tylko po to, żeby

mu zrobić na złość. Ale on nie używa akurat tego słowa, gorzej to określa. Ciotki mówią, że słowa, których używa dziadek, są niemoralne i ja nie powinienem ich powtarzać. Dziwne, że księżyca zawsze muszą tędy przechodzić, jakby lubili słuchać tego, co on wykrzykuje, zamiast nadłożyć drogi i iść przez posiadłość donii Casildy. Raz tak zrobili, a ona uklękła, żeby ją pobłogosławili, a potem ich zaprosiła na podwieczorek, na filiżankę czekolady. Nie wiem, dlaczego wołać chodzić tędy.

— Któregoś dnia pogniewam się na serio, klechy z nieprawdziwego zdarzenia, i poszczuję was psami.

Prawda, że psy dziadka szczekają głośno na podwórzu czy w ogrodzie, ale jak tylko wyjdą za płot, robią się bardzo łagodne. Kiedy księżyca schodzą ze wzgórza i zaczynają się żegnać, trzy owczarki ujadają i wyją, jakby zobaczyły diabła. Musi im się wydawać dziwny ten widok tylu mężczyzn ubranych w długie spódnice i ogolonych, bo przyzwyczyły się do potarganej brody dziadka, który nigdy jej nie czesze i czasem mi się zdaje, że umyślnie ją targa, zwłaszcza kiedy ciotki przychodzą z wizytą. Fakt, że psy milkną i łagodnieją, jak tylko wyjdą na drogę, a nawet liżą księżom buty i ręce, a księżyca zerkają z ukosa, jakby z uśmiechem, na dziadka, który wali laską w płot i mało nie pęknie ze złości. Chociaż

prawdę mówiąc, to nie wiem, czy księżyca nie patrzą raczej na co innego. Bo dziadek zawsze czeka na tych panów w spódnicy razem z Micaelą, obejmując ją w pół, a Micaela, która jest dużo młodsza od niego, przytula się do dziadka, rozpinając sobie bluzkę i śmieje się, zjada banana jednego po drugim i oczy jej błyszczą tak samo jak zęby, kiedy przechodzą księżyca.

— I co, podoba się wam moja kobita, pijawki? — krzyczy dziadek i mocniej przyciska Micaelę. — Chcecie, żebym wam powiedział, gdzie jest królestwo wiekuiste?

Wybuchają śmiechem i podnosi spódniczkę Micaeli, a księżyca zaczynają biec kłusem jak spłoszone króliki, te, co czasem wychodzą z lasu blisko ogrodu i czekają, żebym im rzucał marchewkę. Dziadek i Micaela śmieją się, a ja razem z nimi, i biorę za rękę dziadka, który płacze ze śmiechu, i mówię:

— Patrz, patrz, skaczą jak króliki. Teraz ich naprawdę przestraszyłeś. Może już nie będą więcej przechodzić tędy.

Dziadek ściska moją rękę w swojej zylastej dłoni, pełnej odcisków żółtych jak polana drzewa w szopie na końcu ogrodu. Psy wracają do domu i znowu zaczynają szczekać. A Micaela zapina sobie bluzkę i gładzi brodę dziadka.

Ale poza tym prawie zawsze żyjemy tu sobie spokojnie. Każdy pracuje, ile chce -- ciot-

ki mówią, że to niemoralne, żeby trzynastoletni chłopak jak ja pracował zamiast chodzić do szkoły, ale nie rozumiem, co chcą powiedzieć. Lubię wstawać wcześnie i biec do wielkiej sypialni, gdzie Micaela zaplata sobie warkocze przed lustrem, ze szpilkami do włosów w zębach, a dziadek pomrukuje jeszcze, w łóżku. Nic dziwnego, jeżeli idzie spać razem z sowami i śpi nie więcej niż cztery godziny, bo gra w remika ze swymi przyjaciółmi do drugiej nad ranem. Toteż o szóstej, kiedy wchodzę do sypialni pełnej mebli, foteli na biegunach z poduszką pod głowę, szaf z lustrami, w których człowiek widzi siebie od stóp do głów, wdrapuję się ze śmiechem na jego łóżko. Dziadek przez chwilę udaje, że śpi, i myśli, że ja w to wierzę. Ja też udaję i nagle on wydaje ryk jak lew, tak że aż trzęsą się kryształowe wisiorki świecznika, a ja udaję przestraszonego i chowam się między te prześcieradła pełne zapachów, których nie ma nigdzie indziej. Tak, czasem Micaela mówi: „Ty jesteś całkiem jak pies, co nic nie widzi, ale kieruje się węchem”. Pewnie to mówi poważnie, bo naprawdę czasem wchodzę do kuchni z zamkniętymi oczami i idę prosto do jogurtu, do słoików z miodem, do garnków ze śmietaną i miseczek z leguminą z mango, którą przygotowuje Micaela. I nie, otwierając oczu przybliżam wargi do blaszanego talerza, gdzie ona kładzie jeden na drugi

gorące *tortillas*. „Wiesz, dziadku — powiedziałem mu pewnego dnia — gdybym chciał, mógłbym wszędzie iść tylko za węchem i nie zablądziłbym, przysięgam.” Na dworze to łatwe. Jeszcze nie wzeszło słońce, a ludzie już są na tartaku i zapach świeżego drzewa sosnowego prowadzi mnie tam, do szopy, gdzie robotnicy układają pnie i gałęzie, a potem piłują je i robią deski i belki. Wszyscy się ze mną witają i mówią: „Alberto, pomóż nam”, bo wiedzą, że to mnie wzbija w dumę, i wiedzą, że ja wiem, że oni wiedzą. Wszędzie leżą stosy trocin i zapach jest taki, jakby tam był prawdziwy las, bo drzewo nie pachnie tak samo ani przedtem, ani potem, ani wtedy, kiedy jest drzewem, ani kiedy jest meblem, drzwiami czy belką w domu. Kiedyś napisano coś złego o dziadku w gazecie w Morelia, że niszczy bezprawnie lasy czy coś w tym rodzaju, i dziadek pojechał do miasta ze swoją laską, i rozbił głowę dziennikarzowi, i potem musiał płacić za wyrządzone szkody, tak napisali w tej samej gazecie. Dziadek jest bardzo fajny. Kto by pomyślał, widząc go w takiej furii, kiedy urąga księżom i dziennikarzom, że może być taki łagodny tam, w cieplarni, za domem. Nie, nie hoduje tam roślin, tylko ptaki. Jest wielkim kolekcjonerem ptaków i myślę, że dlatego mnie tak kocha, bo odziedziczyłem po nim to upodobanie i spędzam całe popołudnie na obserwowaniu ich,

przynoszę im ziarno, wodę i okrywam kapturami, kiedy zasypiają w słońcu.

Ta hodowla ptaków to coś poważnego, i dziadek mówi, że trzeba się dużo uczyć, żeby je dobrze hodować. I ma rację. To nie są pierwsze lepsze wróble czy gołębie. Wiele godzin poświęciłem na odczytanie kartek, które są na każdej klatce i które tłumaczą, skąd te ptaki pochodzą i dlaczego są takie dziwne. Są dwa bażanty; samiec ma o wiele wspanialsze upierzenie i jest bardziej próżny niż samica, jakaś zbiedzona i bezbarwna. I papuga kakadu znad Amazonki, biała z oczyma podkrążonymi niebiesko, jakby nie sypiała w nocy. Albo ptak australijski, który ma pióra czerwone, zielone, fioletowe i żółte. I ptak „płomienisty”, czarno-pomarańczowy. I „królewska wdowa” ze swoim długim ogonem o czterech końcach, który jej wyrasta raz w roku, kiedy szuka męża. I srebrny bażant chiński, koloru lustra, z czerwoną głową. Ach, i przede wszystkim sroki, które rzucają się na wszystko, co błyszczący, i potem chowają to tak, że znaleźć nie można. Dla mnie to największa przyjemność, całe popołudnie mógłbym się tak zabawiać patrząc na ptaki, ale potem przychodzi dziadek i mówi:

— Wszystkie ptaki wiedzą dobrze, kim kto jest, kto je lubi i jak go zabawić. To cały sekret.

Potem zasiadamy do kolacji we troje przy

długim, trochę rozklekotanym stole. Dziadek mówi, że to jedyna klerykalna rzecz, jaką toleruje w swoim domu, bo stół pochodzi z klasztoru.

— I nie martwi mnie to — mówi, kiedy Micaela podaje nam paprykę nadziewaną fasolą i topionym serem — że stół z klasztorowego refektarza skończył w domu liberała. Pan Juarez zamienił kościoły na biblioteki, i najlepszym dowodem, że w kraju wszystko się wali, jest to, że teraz wyrzucili książki, żeby z powrotem umieścić chrzcielnice z wodą święconą. Żeby twoje zmurszałe ciotki chociaż przemyły swoje kaprawe oczy, kiedy idą na mszę.

— Tak, na mycie to te dewotki tracą niewiele czasu — śmieje się Micaela — bo prawie nie wychodzą z zakrystii. Czuć je z daleka starą zasyusianą szmatą.

Dziadek obejmuje jej plecy i wszyscy śmiejemy się, a ja rysuję w zeszytcie trzy ciotki, siostry mojej zmarłej matki, niby trzy ptaki o najbardziej spiczastych dziobach, najbardziej wścibskie i ciekawskie ze wszystkich. I znowu wszyscy zaczynamy się śmiać, tak że aż nas bolą zębra, a z oczu płyną łzy, i twarz dziadka przypomina pomidor. Potem przychodzą przyjaciele na partyjkę remika, a ja idę spać i nazajutrz wcześniej rano wchodzę do sypialni, gdzie śpią dziadek i Micaela, i powtarzają się te same rzeczy, o których

już opowiedziałem, i wszyscy jesteśmy zadowoleni.

Ale dzisiaj, w tartaku, słyszę, że psy szczekają, więc myślę, że to księża idą, i nie chcę stracić tej okazji, bo bardzo lubię słuchać, jak dziadek im wymyśla od wymoczków i rozgniecionych karaluchów, ale dziwne mi się wydaje, że księża przechodzą tak wcześnie. Ale potem słyszę klakson i już wiem, że to przyjechały ciotki, których nie widziałem od Bożego Narodzenia, kiedy mnie zabrały do Morelii i nudziłem się jak mops, podczas kiedy jedna z nich grała na pianinie, a druga śpiewała, a ta trzecia napełniała biskupowi kieliszki ponczem. Postanawiam udawać, że nic nie słyszałem, ale po chwili ogarnia mnie ciekawość, żeby popatrzeć na ten samochód z epoki przedpotopowej, więc wychodzę z tartaku, jakby nigdy nic, gwizdząc i depcząc po trocinach i wiórkach. Wszyscy już weszli do domu. Ale przed drzwiami stoi ten samochód z brezentową fałdowaną budą i wyściełanymi aksamitem siedzeniami, i z poduszkami haftowanymi ręcznie: INRI, SJ, ACJM. Spytałem dziadka, co oznaczają te litery. Ale później. Teraz na pewno stary rozstawia ciotki po kątach, i żeby mu nie przeszkadzać, wchodzę do domu po cichutku, na palcach i chowam się między doniczki z kwiatami, skąd mogę widzieć wszystkich, a oni mnie nie.

Dziadek stoi oparty obiema rękami na lasce,

a w zębach ma cygaro, które dymi jak ekspres do Ciudad Juarez. Micaela stoi ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, śmiejąc się, w progu kuchni. Ciotki siedzą sztywno wyprostowane na tej samej kanapce z wikliny. Wszystkie trzy mają czarne kapelusze i białe rękawiczki i siedzą ze ściśniętymi kolanami. Podobno dwie mają mężów, a ta trzecia w środku jest panną, ale nie ma jak tego sprawdzić, bo ciotka Milagros Tejeda de Ruiz różni się od sióstr tylko tym, że jedna powieka drga jej przez cały czas, jakby w oku miała jakiś pyłek, a jedynym znakiem szczególnym ciotki Angustias Tejeda de Otero jest peruka, która co chwila zjeżdża na bok, zaś ciotka Benedicta Tejeda, niezameżna, wydaje się tylko troszkę od nich młodsza i co chwila wyciera sobie czubek nosa chusteczką z czarnej koronki. Ale poza tym wszystkie trzy są bardzo chude, bardzo blade — prawie żółte — mają spiczaste nosy i ubrane są jednakowo: w żałobne suknie przez całe życie.

— Matka nazywała się Tejeda, ale ojciec Santana, tak jak ja, i to mi daje wszelkie prawa — krzyczy dziadek i wypuszcza dym cygara nosem.

— Wszystko, co w nim przyzwoite, pochodzi od naszej rodziny, don Agustin — mówi doña Milagros z tym swoim oczkiem jak latarnia morska.

— Przyzwoite pochodzi z moich... — krzy-

czy znowu dziadek i napełnia sobie kufel piwem, i warczy na ciotki, które tymczasem zatkanęły sobie uszy. — Ale co wam to tłumaczyć, papugi. Szkoda śliny i języka.

— Rozpusta! — krzyczy doña Angustias poprawiając sobie perukę. — Ta prostytutka, z którą pan żyje bez ślubu!

— Alkohol — mruczy panna Benedicta ze spuszczonej oczyma. — Nie zdziwiłoby nas, gdyby chłopak nauczył się upijać.

— Wyzysk! — krzyczy doña Milagros drapiąc się w policzek. — Każe mu pan pracować jak wyrobnikowi!

— Ciemnota! — mruga oczkami doña Angustias. — Jego noga nie powstała w chrześcijańskiej szkole.

— Grzech! — panna Benedicta składa rączki. — Skończył już trzynaście lat i jeszcze nie przystąpił do Stołu Pańskiego i nigdy nie chodzi na mszę.

— Nieposzanowanie — doña Milagros wyciąga palec wskazując dziadka. — Nieposzanowanie Świętej Matki Kościoła i jego kapłanów, których pan lży plugawie niemal co dzień.

— Bluźnierca! — panna Benedicta przysuwa do oczu czarną chusteczkę.

— Heretyk! — doña Angustias potrząsa głową i peruka opada jej na brwi.

— Rozpustnik! — Doña Milagros nie może już pohamować drgania powieki.

— Żegnaj, mamó Karolciu — śpiewa Mi-caela i strzepuje ścierkę od kurzu.

— Wynoście się — grzmi dziadek z wysoko uniesioną laską i ciotki biorą się za ręce i zamykają oczy. — Jak na wizytę rodzinną, to już trwa dość długo. Wracajcie do swoich różańców i klęczników, i kadzidła! I powiedzcie swoim mężom, żeby się nie kryli za waszymi spódnicami, bo Agustin Santana świątobliwy jest tylko z nazwiska i czeka ich tutaj, kiedy naprawdę zechcą zabrać do siebie chłopca. Niech Bóg wam da „dzień dobry”, bo tylko miłosierdzie może sprawić ten cud. I fora ze dwora.

Ale w chwili gdy dziadek podnosi laskę, doña Angustias pokazuje mu papierek.

— Niech pan się jeszcze chwileczkę wstrzyma. Proszę przeczytać to orzeczenie sądu dla nieletnich. To dokument prawny, don Agustin. Chłopak nie może przebywać w otoczeniu tak jaskrawo niemoralnym. Wieczorem przyjdą tu dwaj żandarmi i zaprowadzą go do domu naszej siostry, Benedicty, która jest samotna i największą radością dla niej będzie wychowanie Alberta na przyzwoitego człowieka i chrześcijanina.

Dom ciotki Benedicty znajduje się w centrum miasta Morelia i z balkonu widać mały plac z ławkami z prętów żelaznych i dużo

żółtych kwiatów. Tuż obok jest kościół, a dom jest stary, jak wszystkie wielkie domy w mieście. Jest tam sień i podwórko, a służący mieszkają na dole i tam też znajduje się kuchnia, gdzie kobiety przez cały dzień wachlują ogień w piecach węglowych. Na górze są salony i pokoje mieszkalne, wszystkie wychodzą na wewnętrzny dziedziniec. Nie mogłem się wybronić i ciotka Milagros powiedziała, że trzeba spalić całe moje stare ubranie (mój kombinezon, buty, koszule) i mam się ubrać tak, jak teraz chodzę ubrany cały czas: granatowy garnitur i biała koszula, sztywna jak babska bluzka. Zafundowali mi starego profesora, takiego trochę bez piątej klepki, żeby mnie nauczył po francusku, jeszcze zanim się złączą lekcje, po wakacjach, i gęba zaczyna mi się wydłużać jak świński ryj od ciągłego wymawiania „u”, tak jak tego chce mój belfer. Jasne, że muszę chodzić co rano do kościoła z ciotką Benedictą i wysiadawać na twardych ławkach, ale to przynajmniej jest jakaś odmiana i nawet mnie trochę bawi. Ciotka i ja prawie zawsze jadamy sami, chociaż czasem przychodzą inne ciotki ze swymi mężami, którzy mnie głaszczą po głowie i mówią „biedaczysko”. A potem spaceruję sam po dziedzińcu albo wracam do sypialni, którą mi dali. Łóżko tu jest ogromne, z moskitierą i z krzyżem u wezglowia. Obok jest mała łazienka z umywalnią i klozetem.

I nudzi mi się tak, że z utęsknieniem wyczekuję godzin posiłku, które są jeszcze najmniej nudne, i na pół godziny przed obiadem zaczynam już się kręcić przy drzwiach jadalni, idę zajrzeć do dwóch kobiet, które pilnują ognia, sprawdzam, co ugotowały, i znów wracam na posterunek przy drzwiach, aż wreszcie jedna ze służących przychodzi nakryć do stołu, a potem ciotka Benedicta wychodzi ze swego pokoju, bierze mnie za rękę i wchodzimy do jadalni.

Mówią, że ciotka Benedicta nie wyszła za mąż, bo jest bardzo wymagająca i żaden mężczyzna jej się nie podoba, i że jest bardzo stara, bo już ma trzydzieści cztery lata. Podczas gdy jemy, patrzę na nią, żeby sprawdzić, czy ona rozumie, że jest o dwadzieścia lat starsza ode mnie, a ona dalej żłopie zupę, nie patrzy ani nic nie mówi. Nigdy się do mnie nie odzywa, a że przy tym siedzimy tak daleko od siebie przy stole, nie zrozumielibyśmy się, nawet gdybyśmy krzyczeli. Próbuję ją porównać do Micaeli, która jest jedyną kobietą, z jaką mieszkałem, bo moja matka umarła, kiedy ja się urodziłem, a ojciec cztery lata później, i od tego czasu mieszkałem z dziadkiem i z konkubiną, jak mówią na nią ciotki.

Co do panny Benedicty, to trzeba stwierdzić, że nigdy się nie śmieje. I mówi tylko po to, żeby powiedzieć to, co już i tak wiem, albo dawać mi polecenia, kiedy ja już ją wy-

przedziłem i robię to, co ona chce, bez potrzeby przypominania. Nie wiem, czy te obiady są czy też tylko mi się wydają bardzo długie, ale staram się zabrać jak mogę. Jednym ze sposobów jest ubierać ciotkę w maskę Micaeli i wyobrażam sobie ją, jak wybuchając śmiechem z głową odrzuconą w tył i oczami, które zawsze jakby pytały, czy ktoś mówi serio, czy żartuje (taka jest Micaela), i to jest bardzo zabawne w zestawieniu z tą czarną suknią zapiętą pod szyję. Inny sposób zabawiania się polega na tym, żeby mówić do niej językiem, który sam wymyśliłem.

— Ciucio lejna mi wyka — mówię na przykład, kiedy chcę, żeby mi nałala kawy.

Ciotka wzdycha i nie musi być chyba taka głupia, bo robi to, czego chcę, i tylko udziela mi lekcji wychowania:

— Mówi się „proszę cioci”, Alberto.

Ale, jak już wytłumaczyłem, w innych rzeczach to ja robię ją w konia, bo kiedy na przykład przychodzi stukać do moich drzwi, żeby mnie zbesztać, że dotychczas nie wstałem, odpowiadam jej już z podwórza, umyty i ubrany, i wtedy ona już nie może się złościć i mówi mi, z jeszcze poważniejszą miną, że pora iść do kościoła, a ja się tylko uśmiecham i pokazuję jej mszał, i wtedy ona już nie wie, co powiedzieć.

Wreszcie któregoś dnia mnie przyłapała, może w miesiąc po zamieszkaniu u niej,

i wszystko przez głupiego księdza. Przygotowują mnie do pierwszej komunii i wszystkie dzieci, które chodzą razem ze mną na lekcje katechizmu, śmieją się, że wielki drab jak ja nigdy nie słyszał o Duchu Świętym. Zresztą w ogóle się ze mnie wyśmiewają, że jestem taki stary, a uczę się razem z nimi. Wczoraj wreszcie przypadła moja kolej na rozmowę w cztery oczy z księdzem, żeby się przygotować do pierwszej spowiedzi. Ksiądz wiele mówił o grzechu i że to nie moja wina, że nic nie wiem o religii i wyrosłem w niemoralnym otoczeniu. Powiedział, że bym się nie martwił i opowiedział mu wszystko, bo on nigdy jeszcze nie musiał przygotowywać do sakramentów chłopca tak zatrutego grzechem jak ja, dla którego perwersja była chlebem powszednim, tak że nawet nie może już rozróżnić dobra i zła. A ja tylko wysilałem móżgownicę, myśląc, jakie to mają być te moje najgorsze grzechy, i kiedy tak siedzieliśmy we dwóch, w pustym kościele, patrząc na siebie i nie wiedząc, co mówić, zacząłem sobie przypominać filmy, jakie widziałem, i dalejze mu wyznawać moje zbrodnie: że napadłem na jakiś dom na wsi i ukradłem nie tylko wszystkie pieniądze, ale jeszcze i kury, że zbiłem kijem starego, ślepego żebraka, że wsadziłem nóż w plecy policjantowi, że przemocą zdarłem ubranie z jakiejś dziewczyny, a potem gryzłem ją w twarz. Ksiądz uniósł

w górę ramiona i przeżegnał się, i powiedział, że to wszystko, co słyszał o dziadku, było jeszcze niczym, i wybiegł czym prędzej z kościoła, jakbym ja był Judaszem.

Nazajutrz rano ciotka wpadła jak bomba do mojej sypialni, zanim jeszcze się obudziłem. Myślałem, że dom się pali. Otworzyła drzwi na oścież i wykrzykiwała moje imię. Obudziłem się i zobaczyłem ją z rozpostartymi ramionami. Potem podeszła i usiadła na moim łóżku, i powiedziała, że zadrwiłem sobie z księdza i że nie to jest najgorsze. Nagadałem mu tych wszystkich kłamstw, żeby zataić moje prawdziwe grzechy. A ja tylko patrzyłem na nią, jakby nagle zwariowała.

— Dlaczego nie wyznasz prawdy? — zapytała biorąc mnie za rękę.

— Jakiej prawdy, ciociu? Słowo daję, że nie rozumiem.

Wtedy ona pogłaskała mnie po głowie i ścisnęła moją rękę.

— Że widziałeś twego dziadka i tę kobietę w nieprzyzwoitych pozach.

Jasne, że moja głupia mina jej nie przekonała, ale przysięgam, że nie zrozumiałem, o czym ona mówi, tym bardziej kiedy mówiła zdławionym głosem, pół krzycząc, pół szlochając:

— Jedno obok drugiego. Kiedy grzeszyli razem w łóżku.

Teraz zrozumiałem.

— Jasne, oni razem śpią. Dziadek mówi, że mężczyzna nigdy nie powinien spać sam, bo inaczej się zeschnie, a kobieta tak samo.

Ciotka zatkąła mi usta ręką. Długo ją trzymała, tak że już zacząłem się dusić. Spojrzała na mnie dziwnie, a potem wstała i wyszła bardzo powoli, nic nie mówiąc, a ja przewróciłem się na drugi bok i znowu zasnąłem, ale ona nie wróciła, żeby mnie zbudzić i żebyśmy poszli na mszę. Zostawiła mnie w spokoju, a ja przeleżałem w łóżku całe przedpołudnie, aż do obiadu, patrząc w sufit i nie myśląc o niczym.

Na dziedzińcu jest dużo jaszczurek. Wiem, że kiedy się na nie patrzy, przybierają kolor kamienia czy drzewa, żeby się zamaskować. Ale ja znam tę sztuczkę i przede mną nie uciekną. Dzisiaj goniłem za nimi przez całą godzinę, śmiejąc się z nich, bo myślą, że ja nie potrafię dostrzec ich oczu, czarnych jak pomalowane główki szpilek. Cała rzecz w tym, żeby nie oderwać spojrzenia od tych oczu, bo oczu nie potrafią ukryć, a że je otwierają i zamykają przez cały czas, wygląda to jak sygnał, który raz po raz się zapala i gaśnie na skrzyżowaniu dróg. I w ten sposób śledzę wzrokiem jedną jaszczurkę, a potem drugą, a kiedy chcę — tak jak teraz — nakrywam je ręką i czuję, jak drżą w mojej dłoni, z gładkim brzuchem i chropowatym

grzbietem, małe, ale obdarzone własnym życiem, jak człowiek. Gdyby wiedziały, że nie zrobię im krzywdy, nie szamotałyby się tak i nie wierciły, ale tak to już jest. Nie ma sposobu im wytłumaczyć. To, co je przeraża, mnie sprawia przyjemność. Trzymam jaszczurkę uwięzioną w dłoni, a ciotka patrzy na mnie z ganku na górze, nie rozumiejąc, co robię. Pędem przebywam schody i przybiegam do niej nie mogąc złapać tchu. Pyta mnie, co robiłem. Przybieram bardzo poważną minę, żeby nie zgadła. Ona wachluje się w cieniu, bo jest bardzo gorąco. Przysuwam zaciśniętą pięść, a ona stara się uśmiechnąć, ale widać, że jej trudno. Otwiera rękę, żeby ująć moją, a ja kładę jej jaszczurkę na dłoni i zmuszam do zaciśnięcia palców. A ona nie krzyczy ani się nie zrywa przerażona, jak myślałem. Nie zaczyna mnie strofować ani nie zrzuca jaszczurki, tylko mocniej zamyka palce, a także oczy, i wydaje się, że chce coś powiedzieć i nie może, nos jej drży i patrzy na mnie tak, jak jeszcze nigdy w życiu nikt nie patrzył, jakby chciała płakać, ale z radości. Mówię jej, że biedna jaszczurka się zadusi, i panna Benedicta pochyła się nad podłogą i nie chce wypuścić stworzonka, ale wreszcie rozwiera palce i jaszczurka ucieka po kamiennych płytach, potem w górę po ścianie i znika. Wtedy zmienia się twarz mojej ciotki, krzywi usta i widzę, że coś jej dokucza, ale nie naprawdę.

Ja wzruszam ramionami, udaję, że tego nie widzę, i wracam biegiem na dziedziniec.

Popołudnie znów spędzam w moim pokoju, nic nie robiąc. Czuję się zmęczony i jakby senny, otumaniony, bo zbiera mi się na straszliwy katar. To chyba przez ten brak słońca i świeżego powietrza w tym ponurym domu. Wszystko zaczyna mnie drażnić. Zaczynam odczuwać brak tartaku, tak samo jak słodyczy przyrządzanych przez Micaelę, ptaków dziadka, uciechy podczas spaceru księży, śmiechów przy kolacji i porannych wtargnięć do sypialni. Wydaje mi się, że życie w tym domu to były jakby wakacje, ale jestem tu już przeszło od miesiąca i mam już dosyć.

Zwlekam z zejściem do jadalni na kolację i spóźniam się, ciotka już siedzi przy stole ze swoją czarną chusteczką w ręce. Zajmuje swoje zwykłe miejsce, ale ona nie wyrzuca mi, że się spóźniłem — a przecież zrobiłem to umyślnie. Przeciwnie. Wydaje się, że ma ochotę uśmiechać się i być uprzejma. Mnie natomiast bierze złość i ochota, żeby wrócić na wieś, do dziadka.

— Mam dla ciebie niespodziankę.

Podaje mi talerz przykryty drugim talerzem, a ja zdejmuję ten z wierzchu. Widzę zebrane kożuszki ze śmietanki.

— Kucharka mówiła, że to ci bardzo smakuje.

— Dziękuję, ciociu — mówię bardzo poważnie.

Jemy w milczeniu i wreszcie, przy kawie z mlekiem, mówię jej, że już mi się bardzo znudziło życie w Morelii i chciałbym, żeby mi pozwoliła wrócić do dziadka, bo tam mi jest przyjemniej.

— Niewdzięcznik — mówi ciotka i ociera usta chusteczką. Nie odpowiadam. Ona powtarza: — Niewdzięcznik!

Potem wstaje prędko i podchodzi do mnie, powtarzając wciąż to słowo, i bierze mnie za rękę: siedzę bardzo poważny, a ona uderza mnie tą swoją długą i kościstą ręką w twarz, ale ja wstrzymuję łzy, więc znowu zaczyna mnie bić i nagle zatrzymuje się, dotyka mego czoła, otwiera szeroko oczy i mówi, że mam gorączkę.

Musi to być paskudna gorączka, bo opuszczają mnie siły, jakbym miał nogi z waty. Ciotka prowadzi mnie do sypialni i mówi, że bym się rozebrał, a ona pójdzie po doktora. Ale w rzeczywistości kręci się bezradnie po pokoju, kiedy ja ściągam granatowe ubranie i białą koszulę, i kalesony, i dygocąc wsuwam się do łóżka.

— Nie wkładasz piżamy?

— Nie, ciociu, zawsze śpię tylko w podkoszulku.

— Masz wysoką gorączkę.

Wychodzi z pokoju, z tymi swoimi gestami

wariatki, a ja zostaję, drżący na całym ciele, i staram się zasnąć, i mówię, że gorączka jest paskudna, żeby coś powiedzieć: w każdym razie zasypiam natychmiast i wszystkie ptaki dziadka wylatują z klatek i krążą nade mną, podnosząc nieprawdopodobny zgiełk, bo wreszcie są wolne; błękitne niebo wypełniają błyskawice pomarańczowe, czerwone, zielone, ale to wszystko trwa bardzo krótko, ptaki są przerażone i jakby chciały wrócić do klatek. Teraz są prawdziwe błyskawice, a ptaki stają się zimne i sztywne, nie mogą już latać, czernieją, tracą pióra, przestają śpiewać, a gdy mija burza i zaczyna świtać, okazuje się, że to nie ptaki, lecz klerycy w sutannach, którzy idą rzędem do kościoła, i doktor mierzy mi puls, a ciotka wydaje się bardzo niespokojna; potem doktor odchodzi i ciotka mówi:

— Obróć się plecami. Muszę cię natrzeć tym balsamem.

Czuję jej lodowate ręce na mojej gorącej skórze. Dziadek macha laską i wykrzykuje sprośne słowa do księży. Balsam pachnie bardzo mocno. Eukaliptusem i kamforą. Psy wciąż szczekają, przerażone. Ciotka naciera balsamem moje plecy, które bolą mnie i zaczynają płonąć. Dziadek krzyczy, ale jego wargi poruszają się w milczeniu. Teraz naciera moje piersi i zapach staje się jeszcze bardziej ostry. Psy szczekają, ale także nie robią hałasu. Jestem mokry od potu i od balsamu, wszystko

we mnie płonie i chcę zasnąć, ale wiem, że już zasnąłem, w tym samym czasie, kiedy zdałem sobie sprawę, że tego chcę. Zimna ręka naciera moje ramiona, zebra i pachy. A psy biegną, spuszczone ze smyczy, wściekłe, aby wbić swoje kły w seminarzystów, którzy w nocy zamieniają się w ptaki. I żółdek pali mnie tak samo jak piersi i plecy, a ciotka wciera i wciera balsam, żeby mnie wyleczyć. Klerycy szczerzą zęby i śmieją się, i rozpościerają ramiona, i odlatują jak sępy, ledwie żywi ze śmiechu. I ja się śmieję, jestem z nich zadowolony, chorowanie sprawia mi przyjemność i nie chcę, żeby ona przestała mnie pielęgnować, proszę, żeby nie odchodziła, biorę jej ręce, gorączka trawi mnie wciąż i balsam pali w uda, i psy biegną przez pole, wyjąc jak kojoty.

Kiedy się obudziłem, minęła noc i ranek, i zachodziło już słońce. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, były cienie na dziedzińcu. Potem zdałem sobie sprawę, że ona siedzi przy łóżku i prosi, żebym coś zjadł, przysuwa łyżkę do moich ust. Spróbowałem płatków owsianych, a potem spojrzałem na moją ciotkę z włosami opadającymi luźno na ramiona i z takim uśmiechem, jakby mi za coś dziękowała. Pozwoliłem karmić się owsianką, jakbym był dzieckiem, po łyżeczce, i powiedziałem, że już czuję się lepiej i dziękuję jej za opiekę. Zaczerwieniła się i powiedziała,

że nareszcie się przekonałem, że w tym domu także mnie kochają.

Przeleżałem jakieś dziesięć dni w łóżku. Najpierw przeczytałem górę powieści i doszedłem do wniosku, że powieści na bronchit działają równie dobrze, jak deszcz na zasiewy. Ale najciekawsze, że ciotka wychodziła, żeby je kupować, trochę tak jak złodziej idzie kraść, i przynosiła je po kryjomu; ja tylko wzruszałem ramionami i rzucałem się do czytania. Jednym tchem połknąłem cudowną historię o tym facecie, co wychodzi z więzienia udając nieboszczyka, i wrzucają go do morza i potem ląduje na wyspie Monte-Cristo. Ale nigdy jeszcze nie czytałem tyle naraz, tak że w końcu mi się znudziło i potem spędzałem czas na rozmyślaniu i patrzeniu, jak mijają godziny, według przesuwania się cieni i światła po ścianach mego pokoju. Kto by mnie zobaczył, myślałby, że jestem bardzo spokojny, ale w środku działały się ze mną rzeczy, których nie rozumiałem. A wszystko dlatego, że już nie byłem taki pewien, jak dotychczas. Przedtem, gdybym miał do wyboru: wracać do dziadka czy zostać tutaj, wróciłbym czym prędzej, nie namyślając się. Ale teraz nie wiedziałem. Nie mogłem się zdecydować. A pytanie powracało, chociaż starałem się je odsuwać od siebie albo zabawiałem się myśląc o innych rzeczach. Jasne, że gdyby ktoś mnie zapytał, wiem, co bym odpowiedział, i wró-

ciłbym na wieść. Ale sam sobie nie mogłem odpowiedzieć, zdawałem sobie z tego sprawę, a także z tego, że pierwszy raz spotyka mnie coś podobnego: że to, co myślę na zewnątrz, różni się od tego, co myślę w środku.

Nie wiem, co z tym wszystkim miała wspólnego moja ciotka. Powiedziałem sobie, że nic. Wydawała się taka, jak zawsze, ale była inna. Wchodziła do mnie tylko po to, żeby sama przynieść mi jedzenie, zmierzyć mi temperaturę i sprawdzić, czy wziąłem lekarstwo. Ale obserwowałem ją kątem oka i widziałem, że im bardziej wydawała się smutna, tym była weselsza, im weselej się śmiała, tym większą można w niej było zauważyć ochotę do płaczu, a kiedy siadała w kołyszącym się fotelu i wachlowała się — kiedy robiła wrażenie wypoczętej i całkowicie beztroskiej — tym bardziej czułem, że czegoś chce, a im więcej krzątała się i gadała, tym wyraźniej widziałem, że czegoś nie chce, że chciałaby wyjść z mego pokoju i zamknąć się w swoim.

Minęło dziesięć dni i nie mogłem już dłużej znieść potu i brudu, i sztywnych włosów. Wtedy ciotka powiedziała, że już jestem zdrow i mogę się wykapać. Wskoczyłem uszczęśliwiony z łóżka, ale, psiakrew, zakręciło mi się w głowie i omal nie upadłem. Ciotka podbiegła na pomoc i zaprowadziła mnie do łazienki. Usiadłem, wciąż bardzo osłabiony, a ona tymczasem odkręcała kurki z go-

racą i zimną wodą i próbowała ręką temperaturę, póki nie napełniła się wanna. Potem powiedziała, żebym wszedł do wody, więc ja poprosiłem, żeby wyszła, i ona zapytała, dlaczego. Powiedziałem, że się wstydzę.

— Nie bądź śmieszny. Weź pod uwagę, że jestem dla ciebie jak mama. Albo Micaela. Ona nigdy cię nie kąpała?

Powiedziałem, że i owszem, kiedy byłem mały. Ona twierdziła, że to wszystko jedno. Że jest tak jakby moją matką, bo pielęgnowała mnie jak syna podczas choroby. Podeszła bliżej i zaczęła mi rozpinąć piżamę i płakać, i mówić, że ja wypełniłem jej życie, że któregoś dnia opowie mi całe swoje życie. Zasłoniłem się jak mogłem i wszedłem do wanny, omal się nie pośliznąłem. Ona mnie namydliła i zaczęła trzeć, tak samo jak tamtego wieczora. Wiedziała, że to mi się podoba, i pozwoliłem jej robić co chciała, podczas gdy ona mówiła — i powtórzyła to parę razy — że ja nie wiem, co to znaczy samotność, i powiedziała, że jeszcze na Boże Narodzenie byłem zupełnym dzieckiem; woda była ciepła i czułem się dobrze namydlony, oczyszczony ze znużenia chorobą przez te ręce, które mnie pieściły. Ona wiedziała wcześniej niż ja, że już nie wytrzymuję, i sama wyciągnęła mnie z wanny i objęła mnie ramionami.

Teraz już tu mieszkam od czterech miesięcy. Benedicta prosi, żebym mówił do niej „cio-

ciu" przy ludziach. Bawi mnie to przemykanie się korytarzem w nocy i nad ranem, a wczoraj omal mnie nie przyłapała kucharka. Ale czasem czuję się zmęczony, zwłaszcza kiedy Benedicta płacze i krzyczy, i klęczy przed krucyfiksem z rozpostartymi ramionami. Nigdy już nie chodzimy na mszę i nie przyjmujemy komunii. I nikt nie wspomina więcej o posłaniu mnie do szkoły. Ale pomimo wszystko tęsknię za życiem w domu dziadka i mam już napisany list, w którym proszę, żeby przyjechał mnie zabrać, bo nudno mi bez tartaku i ptaków, i wesołych kolacji we trójkę. Tyle że go nigdy nie wysyłam. Owszem, dopisuję tam co dzień różne rzeczy, półsłówkami daję mu do zrozumienia, co jest, może stary się zorientuje. Ale nie wysyłam listu. Czego nie potrafię opisać, to jak bardzo wyładniała Benedicta od tego czasu, kiedy przyjechała do nas na wieś, sztywna i w żałobie, i chciałbym powiedzieć Micaeli i dziadkowi, że Benedicta też potrafi być bardzo miła i ma miękkie, przyjemne ciało i oczy zupełnie inne niż dawniej, błyszczące i szeroko otwarte, i cała jest bardzo biała. Niedobrze tylko, że czasem jęczy i szłocha, i tak się wykrzywia. Ciekawe, czy któregoś dnia wyślę ten list. Dzisiaj się przestraszyłem i nawet się podpisałem, ale jeszcze nie zaklejam koperty. Benedicta i ciotka Milagros długo coś szeptały między sobą w salonie, za tą zasłoną z paciorków, która

tak szeleści, kiedy się wchodzi i wychodzi. A potem ciotka Milagros, z tym okiem, co się przez cały czas rusza, przyszła do mego pokoju i zaczęła mnie głaskać po głowie i spytała, czy nie chciałbym spędzić parę dni u niej w domu. Wtedy bardzo spoważniałem i zacząłem rozmyślać. Tylko że właściwie nie wiem, co myśleć. Dopisałem jeszcze kilka zdań do listu do dziadka: „Przyjedź po mnie, bardzo proszę. Coś mi się zdaje, że u was w domu żyje się dużo moralniej. Opowiem ci wszystko”. I włożyłem list z powrotem do koperty. Ale jeszcze się nie decyduję go wysłać.

KOSZTY ŻYCIA

Fernandowi Benitez

Salvador Rentería wstał bardzo wcześnie. Przebiegł przez taras. Nie zapalił bojlera. Ściągnął krótkie kalesony i pod zimnym prysznicem od razu poczuł się lepiej. Energicznie wytarł się ręcznikiem i wrócił do pokoju. Ana zapytała go z łóżka, czy będzie jadł śniadanie. Salvador odpowiedział, że wypije kawę na mieście. Jego żona od dwóch tygodni leżała w łóżku i jej twarz, powleczone skórą o brunatnym odcieniu, wychudła przeraźliwie. Spytała Salvadora, czy nie było jakiegoś polecenia z biura, a on włożył papierosa między wargi i odpowiedział, że oni chcą, żeby ona sama poszła podpisać oświadczenie. Ana westchnęła i zapytała:

— Jak to, chcą?

— Powiedziałem im, że teraz nie możesz, ale wiesz, jak to jest.

— Co ci mówił doktor?

Wyrzucił nie zapalonego papierosa przez wybitą szybę okna i przesunął palcami po włosach i skroniach. Ana uśmiechnęła się i poprawiła poduszki tak, żeby oprzeć plecy. Salvador usiadł obok niej, ujął jej rękę i powie-

dział, żeby się nie martwiła, że wkrótce wróci do pracy. Oboje umilkli i patrzyli na drewnianą szafę, na ubranie, kredens z naczyniami kuchennymi i zapasami, piecyk elektryczny, umywalkę i stosy starych gazet. Salvador pocałował rękę żony i wyszedł z pokoju na taras. Zbiegł kuchennymi schodami, przeszedł przez wewnętrzne podwórko pomiędzy psami i dziećmi jeżdżącymi na wrotkach, wdychając mieszaninę zapachów kuchennych z sąsiedztwa. Wyszedł na ulicę i wstąpił do sklepiku na miejscu dawnego garażu. Stary sprzedawca powiedział mu, że „Life” w wersji hiszpańskiej jeszcze nie przyszło, i dalej chodził od jednej półki do drugiej, otwierając kłódki. Wskazał etażerkę, na której leżał stos opowieści w obrazach, i powiedział:

— Może się znajdzie jeszcze jedno pismo dla twojej żony. Ludzie się nudzą, kiedy muszą leżeć w łóżku.

Salvador wyszedł. Ulicę przebiegła gromada dzieci strzelając z pistoletów bez prochu, a za nim jakiś człowiek pędził przed sobą kilka kóz. Salvador kupił od niego litr mleka i powiedział, żeby to zanieść pod numer 12. Wepchnął ręce do kieszeni i przyspieszył kroku, żeby złapać autobus. Wskoczył do autobusu w biegu, poszukał w kieszeni trzydziestu centavos i usiadł, patrząc na mijające go cyprysy, domy, bramy z kutego żelaza i zakurzone ulice San Francisco Xocotitla. Autobus jechał

wzdłuż linii kolejowej, mostem Nonoalco. Nad szynami unosił się dym. Siedząc na swojej ławce obserwował ciężarówki wjeżdżające do miasta z transportem. Na przystanku Manuel Gonzalez wsiadł kontroler, żeby przedziurkować bilety, i Salvador wysiadł na następnej stacji.

Doszedł do domu swego ojca od strony Vallejo. Przeszedł przez ogródek z wyschniętą trawą i otworzył drzwi. Klemencja przywitała się z nim i Salvador spytał, czy stary już wstał, a Pedro Rentería wysunął głowę zza firanki, oddzielającej sypialnię od salonu, i powiedział:

— Ależ ranny ptaszek z ciebie! Zaczekaj chwilkę, już idę.

Salvador poklepał oparcia krzesel. Klemencja wytarła ścierką stół z nie heblowanych desek, potem wyjęła z serwantki obrus i gliniane talerze. Zapytała o zdrowie Anity i poprawiła stanik pod kwiecistym szlafrokiem.

— Lepiej. Powolutku wraca do siebie.

— Na pewno potrzebuje pomocy. Gdyby nie była taka trudna w pożyciu...

Oboje spojrzeli na siebie, potem Salvador powiódł wzrokiem po ścianach z zaciekami wody spływającej z tarasu. Odsunął firankę i wszedł do nie sprzątniętej sypialni. Jego ojciec wycierał mydło z twarzy. Salvador poklepał go po ramieniu i pocałował w czoło. Pedro uszczypnął go w brzuch. Obaj widzieli

się nawzajem w lustrze. Byli do siebie podobni, ale ojciec miał większą łysinę i bardziej kręcone włosy. Zapytał, co go tu sprowadza o tak wczesnej godzinie, a Salvador odpowiedział, że później nie może przyjść, że Ana bardzo źle się czuje i nie będzie mogła pracować przez cały miesiąc, i że potrzebuje pieniędzy. Pedro wzruszył ramionami, a Salvador wyjaśnił, że nie zamierza prosić go o pożyczkę.

— Przyszło mi do głowy, że mógłbyś pomówić z twoim szefem. Może by znalazł coś dla mnie.

— Może być, kto wie. Pomóż mi z tymi szelkami.

— Bo tak, jak jest, absolutnie nam nie starcza.

— Nie martw się. Coś się znajdzie. Może ja coś wymyślę.

Pedro zapiął pasek od spodni i wziął czapkę szofera ze stolika przy łóżku. Uściskał Salvadora i zaprowadził go do stołu. Powąchał jajecznicę „po wiejsku”, którą Klemencja postawiła na środku stołu.

— Nałóż sobie, Chava. Chyba nie wątpisz, że z całego serca chciałbym ci pomóc. Ale sam widzisz, jak skromnie żyjemy, Klemencja i ja, z tym, że się oszczędza na obiedzie i kolacji, bo jem w domu szefa. Gdyby nie to... W biedzie się człowiek narodził i w biedzie umrze. Ale zrozum, że jeżeli zacznę prosić

o przysługi osobiste, to don José — wiesz, jaki jest twardy i chciwy — później każe sobie za to zapłacić i trzeba się będzie pożegnać z podwyżką. Wierz mi, Chava, muszę od niego wydusić te dwieście pięćdziesiąt.

Posmarował sosem placek kukurydziany i zniżył głos:

— Wiem, że czcisz pamięć twojej matki, a ja to już nie ma co mówić, ale utrzymywać dwa domy, kiedy moglibyśmy mieszkać wszyscy razem i zaoszczędzić coś na starość... No dobrze, mniejsza o to. Ale w takim razie powiedz mi, czemu nie mieszkacie z teściami?

— Sam wiesz, jaka jest doña Concha. Przez cały dzień gderze, czy Ana się nadaje do tego, czy owego. Wiesz, że dlatego wynieśliśmy się od nich.

— No więc jeśli chcesz być niezależny, to wynajmij pokój osobno. Nie martw się. Pomyszę nad tym.

Klemencja wytarła oczy fartuchem i zajęła miejsce między ojcem i synem.

— A co z dziećmi? — spytała.

— Są u rodziców Any — odpowiedział Salvador. — Pobędą tam jakiś czas, zanim ona wróci do zdrowia.

Pedro powiedział, że musi zawieźć szefa do Acapulco.

— Jeżeli czegoś będziesz potrzebował, powiedz Klemencji. Już wiem. Wstąp do mojego przyjaciela Juana Olmedo. To mój stary kum-

pel i ma taksówek ile chcesz. Zatelefonuję do niego i uprzedzę, że przyjdiesz.

Ucałował rękę ojca i wyszedł.

Otworzył drzwi z matową szybą i wszedł do biura, gdzie znajdowała się sekretarka i młodszy księgowy, a także meble z metalu, maszyna do pisania i do liczenia. Powiedział swoje nazwisko i sekretarka poszła go zameldować dyrektorowi, panu Olmedo, a potem wpuściła go do gabinetu. Był to mężczyzna chudy i bardzo niski; obaj zasiedli w skórzanych fotelach przed niskim stołem ze szklanym blatem i fotografiami z bankietów i uroczystości biurowych. Salvador powiedział, że poszukuje pracy dodatkowej, bo skromna pensja nauczyciela nie wystarcza mu na utrzymanie rodziny, i Olmedo zaczął szukać w wielkich czarnych notesach.

— Masz szczęście — powiedział drapiąc się w spiczaste włochate ucho. — Tu są bardzo dobre godziny, między siódmą a dwunastą wieczorem. Wielu ubiega się o tę pracę, bo ja dbam o moich pracowników — zamknął z hałasem ogromny notes. — Ale ponieważ jesteś synem mego starego kumpla, Pedrito, dam ją tobie. Zaczniemy już od dzisiaj. Jeżeli będziesz dobrze pracował, możesz wyciągnąć do dwudziestu pesos dziennie.

Przez kilka sekund słyszał tylko klekot maszyny do liczenia i szum silników na Alei 20 Listopada. Olmedo powiedział, że musi

wyść, i poprosił Salvadora, żeby mu towarzyszył. Zjechali windą na dół nie rozmawiając i gdy wyszli na ulicę, Olmedo powiedział mu, żeby podnosił chorągiewkę za każdym razem, kiedy pasażer zatrzyma się, żeby coś załatwić, bo byli tacy, co na jeden kurs wozili pasażera przez godzinę po całym mieście. Ujął go pod łokieć i weszli do siedziby Dystryktu Federalnego, potem na górę po schodach. Olmedo dalej mówił, że zabrania mu brać do samochodu wszystkich ludzi, którzy idą tą drogą.

— Jednego podrzucisz tu, drugiego tam i po jakimś czasie już przyjechałeś z Villa do Pedregal, za jednym kursem. Z takimi w ogóle nie ma co gadać.

Olmedo ofiarował pudełko „ciągutek” jednej z sekretarek i poprosił, żeby go wprowadziła do gabinetu szefa. Panienska podziękowała za słodycze i poszła go zameldować, a Olmedo tymczasem żartował z resztą personelu i zaprosił ich na piwo w sobotę, a potem na partię domina. Salvador pożegnał się, dziękując, a Olmedo powiedział jeszcze:

— Masz prawo jazdy w porządku? Nie chcę kłopotów z policją. Zgłoś się dziś wieczorem przed siódmą. Poszukaj tam Toribia, dyspozytora. On ci przydzieli wóz. Żadnego podrzucania za jednego peso, już ci powiedziałem: drzwiczki się tylko niszczą. I każdy kurs liczony osobno od nowa. Jak tylko pasażer wy-

chyli się przez okno, choćby po to, żeby spluć na ulicę, przestawiasz licznik. Pozdrów ode mnie starego.

Spojrzał na zegar katedry. Jedenasta. Chwilę spacerował po placu i zabawiał się obserwowaniem skrzyń i koszy z pomidorami, pomarańczami, arbusami. Usiadł na ławce, żeby zapalić papierosa, obok ładowaczy, którzy pili piwo i przeglądali dzienniki sportowe. Znudził się po chwili i poszedł na plac San Juan de Letrán. Przed nim szła jakaś dziewczyna. Paczka wypadła jej z rąk i Salvador pośpieszył się, by ją podnieść, a ona uśmiechnęła się i podziękowała. Młody człowiek ucisnął jej ramię i powiedział:

— Pójdziemy napić się limoniady?

— Przepraszam pana, nie jestem przyzwyczajona...

— Proszę mi wybaczyć. Nie chciałbym się narzucać.

Dziewczyna szła dalej, drobnymi, szybkimi krokami. Miała na sobie białą spódniczkę i kręciła biodrem. Kątem oka zerknęła na wystawy sklepowe. Salvador szedł za nią z daleka. W pewnej chwili dziewczyna zatrzymała się przed wózkiem z lodami, poprosiła o rozek lodów poziomkowych i Salvador wyprzedził ją, płacąc, a ona uśmiechnęła się i podziękowała. Potem weszli do kiosku z napo-

jami chłodzącymi i zamówili sok z jabłek. Ona zapytała go o zawód, a on kazał jej zgadywać i zaczął poruszać pięściami jak bokser, więc powiedziała, że on jest bokserem, a on się roześmiał i powiedział, że za młodych lat trenował w „Plan Sexenal”, ale naprawdę to jest nauczycielem. Ona powiedziała mu, że pracuje w kasie biletowej kina. Poruszył ramieniem i wyrócił butelkę z płynnym owocem i oboje bardzo się śmieli.

Razem wsiedli do autobusu. Nie rozmawiali. On wziął ją za rękę i wysiedli przed Laskiem Chapultepec. Samochody krążyły powoli alejami parku. Wśród nich było wiele kabrioletów, pełnych młodzieży. Kobiety prowadziły dzieci za rękę albo popychały w wózku. Dzieci ssali lizaki i watę cukrową. Słychać było gwizdki sprzedawców baloników i muzykę orkiestry w altanie. Dziewczyna powiedziała, że lubi zabawiać się zgadywaniem, czym się zajmują ludzie spacerujący po parku. Śmiała się i pokazywała palcem: czarną marynarkę i koszulę z otwartym kołnierzem, pantofle skórzane albo sandały, bawełnianą spódniczkę albo bluzkę naszywaną paciorkami, koszulkę w paski, lakierowany obcas. Powiedziała, że ci ludzie to: stolarz, elektryk, urzędniczka, księgowy, nauczyciel, służąca. Doszli do jeziora i wynajęli łódkę. Salvador zdjął kurtkę i zawiązał rękawy koszuli. Dziewczyna zanurzyła palce w wodzie i zamknęła oczy.

Salvador wiosłując gwizdał różne melodie, urywane w połowie. Zatrzymał się i dotknął kolana dziewczyny. Otworzyła oczy i poprawiła sobie spódniczkę. Kiedy wrócili do przystani, powiedziała, że musi wracać na obiad do domu. Umówili się na jutro o jedenastej po zamknięciu kasy w kinie.

Wszedł do baru Kiko i rozejrzał się szukając przyjaciół przy stolikach z blaszanych rur i linoleum. Z daleka zobaczył ślepego Macario i poszedł przysiąść się do niego. Macario poprosił go, żeby wrzucił dwudziestocentówkę do szafy grającej, a po chwili nadszedł Alfredo i wszyscy trzej zamówili kurczaka w paprykowym sosie i piwo, i słuchali piosenki o niewdzięcznej dziewczynie, co „za innym poszła, bo jej się lepiej podobał niż ja”. Jak zawsze zaczęli mówić o dawnych czasach, wspominać lata szkolne i najładniejsze dziewczęta w dzielnicy, Rosę i Remedios. Macario zachęcał tamtych do opowiadania. Alfredo powiedział, że dzisiejsi chłopcy są o wiele twardsi, od razu chwytają za nóż i tak dalej. Oni właściwie byli dosyć naiwni. Przypomniawszy, jak drużyna z politechniki wyzwała ich na partię futbolu po to tylko, żeby ich skopać po nogach. Wszystko skończyło się walką na pięści, tam, na tym pustym placu pod budowę na ulicy Mirto, i Macario

przyszedł z kijem do base-ballu, i tamtych jakby sparaliżowało na widok ślepcy, który rozdawał ciosy na lewo i na prawo. Macario powiedział, że od tego czasu wszyscy go przyjęli za kumpla, a Salvador dodał, że to głównie za te miny, które robił, wywracając białkami oczu, i ruszał uszami, tak że można było pęknąć ze śmiechu. Macario powiedział, że to on sam konał ze śmiechu, bo od dziesiątego roku życia jego ojciec wmawiał mu, żeby się nie martwił, że nigdy nie będzie musiał pracować, bo ostatecznie ten ich sklepik dobrze idzie, toteż Macario zaczął ćwiczyć swoją siłę fizyczną, żeby móc się bronić. Powiedział, że dla niego radio było szkołą i stąd nauczył się swoich żartów i odzywek. Potem wspomnieli swego kumpla Raimundo i na chwilę umilkli i zamówili nowe piwo, i Salvador spojrział na ulicę, i wspomniął, jak to kiedyś on i Raimundo wracali w nocy razem do domu w okresie egzaminów i Raimundo prosił go o wytłumaczenie czegoś, co mu się pomyliło z algebry, a potem przystanął na chwilę na rogu ulicy Sullivan i Ramon Guzman, zanim się rozeszli, i powiedział:

— Wiesz co? Boję się, sam nie wiem czemu, przechodzić przez ten ostatni odcinek. Tutaj jakby się kończyła dzielnica. Dalej już nie wiem, co jest. Mówię ci o tym, bo jesteś moim kumplem. Słowo daję, że się boję.

Wtedy Alfredo wspomniął, jak to, kiedy zdał egzamin dyplomowy, rodzina podarowała mu stary samochód i wszyscy postanowili uczcić tę uroczystość i jeździli po wszystkich tanich knajpach w mieście. Byli już dobrze zalani i Raimundo powiedział, że Alfredo nie umie prowadzić, i zaczęli sobie wyrywać kierownicę, i samochód omal się nie wywrócił na placu de la Reforma, a potem Raimundo powiedział, że musi się wyrzygać, i drzwiczki się otworzyły, a Raimundo wypadł na ulicę i skrzył sobie kark.

Zapłacili i pożegnali się.

Skończył trzecią lekcję tego popołudnia i miał palce umazane kredą po wyrysowaniu mapy Republiki na tablicy. Kiedy dzieci wyszły z klasy, spacerował przez chwilę między pulpitami i usiadł na ostatniej ławce. Jedyna żarówka zwisała z sufitu na długim sznurku. Patrzył na barwne plamy wskazujące góry, linie zwrotnika, pustynie i mesetę. Nigdy nie umiał dobrze rysować: Jukatan wychodził za duży. Dolna Kalifornia za krótka. W klasie pachniało trocinami i tornistrami ze skóry. Cristobal, nauczyciel V roku, zajrzał przez drzwi i zapytał: — Co jest?

Salvador podszedł do tablicy i zmazał mapę moką ścierką. Cristobal wyjął paczkę papierosów i zapalili. Podłoga trzeszczała, kiedy

układali w skrzynce kawałki kredy. Usiedli i czekali, a po chwili weszli inni profesorowie i dyrektor Durán.

Dyrektor usiadł na krześle za katedrą, a inni zajęli miejsca w ławkach. Dyrektor patrzył na wszystkich swymi czarnymi oczyma, a oni patrzyli na niego, jego smagłą twarz, niebieską koszulę i fioletowy krawat. Dyrektor oświadczył, że nikt nie umiera z głodu i że wszystkim jest trudno, a nauczyciele zirytowali się i jeden z nich powiedział, że po lekcjach w szkole dziurkuje bilety w autobusie, a jedna z nauczycielek, że pracuje na nocną zmianę w barze na Santa Maria la Redonda, a jeszcze ktoś, że założył sobie kiosk ze słodyczami, z własnych oszczędności, i przyszedł tu tylko przez solidarność. Durán powiedział im, że w ten sposób tracą wysługę lat, emeryturę, a nawet posady, i prosił, żeby się nie narażali. Wszyscy wstali i wyszli, a Salvador zobaczył, że już dochodzi wpół do siódmej, wybiegł więc na ulicę, przedostał się na drugą stronę między samochodami i wskoczył do autobusu.

Wysiadł na placu Zócalo i poszedł do biura Olmeda. Toribio powiedział, że o siódmej dostarczą mu samochód i żeby zaczekał parę minut. Salvador oparł się o ścianę i otworzył plan miasta Meksyku. Studiował go przez chwilę, potem zamknął i przejrzał zeszyty arytmetyczne.

— Gdzie łatwiej zarobić? — spytał Toribio. — Zasuwać po centrum czy na osiedlach?

— Z dała od centrum jedziesz szybciej, ale za to spalasz więcej benzyny. Pamiętaj, że za benzynę ty płacisz.

Salvador roześmiał się.

— Może w bramach hotelowych są Amerykanie i będą dawać dobre napiwki.

— Masz tu swój wóz — powiedział mu Toribio.

— To ty jesteś ten nowy? — krzyknął kierowca, który wjechał na plac. Otarł pot z czoła szmatą i wysiadł z samochodu. — Masz wóz. Najpierw prowadź powolutku, bo czasem się zacina. Sam zamykaj drzwiczki, bo ci je rozwalą. Uważaj na wszystko.

Salvador usiadł za kierownicą i schował zeszyty do skrytki. Wytarł szmatą lepkie koło. Obicie siedzenia było jeszcze ciepłe. Wysiadł i przesunął szmatą po szybach. Wsiadł znowu i umieścił lusterko na wysokości oczu. Zapalił silnik. Podniósł chorągiewkę. Ręce miał spocone. Ruszył ulicą 20 Listopada. Prawie natychmiast zatrzymał go jakiś mężczyzna i kazał się zawieźć do kina Cosmos.

Pasażer wysiadł przed kinem, a przez okienko wsunął głowę Cristobal i powiedział: „Co za cud! Kogo widzę?” Salvador zapytał go, co tu robi, a Cristobal powiedział, że musi iść do drukarni pana Flores Carranza na Ribera de San Cosme, i Salvador zaofiarował się

go podwieźć. Cristobal wsiadł do taksówki, ale powiedział, że zgadza się tylko pod warunkiem, że mu zapłaci jak każdy inny pasażer. Salvador roześmiał się i powiedział, że tego jeszcze brakowało. Rozmawiali o boksie i umówili się, że pójdą razem na mecz w piątek. Salvador opowiedział mu o dziewczynie, którą poznał rano. Cristobal zaczął mówić o uczniach z V roku, i tak dojechali do drukarni. Salvador stanął i wysiedli obaj.

Weszli przez wąskie drzwiczki w długi, ciemny korytarz. Drukarnia mieściła się w głębi, pan Flores Carranza przywitał ich, a Cristobal zapytał, czy odezwy już gotowe. Zecer zdjął daszek chroniący oczy od światła, przytaknął głową i pokazał mu stronicę zadrukowaną czarnymi i czerwonymi czcionkami, które wzywały do strajku. Wręczono mu cztery paczki. Salvador wziął od niego dwie i wyszedł, podczas gdy Cristobal regulował rachunek.

Szedł długim, ciemnym korytarzem. Z daleka dobiegł odgłos samochodów przejeżdżających Ribera de San Cosme. W połowie korytarza uczuł czyjąś rękę na ramieniu i ktoś powiedział:

— Powolutku, powolutku.

— Przepraszam — powiedział Salvador. — To dlatego, że tu tak ciemno.

— Ciemno? Zaraz się zrobi jaśniej.

Mężczyzna wetknął sobie papierosa między

wargi i uśmiechnął się, a Salvador powiedział „dobranoc panu”, ale ręka znów opadła na jego ramię. Nieznajomy stwierdził, że Salvador jest zapewne tym jednym z „profesorów”, którzy go nie znają, a Salvadorowi zaczęło się to nie podobać i powiedział, że się śpieszy, ale nieznajomy nie puszczał go.

— KCM — powiedział — to właśnie ja.

Salvador zobaczył, że u wylotu korytarza zapaliły się cztery papierosy, przycisnął paczki do piersi i obejrzał się w tył. Jeszcze jeden papieros zapalił się naprzeciw wejścia do drukarni.

— KCM: Kawaler Ciemnej Gwiazdy. Musiałeś o mnie słyszeć!

Oczy Salvadora, oswojone już trochę z ciemnością, dostrzegły kapelusz nieznajomego i rękę, która wzięła od niego jedną z paczek.

— No, przedstawiłem ci się grzecznie. Daj teraz tę literaturę, profesorku.

Salvador odepchnął jego rękę i cofnął się o kilka kroków. Papieros palący się za nim posuwał się naprzód. Wilgotny podmuch przebiegł korytarzem na wysokości kostek u stóp. Salvador rozejrzał się w koło.

— Dajcie mi przejść.

— Oddaj ulotki.

— Nie oddam.

Uczuł ogień papierosa niemal parzący go w kark. Potem krzyk Cristobala. Rzucił pacz-

kę z papierem i wolnym ramieniem uderzył tamtego w twarz. Uczuł rozżarzony koniec papierosa, który napastnik rozgniatał na jego dłoni. A potem ujrzał zbliżającą się do niego twarz, opryskaną czerwoną śliną. Salvador obrócił się z zaciśniętymi pięściami i zobaczył nóż, a potem uczuł go w brzuchu.

Nieznajomy powoli wyciągnął nóż, strzepnął palce i Salvador upadł z otwartymi ustami.

CZYSTA DUSZA

Bercie Maldonado

Ale nieświadome manewry czystej duszy są jeszcze bardziej niezwykłe niż machinacje występku...

Raymond Radiguet:
Bal u hrabiego d'Orgel

Juan Luis, myślę o tobie, kiedy zajmuję miejsce w autobusie, który mnie zawiezie na lotnisko. Umyślnie jadę tam już teraz. Nie chcę zawczasu poznać osób, które polecą z nami. Teraz jadą pasażerowie Alitalii do Mediolanu; dopiero za godzinę wsiądą do autobusu ci, którzy podróżują liniami Air France do Paryża, Nowego Jorku i Meksyku. To dlatego, że nie chcę płakać, rozklejać się czy ośmieszyć, a później znosić spojrzenia i komentarze przez szesnaście godzin. Nikt nie potrzebuje o niczym wiedzieć. Ty też wolisz, żeby tak było, prawda? Ja zawsze będę myślała, że to był czyn spełniony w ukryciu, że nie zrobiłeś tego dla... Nie wiem, czemu tak myślę. Nie mam prawa tłumaczyć niczego w twoim imieniu. I może we własnym także nie. Skąd mam to wiedzieć, Juan Luis? Jak

mogłabym obrażać nas oboje potwierdzeniem czy zaprzeczaniem, że może w tamtej chwili, czy też przez długi czas (nie wiem, jak ani kiedy zdecydowałaś o tym, prawdopodobnie już w dzieciństwie, czemuż by nie?) twoim motywem było zniechęcenie, ból, tęsknota czy nadzieja? Zimno jest. Dmie ten lodowaty wiatr od gór, który niby tchnienie śmierci przechodzi nad miastem i nad jeziorem. Zakrywam sobie twarz do połowy wyłogami płaszcza, żeby zachować własne ciepło, chociaż autobus jest ogrzewany i w tej chwili rusza powoli, owinięty także we własny opar. Wyjeżdżamy z dworca Cornavin przez tunel i wiem, że nie zobaczę już więcej jeziora i mostów Genewy, bo autobus wjeżdża na szosę za stacją i oddala się od Lemanu w kierunku lotniska. Przejeżdżamy przez najuboższą część miasta, gdzie mieszkają robotnicy, przybyli z Włoch, Niemiec i Francji do tego raj, gdzie nie spadła ani jedna bomba, gdzie nikogo nie torturowano, nie mordowano i nie oszukiwano. Sam autobus sprawia to wrażenie czystości, porządku i dobrobytu, które tak zwróciło twoją uwagę od chwili, gdy tu przybyłaś, i teraz, gdy przecieram ręką zapoconą szybę i widzę te ubogie domy, myślę, że mimo wszystko nie musi się w nich mieszkać tak źle. W Szwajcarii w końcu robi się nam zbyt wygodnie — pisałeś w jednym z listów — tracimy poczucie tych skrajnych

sprzeczności, które w naszym kraju są widzialne i ubliżające. Juan Luis: w twoim ostatnim liście nie potrzebowałaś mi mówić (rozumieć to, choć tego nie przeżyłam, to właśnie zawsze nas łączyło), że ten ład na zewnątrz — punktualność pociągów, uczciwość i solidność w pracy, oszczędzanie przez całe życie — wymaga bezładu wewnętrznego, który by stanowił jego przeciwwagę. Śmieję się, Juan Luis, poprzez grymas, który usiłuje powstrzymać łzy. Zaczynam się śmiać, a wszyscy pasażerowie patrzą na mnie i szepczą między sobą; tego właśnie chciałam uniknąć; dobrze przynajmniej, że to ci, co jadą do Mediolanu. Śmieję się na myśl, że porzuciłaś ład naszego domu w Meksyku dla bezładu twojej wolności w Szwajcarii. Rozumiesz mnie? Od bezpieczeństwa w kraju skrwawionych sztyletów do anarchii w kraju zegarów z kukułką. Sam powiedz, czy to nie śmieszne. Wybacz. Już mi przeszło. Próbuję się uspokoić patrząc na śnieżne szczyty Jury, tego ogromnego łańcucha skał, który teraz na próżno szuka swego odbicia w wodach, które się z niego narodziły. Pisałeś mi, że w lecie jezioro jest okiem Alp: odbija je, ale przeobraża w wielką zatopioną katedrę; i mówiłaś, że rzucając się w wodę nurkowałeś w poszukiwaniu gór. Wiesz, że mam twoje listy z sobą? Czytałam je w samolocie, który mnie przywiózł z Meksyku, i później w Genewie, pod-

czas tych nielicznych momentów wolnych w ciągu tych dni. I teraz będę je czytała w podróży powrotnej. Tylko że w tej podróży ty mi towarzyszysz.

Tyle podróżowaliśmy razem, Juan Luis! Jako dzieci, na każdy weekend jeździliśmy do Cuernavaca, kiedy rodzice mieli jeszcze ten dom obrosnięty bugenwiliami. Nauczyłeś mnie pływać i jeździć na rowerze. W sobotę po południu jeździliśmy do miasteczka i wszystko poznawałam twoimi oczyma: „Patrz, Klaudio, latawce, patrz, tysiące ptaków na drzewach, patrz, Klaudio, srebrne bransolety, kapelusze pastuchów, lody cytrynowe, zielone posągi — chodź, Klaudio, pójdziemy pokręcić Kołem Fortuny!” A na ferie noworoczne jeździliśmy do Acapulco, budziłeś mnie bardzo wcześnie rano i biegliliśmy na plażę Hornos, bo wiedziałeś, że ta godzina morza jest najlepsza: tylko wtedy pojawiały się muszle i ośmiornice, czarne, zbutwiałe kawałki drzewa, stare butelki, wyrzucone przez fale, i zbieraliśmy to wszystko, choć wiedzieliśmy, że później nie pozwolą nam tego zabrać do Meksyku, i prawdę mówiąc, ta masa niepotrzebnych rzeczy nie mieściła się w samochodzie. Ciekawe, że ilekroć próbuję sobie przypomnieć, jaki byłeś mając lat dziesięć, dwanaście, piętnaście, natychmiast myślę o Acapulco. Może dlatego, że przez całą resztę roku każde z nas chodziło do swojej szkoły, i tylko

nad morzem, kiedy święciliśmy Nowy Rok, wszystkie godziny dnia były nasze. Tam inscenizowaliśmy dramaty. W fortcach skalnych, gdzie ja byłam uwięziona przez ludożerców, a ty wspinałeś się z drewnianym mieczem w rękę, krzycząc i pojedynkując się z urojonymi potworami, żeby mnie wyzwolić. Na pirackich galeonach (drewniany skiff), gdzie ja czekałam przerażona, aż skończysz walczyć w wodzie z czyhającymi na mnie rekinami. W gąszczu lasów Pic de la Cuesta, gdzie szliśmy trzymając się za ręce w poszukiwaniu ukrytego skarbu według wskazówek planu, który znaleźliśmy w wyłowionej z morza butelce. Twoich czynów rycerskich dokonywałeś z pieśnią na ustach, nucąc melodię wymyśloną w danym momencie, dramatyczną w nieustającym *crescendo*. Kapitan Blood, Sandokan, Ivanhoe: twoja osobowość zmieniała się z każdą przygodą: ja zawsze byłam zagrożoną księżniczką, bliźniaczo podobną do swego mglistego prototypu.

Był tylko jeden moment przerwy: kiedy ty skończyłeś piętnaście lat, a ja miałam dopiero dwanaście, i wstyd ci było pokazywać się w moim towarzystwie. Ja nie zrozumiałam, bo widziałam, że jesteś taki sam, jak zawsze: szczupły, silny, smagły, z kasztanowatymi włosami w kędziorach, o czerwonym odbłasku w słońcu. Ale w następnym roku wróciliśmy do dawnych zwyczajów i znów chodzi-

liśmy razem, już nie zbierając muszle czy wymyślając przygody, lecz szukając przedłużenia dnia, który wydawał nam się zbyt krótki, a noc, której nam wzbroniono, przeobrażała się w naszych pokusach, utożsamiała się z nowymi możliwościami świeżo odkrytego, świeżo wypróbowanego życia. Szliśmy wzdłuż Faralionu, po obiedzie, trzymając się za ręce, nie rozmawiając, nie patrząc na grupy grające na gitarze wokół ognia ani pary całujące się na skałach. Nie potrzebowaliśmy mówić, że inni nas drażnią. Bo nie trzeba było mówić, że najlepsza rzecz w świecie to iść razem w nocy, trzymając się za ręce, bez słowa, komunikując sobie w milczeniu tę cyfrę, tę zagadkę, która nigdy między tobą i mną nie była przedmiotem drwiny czy pedanterii. Byliśmy poważni, bez celebrowania, prawda? I prawdopodobnie pomogliśmy sobie nie wiedząc o tym, w sposób, którego nigdy nie umiałam wytłumaczyć, ale który miał coś wspólnego z ciepłym piaskiem pod naszymi stopami, z milczeniem morza w nocy, z dotykaniem naszych bioder podczas marszu, z twoimi nowymi, białymi spodniami, z moją nową, szeroką, czerwoną spódniczką: zmieniliśmy całą naszą garderobę i uciekliśmy od żartów i dokuczania naszych przyjaciół. Wiesz, Juan Luis, że bardzo niewielu przestało mieć czternaście lat — te czternaście lat, które nie były naszymi. „Męskość” polega na

tym, żeby mieć czternaście lat przez całe życie; to okrutny strach. Ty to wiesz, bo także nie mogłeś tego uniknąć. Natomiast w miarę jak nasze dzieciństwo zostawało za nami i próbowałeś wszystkich doświadczeń wspólnych twemu wiekowi, wolałeś mnie unikać. Dlatego rozumiałam, kiedy po latach rozmawiania ze mną monosylabami (ale szpiegowałam cię wtedy z okna, „widziałam”, jak wyjeżdżałeś kabrioletem pełnym przyjaciół, wracałeś późno i z kacem), kiedy ja zaczęłam studiować filozofię i literaturę, a ty ekonomię, przyszedłeś do mnie na rozmowę pewnego popołudnia, nie w domu, jakby było rzeczą naturalną, ale w „Facultad de Mascarones”, i zaprosiłeś mnie na kawę w tej dusznej i gorącej piwnicy, pełnej studentów.

Pogłaskałeś moją rękę i powiedziałeś:

— Przepraszam cię, Klaudio.

Uśmiechnęłam się wtedy i pomyślałam, że nagle wracają wszystkie chwile naszego dzieciństwa, ale nie po to, by się przedłużyć, tylko znaleźć epilog, jakieś osobliwe uznanie, które jednocześnie rozpraszało je na zawsze.

— Za co? — odpowiedziałam. — Przyjemnie mi, że znowu rozmawiamy. Nic więcej nie trzeba. Widywaliśmy się co dzień, ale tak jakby drugiego z nas zawsze brakowało. Teraz cieszę się, że znowu będziemy przyjaciółmi, jak dawniej.

— Jesteśmy czymś więcej niż przyjaciółmi, Klaudio. Jesteśmy rodzeństwem.

— Tak, ale to przypadek. Sam widzisz, jako rodzeństwo kochaliśmy się bardzo w dzieciństwie, a później nawet z sobą nie rozmawialiśmy.

— Wyjeżdżam stąd, Klaudio. Już mówiłem o tym ojcu. On się nie zgadza. Uważa, że powinienem ukończyć studia. Ale ja muszę wyjechać.

— Dokąd?

— Udało mi się dostać miejsce w ONZ w Genewie. Tam będę mógł dalej studiować.

— Dobrze robisz, Juan Luis.

Powiedziałeś mi to, co już wiedziałam. Powiedziałeś mi, że już nie wytrzymujesz dłużej burdeli, nauczania na pamięć, obowiązku bycia „męskim”, patriotyzmu, religii na użytek wewnętrzny, braku dobrych filmów, braku prawdziwych kobiet, towarzyszek w twoim wieku. Całe długie przemówienie, wygłoszone po cichu przy tym stoliku w kawiarni „Mascarones”.

— Tutaj nie można żyć. Mówię ci to poważnie. Ja nie chcę służyć ani Bogu, ani diabłu; chcę palić i jednemu świeczkę, i drugiemu ogarek. A tutaj tak nie można, Klaudio. Jeśli chcesz po prostu żyć, jesteś potencjalnym zdrajcą; tutaj każą ci służyć, zajmować stanowiska, to kraj, gdzie nie wolno ci być samym sobą. Ja nie chcę być przyzwoitym

człowiekiem. Nie chcę być uprzejmy, kłamać, podlizywać się, nie chcę być bardzo „męski” i bardzo subtelny. Drugiego kraju takiego jak Meksyk nie ma... na szczęście. Nie chcę chodzić od burdelu do burdelu. Później przez całe życie musisz traktować kobiety jak sentymentalny brutal i władca, bo nigdy nie potrafiłeś ich zrozumieć. Nie chcę.

— A mama co mówi?

— Będzie płakała. Ale to nie ważne. Ona płacze o byle co.

— A ja, Juan Luis?

Uśmiechnął się dziecinnie.

— Przyjedziesz do mnie w odwiedzin, Klaudio, przysięgnij, że do mnie przyjedziesz.

Nie tylko przyjechałam do ciebie. Przyjechałam po ciebie, przyjechałam zabrać cię z sobą, z powrotem do Meksyku. A cztery lata temu, kiedyśmy się żegnali, powiedziałam tylko:

— Pamiętaj o mnie. Poszukaj jakiegoś sposobu, żeby zawsze być ze mną.

Tak, pisałeś do mnie, prosiłeś, żebym cię odwiedziła; mam twoje listy. Znalazłeś pokój z łazienką i kuchnią w najpiękniejszej dzielnicy Genewy, Place du Bourg-de-Four. Pisałeś, że mieszkasz na czwartym piętrze w centrum starej dzielnicy miasta, skąd mogłeś widzieć strome dachy, wieże kościołów, okna i wąskie okienka na poddaszach, a dalej, jak okiem sięgnąć, jezioro, które ciągnęło się aż

do Vevey i Montreux, i Chillon. Twoje listy wyrażały radość niezależności. Musiałeś sam ścielić łóżko i zamiatać, robić sobie śniadanie i chodzić po mleko do mleczarni na rogu. I wstępować czasem na kieliszek do kawiarni na placu. Ta kawiarnia nazywa się „La Clémence” i ma nad wejściem markizę z zielono-białymi frędzlami, i tam się spotykają wszyscy ludzie, których warto znać w Genewie. Jest bardzo ciasno: zaledwie sześć stolików naprzeciw kontuaru, gdzie służące w czarnych sukienkach z fartuszkami podają *cassis* i do wszystkich mówią „M'sieudame”. Wczoraj usiadłam przy stoliku, żeby się napić kawy, i patrzyłam na tych wszystkich studentów w szalikach, studenckich czapkach, na dziewczęta hinduskie w sari maltretowanych pod zimowym płaszczem, na dyplomatów z rozetami w klapach, aktorów, którzy uciekają przed podatkami i chronią się w domkach na brzegu jeziora, na młode Niemki, Chilijki, Belgijki, Tunezyjki, które pracują w OIT. Pisałeś, że są dwie Genewy. Konwencjonalne, uporządkowane miasto, które Stendhal opisywał jako kwiat bez zapachu; to miasto zamieszkałe przez Szwajcarów jest tłem dekoracyjnym innego miasta, etapu wędrówki i wygnania, miasta cudzoziemców, przypadkowych spotkań, rozmów i spojrzeń bezpośrednich, nie objętych przez normy, które Szwajcarzy nałożyli sami sobie, uwalniając innych. Miałeś

dwadzieścia trzy lata, gdy tu przyjechałeś, i wyobrażam sobie twój entuzjazm.

„Ale dość już o tym (pisałeś). Muszę ci powiedzieć, że chodzę na kurs literatury francuskiej i tu poznałem... Klaudio, nie mogę ci wytłumaczyć tego, co czuję, i nie próbuję nawet, bo zawsze mnie rozumiałaś bez potrzeby używania słów. Na imię ma Irena i nie wyobrażasz sobie, jaka jest ładna, inteligentna i sympatyczna. Studiuje tu literaturę i jest Francuzką — ciekawe, studiuje to samo, co ja! Może dlatego od razu przypadła mi do gustu”. Zdaje mi się, że to trwało miesiąc. Nie pamiętam, to było cztery lata temu. „Marie-José za dużo mówi, ale bawi mnie. Pojechaliśmy na koniec tygodnia do Davos i ośmieszyłem się, bo ona jest wspaniałą narciarką, a ja ani be, ani me. Mówię ci, tego trzeba uczyć się od dziecka. Wyznam ci, że trochę miałem już dość, i wróciliśmy do Genewy w poniedziałek, tak jak wyjechaliśmy w piątek; tyle tylko, że skręciłem sobie nogę w kostce. Czy to nie śmieszne?” Potem przyszła wiosna. „Doris jest Angielką i maluje. Zdaje mi się, że ma prawdziwy talent. Skorzystaliśmy z wakacji wielkanocnych, żeby pojechać do Wengen. Ona mówi, że musi spać z mężczyzną po to, żeby jej podświadomość pracowała, i wyskakuje z łóżka, żeby malować swoje guasze z białym szczytem Jungfrau na pierwszym planie. Otwiera okno, oddycha głęboko i maluje

nago, podczas gdy ja szcękam zębami z zima. Śmieje się ciągle i mówi, że jestem istotą tropikalną i niedorozwiniętą, i podaje mi kirsza, żebym się rozgrzał". Doris rozśmieszała mnie przez cały ten rok, kiedy się widywali. „Brak mi jej wesołości, ale zdecydowała, że jeden rok w Szwajcarii to dosyć, i odjechała ze swymi sztalugami i pudłami farb, żeby zamieszkać w Grecji, na wyspie Mikonos. Tym lepiej. Bawiła mnie, ale nie takie kobiety jak Doris mnie interesują". — „Sophia jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, przysięgam ci. Wiem, że to komunał, ale przypomina kariatydę, chociaż nie w sensie wulgarnym tego słowa. Jest jak posąg, bo możesz ją obserwować pod każdym kątem widzenia: obracam ją w koło nogą, na środku pokoju. Ale najważniejsze jest powietrze, które ją otacza, przestrzeń wokół posągu, rozumiesz? Ta przestrzeń, którą ona zajmuje i która daje jej piękno. Ma ciemne włosy i cerę, brwi bardzo gęste, a jutro, Klaudio, wyjeżdża z jakimś nadzianym forsą jegomościem na Côte d'Azur. Zrozpaczony, lecz jednocześnie zadowolony, twój brat, który cię kocha, Juan Luis".

I Christine, Consuelo, Sonali, Marie-France, Ingrid... Opisy były coraz krótsze, coraz bardziej obojętne. Zaczęłaś się bardziej interesować pracą i mówić o twoich kolegach, o ich znamionach narodowych, ich stosunku do

ciebie, o tematach konferencji, o płacach, podróżach, a nawet emeryturach. Nie chciałeś mi powiedzieć, że to miejsce, jak wszystkie inne, stwarza w końcu swoje spokojne konwencje, że ciebie wciągają te, które obowiązują urzędnika międzynarodowego. Aż wreszcie przyszła od ciebie kartka z panoramą Montreux, zapisana twoim drobnym, ścisłym piśmem; opowiadałeś o obiedzie w jakiejś sławnej restauracji i ubolewałeś nad moją nieobecnością. Na dole dwa podpisy: twój i drugie imię, nieczytelne, ale starannie powtórzone poniżej, drukowanymi literami: Claire.

Ach tak, podawałeś mi to stopniowo. Nie przedstawiłeś jej tak jak innych. Najpierw była to nową pracą, do której cię przeniesiono. Potem pisałeś, że łączy się to z najbliższym posiedzeniem pewnej rady. Potem, że podobają ci się twoi nowi koledzy, ale że czasem tęsknisz za starymi. Jeszcze później, że najtrudniejsza rzecz to przyzwyczaić się do biurokratów, którzy nie znają twoich obyczajów. Wreszcie, że przyszło ci w udziale szczęście pracowania z kimś względnie „do przyjęcia". A w następnym liście: „nazywa się Claire". A trzy miesiące przedtem przysłałeś mi kartkę z Montreux. Claire. Claire. Claire.

Odpowiedziałam ci: „Mon ami Pierrot". Czy już nie zamierzałeś być ze mną szczerzy? Od kiedy „Claire"? Chciałam wiedzieć wszystko. Wymagałam tego, Juan Luis, czyż nie byliśmy

najlepszymi przyjaciółmi, a później dopiero rodzeństwem? Nie pisałeś przez dwa miesiące. Później przyszła koperta z fotografią w środku. Ty i ona, na tle fontanny i jakiegoś jeziora w lecie: ty i ona oparci o krawędź fontanny. Twoje ramię opasujące jej talię. Ona, taka ładna, z ręką na ozdobnej doniczce pełnej kwiatów. Ale fotografia nie była dobra. Trudno było ocenić twarz Claire. Szczupła i uśmiechnięta, tak, w rodzaju Mariny Vlady, trochę szczuplejsza, ale te same włosy gładkie, długie, jasnoblond. Niskie obcasy. Sweter bez rękawów z dużym dekoltem.

Akceptowałeś to wszystko nic mi nie tłumacząc. Najpierw listy z podaniem faktów. Ona mieszkała w pensjonacie na rue Emile Jung. Jej ojciec był inżynierem i pracował w Neuchâtel. Ty i Claire jeździliście razem na plażę. Piliście herbatę w „La Clémence”. Oglądaliście stare filmy francuskie w kinie przy ulicy Mollard. W sobotę chodziliście na kolację do „Plat d'Argent” i każde płaciło za siebie. W inne dni tygodnia jadalście w barze w Pałacu Narodów. Czasem wsiadaliście w kolejkę elektryczną i jeździliście do Francji. Fakty i nazwy, nazwy, nazwy, jak w przewodniku turystycznym: Quai des Berges, Gran'Rue, Cave à Bob, Gare de Cornavin, Auberge de la Mère, Royaume Champelle, Boulevard des Bastions.

Potem rozmowy. Upodobania Claire, jej ulu-

bione filmy, lektury, koncerty i znowu nazwiska, nazwy, ten potok imion własnych w twoich listach. („Drôle de Drame” i „Les Enfants du Paradis”, Scott Fitzgerald i Raymond Radiguet, Schumann i Brahms), a potem: Claire powiedziała, Claire uważa, Claire przeczuwa. Postacie Carné'go żyją wolnością niby jakąś wstydliwą konspiracją, Fitzgerald wymyślił mody, gesty i rozczarowania, którymi w dalszym ciągu się karmimy, „Deutsches Requiem” czci wszystkie śmierci pogańskie. Tak odpowiedziałam ci na to. Orozco umarł, a w Bellas Artes jest gigantyczna wystawa Diega. I tak dalej, wszystko opisane, jak cię prosiłam.

— Ile razy tego słucham, mówię sobie, że to tak, jakbyśmy zdawali sobie sprawę, że trzeba uświęcić to wszystko, co dotychczas było potępione, Juan Luis: wywrócić rękawiczkę na drugą stronę. Kto nas okaleczył, najdroższy? Tak mało czasu na odzyskanie wszystkiego, co nam odebrano. Nie, niczego nie proponuję. Nie róbmy planów. Myślę to samo, co Radiguet: nieświadome manewry czystej duszy są jeszcze bardziej niezwykle niż machinacje występku.

Cóż mogłam ci odpowiedzieć? Tutaj, jak zawsze, Juan Luis. Papa i mama zamartwiają się, że nie będziesz z nami na srebrnym weselu. Papa awansował na wiceprezesa towarzystwa ubezpieczeń i mówi, że to najlepszy

podarunek urodzinowy. Biedna mama wymyśla co dzień to inne choroby. Uruchomiono pierwszy prógram telewizji. Przygotowuję się do egzaminów na trzeci rok. Marzy mi się czasem to wszystko, co ty przeżywasz, łudzę się, że znajdę to w książkach. Wczoraj opowiedziałam Federicowi wszystko, co robisz, widzisz, czytasz i słyszysz, i myślimy, że może po skończeniu studiów będziemy mogli przyjechać do ciebie. Czy nie myślisz o powrocie tutaj? Mógłbyś przecie wykorzystać następne wakacje, nie?

Pisałeś, że jesień jest zupełnie inna, kiedy się ją przeżywa razem z Claire. Wyjeżdżaliście na wycieczki w niedzielę, spacerowaliście, trzymając się za rękę, nie rozmawiając; w parkach pozostał jeszcze ostatni aromat gnijących hiacyntów, ale teraz zapach uschłych liści gonił was podczas tych długich spacerów, które przypominały ci nasze wędrówki wzdłuż plaży, przed laty, bo ani ty, ani Claire nie śmieliście przerwać milczenia, pomimo wszystkiego, co wam przychodziło na myśl, pomimo wszystkich sugestii, jakie wysuwała ta zagadka złamanych pór roku. I wreszcie cisza. Claire, Claire — pisałeś do mnie — zrozumiałeś wszystko. Mam to, co zawsze miałem. Teraz mogę to osiąść. Teraz spotkałem cię znowu, Claire.

Napisałam ci znowu w moim następnym liście, że Federico i ja przygotowujemy się ra-

zem do egzaminów i że koniec roku spędzimy w Acapulco. Ale skreśliłam to przed zalepieniem koperty. W twoim liście nie zapytałeś, kto to jest Federico, a gdybyś mógł to zrobić teraz, nie umiałabym ci odpowiedzieć. Kiedy nadeszły wakacje, powiedziałam, żeby nie proszono mnie więcej do telefonu, kiedy on zadzwoni, i nie musiałam się już z nim spotykać w szkole; pojechałam sama do Acapulco, z rodzicami. Nie mówiłam ci o tym wszystkim. Przez kilka miesięcy nie pisałam do ciebie, ale twoje listy przychodziły nadal. Tej zimy Claire przeniosła się do twego pokoju na Bourg de Four. Po co wspominać następne listy. Są tutaj wszystkie, w torebce. „Claire, wszystko jest nowe. Nigdy dotychczas nie byliśmy razem o świcie. Przedtem te godziny nie liczyły się i to były martwe godziny dnia, a teraz nie zamieniłbym ich za nic. Żyliśmy zawsze tak złączeni, na spacerach, w kinie, w restauracji, zawsze mieszkaliśmy w osobnych pokojach. Czy wiesz o tym wszystkim, co robiłem sam, myśląc o tobie? Teraz nie tracę tych godzin. Całą noc spędzam obok ciebie, obejmując ramionami twoją talię, podczas gdy twoje plecy przylegają do mojej piersi, i czekam na świt. Ty wiesz o tym, i odwracasz się twarzą do mnie i uśmiechasz się z zamkniętymi oczyma. Claire, a ja odrzucam prześcieradło, zapominam o tych zakamarkach, które wygrzałaś swoim ciałem ca-

łą noc, i pytam ciebie, czy nie tego pragnęliśmy zawsze, od początku, kiedy bawiliśmy się i spacerowaliśmy w milczeniu, trzymając się za ręce. Musieliśmy położyć się spać pod jednym dachem, w naszym własnym domu, prawda? Dlaczego do mnie nie piszesz, Klaudio. Kocham cię. Juan Luis”.

Może przypominasz sobie moje żarty? To nie to samo kochać się na plaży albo w hotelu, otoczonym jeziorami i śniegiem — czy mieszkać razem na co dzień. Poza tym, pracowaliście w tym samym biurze. Musicie się w końcu znudzić. Nowość będzie stracona. Budzić się razem — w rzeczywistości to nie takie przyjemne. Ona będzie cię widziała, jak czyścisz sobie zęby. Ty będziesz widział, jak ona zmywa makijaż, natłuszcza twarz kremem, nakłada pasek do podwiązek... Myślę, że źle zrobiłeś, Juan Luis. Czyż nie pojechałeś szukać niezależności? Po co wzięłeś sobie ten ciężar na plecy? Jeśli tak jest, to lepiej ci było zostać w Meksyku. Ale najwidoczniej trudno jest uciec od konwenansów, w których nas wychowano. W gruncie rzeczy, choć nie w tej formie, robisz to, czego rodzice i wszyscy zawsze od ciebie oczekiwali. Przeobraziłeś się w człowieka statecznego. A tyle mieliśmy zabawy z Doris i Sophią, i Marie-José! Szkoda.

Nie pisaliśmy do siebie przez półtora roku. Moje życie w niczym się nie zmieniło. Studia

stały się czymś bezużytecznym, wtórnym. Jak można „uczyć” kogoś literatury? Kiedy już mnie z czymś zetknięto, przekonałam się, że powinnam latać sama, czytać i pisać na własną rękę, i chodziłam dalej na wykłady tylko przez poczucie dyscypliny, bo trzeba było skończyć to, co się zaczęło. W końcu staje się idiotyczne i nieznośne, żeby tłumaczono człowiekowi to, co już wie, na podstawie schematów i obrazów syntetycznych. Niedobrze jest wyprzedzać profesorów, i oni o tym wiedzą, ale to ukrywają, bo straciliby zajęcie. Doszliśmy do okresu romantyzmu i czytałam już Firbanka i Rollego, odkryłam nawet Williama Goldinga. Przerazałam trochę profesorów i jedyną satysfakcją w tym czasie były dla mnie pochwały na uniwersytecie: Klaudia pozwala rokować wielkie nadzieje. Coraz bardziej zamykałam się w moim pokoju, urządziłam go według mego gustu, ułożyłam książki, zawiesiłam obrazki, zainstalowałam adapter i w końcu mamie znudziło się nalegać, żebym poznawała chłopców i chodziła na tańce. Zostawili mnie w spokoju. Zmieniłam trochę moją garderobę, z wzorzystych tkanin, które znałeś, przeszłam na białą bluzkę z ciemną spódniczką i kostium *tailleur*, w którym zawsze czuję się trochę bardziej poważna, surowa, bardziej oddalona.

Zdaje się, że zajechaliśmy już na lotnisko. Wirują anteny radarowe i przestają z tobą

rozmawiać. Zbliża się nieprzyjemny moment. Pasażerowie zaczynają się ruszać. Biorę moją torebkę, neser i płaszcz. Nie wstaję z miejsca, czekając, aż wszyscy inni wyjdą. Wreszcie szofer mówi do mnie:

— *Nous voilà, mademoiselle. L'avion part dans une demi-heure* *.

Nie. Teraz odlatuje inny, ten do Mediolanu. Poprawiam sobie futrzaną czapkę i schodzę. Jest wilgotno i zimno, a mgła zasłania góry. Deszcz nie pada, ale powietrze zawiera w sobie miliony kropel rozdrobnionych i niewidzialnych: czuję je we włosach. Głaszczę swoje włosy, jasne i luźne. Wchodzę do wnętrza budynku i kieruję się do biura lotniska. Wymieniam moje nazwisko i urzędnik przytakuje w milczeniu. Prosi, żebym poszła za nim. Idziemy długim korytarzem, jasno oświetlonym, i wychodzimy na lodowaty zmierzch. Idziemy długim betonowym pasem do hangaru. Zaciskam pięści. Urzędnik nie próbuje ze mną rozmawiać. Idzie przede mną, nieco uroczysty. Wchodzimy do wnętrza. Pachnie tu wilgotnym drzewem, słomą i smołą. Dużo skrzyń ustawionych w porządku, podobnie jak cysterny. Jest nawet piesek w klatce i szczeka. Twoja trumna stoi trochę dalej, ukryta. Urzędnik wskazuje mi ją, pochylając

Nous voilà ... (fr.) — Jesteśmy na miejscu, proszę pani. Samolot odlatuje za godzinę.

głowę z szacunkiem. Dotykam brzegu trumny i przez kilka minut milczę. Łkanie pozostaje w gardle, ale jest tak, jakbym płakała. Urzędnik czeka i w momencie, kiedy uznaje to za właściwe, pokazuje mi różne dokumenty, które uzyskałam w ciągu ostatnich dni, zaświadczenia i pozwolenia z policji, urzędu sanitarnego, konsulatu meksykańskiego i władz lotniczych. Prosi, żebym wypełniła i podpisała kartę odlotu. Robię to, podczas gdy on zwilża powleczonej klejem stronę kilku etykiet i nalepia je na wierzchu trumny. Pieczętuje ją. Dotykam znowu szarego wieka i wracamy do gmachu centralnego. Urzędnik mruczy jakieś kondolencje i żegna się ze mną.

Po załatwieniu spraw z Towarzystwem Lotniczym i władzami szwajcarskimi idę na górę do restauracji, z paszportem w ręce, siadam i zamawiam kawę. Siedzę przy oknie i widzę, jak samoloty ukazują się i znikają na pasie startowym. Giną we mgle albo wyłaniają się z niej, ale warkot silników biegnie przed nimi, lub za nimi, niby dźwięczna smuga. Boję się ich. Tak, ty wiesz, że straszliwie się boję i nie chcę myśleć o tym, czym będzie ta powrotna podróż z tobą, w pełni zimy, przedstawianie na każdym lotnisku dokumentów z twoim nazwiskiem i przepustek dla ciebie. Przynoszą mi kawę i wypijam ją bez cukru. Nie trzęsą mi się już ręce, kiedy podnoszę filiżankę do ust.

Dziewięć tygodni temu, kiedy rozdarłam kopertę twego pierwszego listu po półtora-roczej przerwie, upuściłam filiżankę z kawą na dywan. Schyliłam się czym prędzej, żeby wytrzeć plamę spódnicą, a potem nastawiłam płytę, spacerowałam po pokoju z założonymi ramionami, patrząc na grzbiety książek na półce; nawet przeczytałam kilka wierszy powoli, głaszcząc okładkę książki, pewna sobie, daleka od twego nie znanego listu, ukrytego w rozdartej kopercie, która leżała na poręczy fotela.

O, słodkie szaty, coście ją stroiły!...
Znaleźć je teraz w tej martwej komnacie...
W pamięci mojej z nią razem przetrwacie
Niczym w mej śmierci sprzysiężone siły.

„Jasne, że się kłócimy. Ona wychodzi, trzaskając drzwiami, a ja niemal płacząc z wściekłości. Usiłuję się czymś zająć, ale nie mogę, i idę jej szukać. Wiem, gdzie jest. Naprzeciwko, w «La Clémence», pije kawę i pali papierosa za papierosem. Zbiegam na dół, po skrzypiących schodach, wychodzę na plac, a ona patrzy na mnie z daleka, i udaje, że nie widzi. Przez ogród wchodzę na wyżej położoną część placu Bourg-de-Four, powoli, przesuwając palcami po żelaznej balustradzie, wchodzę do kawiarni i siadam obok niej na wyplatanych krzesłach. Siedzimy na świeżym powietrzu, w lecie kawiarnia zajmuje trotuary

i słucha się *carillon*'u z wieży St.-Pierre. Claire rozmawia z kelnerką. Mówią jakieś idiotyzmy na temat pogody, z tym nieznośnym przyspiewem szwajcarskim. Czekam, aż Claire rozgniecie swego papierosa w popielniczce, i robię to samo, żeby dotknąć jej palców. Patrzy na mnie. Wiesz jak, Klaudio? Tak jak ty na mnie patrzyłaś, czekając, aż cię wyrwę z rąk ludożerców. Musiałaś udawać, że nie wiesz, czy idę po to, by cię wyratować, czy zabić z polecenia tego, kto cię więzi. Czasem jednak nie mogłaś powstrzymać się od śmiechu i zabawa przerywała się na chwilę. Kłótnia zaczęła się z powodu mojej nierozwagi. Zarzuciła mi, że jestem nierozważny i stwarzam jej problem moralny. Co mamy robić? Gdybym przynajmniej miał na to jakąś bezpośrednią odpowiedź, ale nie, zamknąłem się w swojej skorupie, milczący i oschły, i nie uciekłem nawet od tej sytuacji, żeby zrobić coś inteligentnego. W domu były książki i płyty, ale ja zająłem się rozwiązywaniem krzyżówek w pismach.

— Musisz się zdecydować, Juan Luis. Proszę cię o to.

— Namysłam się.

— Nie bądź głupi. Nie chodzi mi o to. O wszystko. Czy mamy poświęcić całe życie na klasyfikowanie dokumentów ONZ? Czy też jest to etap przejściowy, który pozwoli nam stać się czymś więcej, nie wiemy jeszcze

czym. Jestem gotowa na wszystko, Juan Luis, ale nie mogę decydować sama. Powiedz mi, czy nasze wspólne życie jest tylko przygodą; ja się zgodzę, jeśli tak. Ale nie możemy już postępować tak, jakby praca była czymś przejściowym, a miłość czymś stałym, ani też na odwrót. Rozumiesz mnie?

Jakże jej miałem wytłumaczyć, Klaudio, że jej problem jest dla mnie niezrozumiały? Wierz mi, siedząc tam, w «La Clémence», patrząc na młodych przejeżdżających na rowerach, słuchając śmiechów i szeptów tych, co nas otaczali, i muzyki dzwonów z katedry, wierz mi, siostrzyczko, uciekłem od tego świata wokół nas, zamknąłem oczy i pograżyłem się w samym sobie, wyostrzałem w moich własnych ciemnościach jakąś utajoną inteligencję, zrozumienie samego siebie, rozszepiałem na dwoje wszystkie nitki mojej wrażliwości, tak żeby wibrowały na najlżejsze drgnienie duszy, całą moją zdolność spostrzegania, intuicję, całą osnowę terażniejszości naprężyłem jak łuk, żeby wypuścić strzałę w przyszłość, trafić w nią i odsłonić. Ta strzała została wypuszczona, ale nie było tarczy, w którą miała trafić, i cała ta wewnętrzna bolesna konstrukcja — czułem, że ręce martwieją mi z wysiłku — zawałała się niby forteca z piasku przy pierwszym ataku fal. Ale nie po to, by zniknąć, lecz by powrócić do oceanu tego, co nazywają pamięcią; do

czasów dzieciństwa, zabaw, do naszej plaży, do ciepła i radości, którą wszystko inne stara się tylko naśladować, przedłużyć, przemieszać z projektami przyszłości i odtworzyć przez niespodzianki terażniejszości. Tak, powiedziałem jej, że dobrze; poszukamy większego mieszkania. Claire będzie miała dziecko.”

Ona sama napisała do mnie list, tym samym niewyraźnym pismem, które widziałam tylko raz, na kartce z Montreux. „Wiem, czym jesteś dla Juan Luisa, o tym, że wyrosliście razem, i wszystko inne. Bardzo chciałabym cię poznać i jestem pewna, że zostaniemy przyjaciółkami. Wierz mi, że już cię znam. Juan Luis tyle mówi o tobie, że czasem aż jestem zazdrosna. Gdybyś mogła przyjechać i odwiedzić nas! Juan Luis robi piękną karierę i wszyscy go bardzo lubią. Genewa jest mała, ale przyjemna. Przywiązaliśmy się do tego miasta z przyczyn, które łatwo odgadniesz, i tu spędzimy nasze życie. Będę mogła jeszcze pracować przez kilka miesięcy, jestem dopiero w drugim miesiącu ciąży. Twoja siostra, Claire”. I z koperty wypadła nowa fotografia. Utyłeś bardzo i sam mówisz o tym na odwrotnej stronie: „Za dużo *fondue*, siostrzyczko”. I łysiejesz, zupełnie tak samo, jak papa. A ona jest bardzo ładna, bardzo botticellowska, ze swoimi długimi blond włosami, w bardzo kokieteryjnym bereciku. Czyś ty oszalał,

Juan Luis? Byłeś pięknym chłopcem, kiedy wyjeżdżałeś z Meksyku. Spójrz na siebie! Widziałeś? Pilnuj diety. Masz dopiero dwadzieścia siedem lat, a wyglądasz na czterdziestkę. A co ty czytasz, braciszku, czym się zajmujesz? Rozwiązujesz krzyżówki? Nie możesz zdradzić sam siebie, proszę cię, wiesz, że ja od ciebie zależę, że rośniesz razem ze mną, nie możesz zostawać w tyle. Przysięgłeś, że będziesz tam studiował, powiedziałeś to ojcu. Męczy cię codzienna praca i rutyna. Chcesz tylko jak najprędzej wrócić do swego mieszkania i włożyć ciepłe pantofle, i czytać gazetę. Czy nie prawda? Nie mówisz tego, ale ja wiem, że tak jest. Nie gub sam siebie, błagam cię. Ja byłam wierna. Dla mnie nadal żyje nasze dzieciństwo. Nie szkodzi, że jesteś daleko. Ale musi nas nadal łączyć wszystko, co ważne, nie możemy ustępować niczemu, co nam każe stać się czymś innym, pamiętasz? — poza miłością, inteligencją, młodością, milczeniem. Chcą nas zniekształcić, ulepić nas na swoje podobieństwo, nie znoszą nas. Ty się do tego nie nadajesz, Juan Luis, proszę cię, nie zapominaj tego, coś mi mówił tamtego popołudnia w kawiarni „Mascarones”. Kiedy raz się zrobi krok w tym kierunku, wszystko przepada, nie ma odwrotu. Musiałam pokazać twój list rodzicom. Mama rozchorowała się. Nadciśnienie. Jest w klinice kardiologicznej, na obserwacji. Mam nadzieję, że mój

następny list nie przyniesie ci złych wiadomości. Myślę o tobie, pamiętam, wiem, że mnie nie zawiedziesz.

Przyszły dwa listy. Najpierw ten, adresowany do mnie, w którym pisałeś, że Claire zrobiła sobie operację. Potem list, który wysłałeś do mamy, zawiadamiając, że za miesiąc żenisz się z Claire. Wyrażałeś nadzieję, że wszyscy będziemy mogli przyjechać na ślub. Prosiłam mamy, żeby mi dała ten list do przechowania razem z moimi. Odłożyłam te dwa listy na bok i studiowałam charakter pisma, żeby się przekonać, czy oba zostały napisane przez tę samą osobę.

„Była to błyskawiczna decyzja, Klaudio. Powiedziałem jej, że to przedwczesne. Jesteśmy młodzi i jeszcze przez jakiś czas mamy prawo żyć bez obowiązków i odpowiedzialności. Claire zgodziła się. Nie wiem, czy rozumiała wszystko, co jej powiedziałem. Ale ty — tak, prawda?”

„Kocham tę dziewczynę, wiem o tym. Była dla mnie zawsze dobra i wyrozumiała, i nieraz musiała przeze mnie cierpieć: nie zdziwicie się, że chciałbym ją wynagrodzić. Jej ojciec jest wdowcem; jest inżynierem i mieszka w Neuchâtel. Już się zgodził i przyjedzie na ślub. Obyście wy wszyscy, ty, Klaudia i papa, mogli być razem z nami. Kiedy poznasz Claire, pokochasz ją tak jak ja, mamó”.

W trzy tygodnie później Claire popełniła

samobójstwo. Zatelefonował do nas jeden z twoich kolegów z biura; powiedział, że pewnego popołudnia Claire zwolniła się, żeby wyjść wcześniej; bolała ją głowa, poszła do kina, a ty szukałeś jej, jak zawsze, w domu, czekałeś na nią, a potem wyszedłeś szukać jej w mieście, ale nie mogłeś jej znaleźć; umarła w kinie, zażyła weronal przed wejściem i usiadła sama w pierwszym rzędzie, gdzie nikt nie mógł się do niej wtrącać. Dzwoniłeś do Neuchâtel, obiegłeś na nowo wszystkie ulice i restauracje, a w końcu wszedłeś do „La Clémence” i siedziałeś tam aż do zamknięcia. Dopiero nazajutrz zadzwoniono do ciebie z kostnicy i poszedłeś ją zobaczyć. Twój kolega powiedział, że powinniśmy po ciebie przyjechać i zmusić cię do powrotu do Meksyku: oszalałeś z bólu. Powiedziałam rodzicom prawdę: pokazałam im twój list. Długo milczeli, i potem papa powiedział, że nie wpuści cię więcej do domu. Krzyczał, że jesteś zbrodniarzem.

W chwili gdy kończę pić kawę, jeden z urzędników wskazuje komuś miejsce, gdzie siedzę. Wysoki mężczyzna z podniesionymi wyłogami palta kiwa głową i kieruje się w moją stronę. Pierwszy raz widzę tę smagłą twarz, niebieskie oczy i białe włosy. Pyta mnie, czy może na chwilę usiąść i czy jestem twoją siostrą. Odpowiadam, że tak. Mówi, że jest ojcem Claire. Nie podaje mi ręki. Pytam,

czy napije się kawy. Zaprzecza ruchem głowy i wyciąga z kieszeni papierosa. Częstuje mnie. Mówię, że nie palę. Próbuje się uśmiechnąć; a ja zakładam czarne okulary. Wsuwa znowu rękę do kieszeni i wydostaje jakiś papier. Kładzie go, złożony w kilkoro, na stole.

— Przyniosłem pani ten list.

Podnoszę brwi i patrzę na niego pytająco.

— Jest podpisany przez panią i adresowany do mojej córki. Leżał na poduszce Juan Luisa, kiedy go znaleziono nieżywego.

— Ach tak. Zastanawiałam się, co się z tym listem stało. Szukałam go wszędzie.

— Tak, pomyślałem, że chciałaby go pani zachować. — Teraz uśmiecha się, jakby mnie już znał. — Pani jest bardzo cyniczna. Niech się pani nie martwi. Po co? Nic się już nie da naprawić.

Wstaje bez pożegnania. Niebieskie oczy patrzą na mnie ze smutkiem i współczuciem. Próbuje się uśmiechnąć i zabieram list ze stołu. Słyszę głos w megafonie:

*... le départ de son vol numéro 707 ... Paris, Gander, New York et Mexico ... priés de se rendre à la porte numéro 5.**

Zabieram moje rzeczy, poprawiam beret

... le départ de son vol... (fr.) — ... odlot samolotu... lot nr 707... Paryża, Gander, Nowego Jorku i Meksyku... proszeni o zgłoszenie się przy wyjściu numer 5.

i kieruję się do wyjścia. Niosę przewieszoną przez rękę torebkę i neseser, a paszport w palcach, ale udaje mi się w drodze od drzwi do schodków samolotu podrzeć list i rzucić szczątki zimnemu wiatrowi i mgle, może zanoszą je do jeziora, w którym zanurzyłeś się, braciszku, w poszukiwaniu mirażu.

WAŻ MORSKI

Juliowi Cortazarowi

Biało ubrany podoficer wyciągnął ręce, by pomóc jej wejść do łodzi. Izabela uśmiechnęła się dotykając owłosionego ramienia młodego Anglika, który wymawiał słowa powitania. Motorówka ruszyła z głośnym warkotem silnika. Izabela usiadła na wilgotnej ławce przykrytej płótnem żaglowym i patrząc, jak oddalają się światła Acapulco, uczuła, że podróż wreszcie zaczęła się naprawdę. Bezszelestna zatoka otaczała biały parowiec. Stłumiony wiatr nocny targał związaną pod brodą chusteczkę. Podczas krótkiej przejażdżki od mola do okrętu, zakotwiczonego w bezświetlnym zwierciadle tropikalnej nocy, Izabela wyobrażała sobie samą siebie porzuconą na przystani razem ze sprzedawcami podejrzanej jakości lodów, szylkretowych grzebieni i popielniczek z masy perłowej. Ale jej rysy pozostały nie zmienione, mimo bryzgów słonej piany padających od czasu do czasu na twarz. Otworzyła torebkę, wyjęła okulary i pośpiesznie przejrzała raz jeszcze dokumenty podróży, w nagłej obawie, że zgubiła je bezpowrotnie, ale jednocześnie z zamiarem — także dla niej

niezrozumiałym — odpędzenia w ten sposób wspomnień, które zostały na brzegu, dalekim już i mrugającym światłami. Paszport. Isabel Valles. Rasa biała. Urodzona 14 lutego 1926. Znaków szczególnych brak. Wydano w Mexico D. F. Zamknęła paszport i odszukała bilet okrętowy. MS Rhodesia. *Sailing on the 27th July 1963 from Acapulco to Balboa, Colón, Trinidad, Barbados, Miami and Southampton.* Potrzebne było to westchnienie, głębokie i swobodne. Oczy ostatni raz spojrzały na wybrzeże. Szalupa zatrzymała się, kołysząc, przy drabinie z lewej burty i podoficer znowu ofiarował jej pomocne ramię. Izabela zdjęła okulary, wrzuciła je do torebki i palcami potarła grzbiet nosa, nim postawiła stopę na szczeblu drabinki, tym razem zdecydowanie unikając dotknięcia ramienia młodszego oficera.

— Wiek: około czterdziestki, nie specjalnie ładna, jak by to określić?

— *Dowdy, I guess.**

— Nie, to nie to. Jest w niej jakaś elegancja jakby staroświecka, niemodna, coś takiego.

— Tak czy owak, założę się, że jej nie posadzisz przy moim stole.

D o w d y... (ang.) — pewnie zaniedbana?

— Jasne, że nie, Jack. Znam cię. *Not a chance.**

— Dobrze, wyobrażam sobie, że zajęcie ochmistra okrętowego czyni człowieka podejrzliwym.

— Tu nie chodzi o żadne podejrzenia, Jack. Chodzi o fakty, dobrze wszystkim znane.

— Uśmiechaj się tak dalej, idioto, skończ się na tym, że ci dam dobry napiwek.

— Co? Zmiataj stąd, dobrze? Znam swoje miejsce i ty powinienes znać swoje.

— Ja tylko żądam zasad demokracji, Billy. Pomyśl, że pierwszy raz, po ośmiu rejsach na „Rodezji” w roli kelnera, mogę zapłacić za bilet pierwszej klasy i kazać wam cierpieć to wszystko, co pasażerowie kazali przedtem wycierpieć mnie samemu.

— No więc zostań na swoim miejscu, a ja na moim.

— Gdzie ją posadzisz?

— Czekaaj, pomyślę. Przy jakimś stole z jej równolatkami. Nie wiem, czy mówi po angielsku. Ostatecznie to nieważne. Może dam jej stolik na dwie osoby z tą drugą, co też podróżuje sama. Może sobie przypadną do gustu. Tak. Stolik 23. Z Mrs. Jenkins.

— Billy, ranisz mnie w samo serce.

— Zmiataj stąd, pajacu.

— I zwymyślaj Lovejoya. Powiedz mu, że

N o t a c h a n c e... (ang.) — nie masz szans.

kiedy proszę o herbatę rano, to ma być prawdziwa herbata, gorąca, nie te pomyje, w których zmywacie naczynia tam na dole.

— Och! Zobaczą cię jeszcze z powrotem na pokładzie dla załogi. Nie bój się, Jack!

— *You jolly well won't.**

Lovejoy, steward kabinowy, wręczył jej klucze i odszedł. Izabela zaczęła się rozpakowywać. W pewnej chwili przerwała z uczuciem nieokreślonej melancholii: jej mieszkanie, sklep, Marilú, ciocia Adelajda, obiady u Sanborna. Smutek ścisnął jej serce, kazał usiąść na łóżku i patrzeć niechętnie na dwie otwarte walizki. Wstała i wyszła z kabiny. Prawie wszyscy pasażerowie zeszli na ląd, aby obejrzeć Acapulco, i nie należało oczekiwać ich z powrotem przed trzecią nad ranem. „Rodezja” miała odpłynąć o czwartej. Izabela wykorzystwała ten moment, aby obejść puste salony, jeszcze nie widząc otaczającej ją nowości albo może czując ją, ale nie chcąc zastanawiać się nad egzotycznym klimatem, jaki ofiarowywał jej ten pływający świat, autonomiczny, poddany regułom zupełnie odmiennym od tych, które normowały życie w nieruchomych miastach. Salony były w rzeczywistości tylko transpozycją brytyjskiego poję-

You jolly... (ang.) — Coś mi się zdaje, że nie.

cia wygody, *a home away from home,** ale dla Izabeli kretonowe firanki, głębokie fotele i obrazy przedstawiające sceny morskie, sofy obite wzorzystym holenderskim płótnem, ściany i podłogi z jasnych desek zaczęły wkrótce przeobrażać się w symbole czegoś obcego i oślepiającego. Otworzyła szklane drzwi i wyszła na Promenade Deck, pierwszy raz zdając sobie sprawę z zapachu okrętu, osobliwej mieszanki smaru i farby, mokrych lin i naoliwionych zawiasów, objawiających powonieniu wyzywającą nowość życia na morzu. Basen do pływania przykryty był siecią sznurów i oświetlony biegnącymi naokoło lampkami; zapomniane tło wody morskiej pozostawało nieruchome i zastygłe, z mocnym zapachem soli, który Izabela wdychała, nieświadoma jeszcze, że ów pierwszy szturm tego nowego życia rozszerza jej nozdrza i zmusza ją, wbrew woli, do przyznania się, ze strachem, że jest zupełnie sama.

Jakiś rytmiczny odgłos przywołał ją na dziób statku. Tam, jakby z tarasu najeżonego białymi rurami, zobaczyła chłopców dyżurnych z załogi, którzy urządzili sobie koncert i popijali piwo: obnażeni do pasa, bosci, w obcisłych drelichowych spodniach, śpiewali starą szkocką pieśń, przesadnymi westchnieniami i przymykaniem oczu akcentując starą

A home... (ang.) — dom z dala od domu.

melodie, która w jakiś ledwie uchwytny sposób przeobrażała się w parodię bez rytmu przy akompaniamencie śmiechów i łobuzerskich spojrzeń, a w końcu onomatopei, wyrażanych ruchami nóg, rąk, warg.

Izabela uśmiechnęła się i odwróciła plecami do hałaśliwej gromady.

Niepewnym krokiem skierowała się do baru obok basenu pływackiego. Weszła i zajęła miejsce przy stoliku przykrytym serwetą. Oczy jej błyszczały i wygładziła fałdy spódnicy, kiedy młody barman wyłonił się zza kontuaru, mrugnął do niej i zapytał:

— *What is your ladyship's pleasure? **

Izabela złączyła ręce. Uczuła, że są wilgotne. Dyskretnie otarła je serwetą. Wymuszony uśmiech ukrywał dezorientację i nerwowy wysiłek, żeby znaleźć dla siebie miejsce, potrzebę świadomości, że się jest w jakimś miejscu znajomym, w otoczeniu znajomych ludzi. Chciała uniknąć kontaktu z tym człowiekiem, który podchodził teraz do niej z przypominającą filc czupryną marchewkowego koloru nad twarzą zdumiewającą komicznym, a zarazem straszliwym brakiem brwi, tak że tylko rzęsy zatrzymywały nieskończenie długi mur czoła, nakrapianego niebieskimi piegami. Powolność, z jaką barman zbliżał się do niej, jak gdyby chcąc podkreślić w ten spo-

What is... (ang.) — Czym można pani służyć?

sób swoją obecność, nie pozwalała Izabeli pomyśleć o nazwie trunku, a jednocześnie zmuszała ją do myśli, że nigdy jeszcze nie zamawiała w barze kieliszka alkoholu. A człowiek-marchewka przybliżał się, nieubłagany, niewątpliwie wypełniając swój stały obowiązek, lecz także — oczy bez oprawy, białka nabiegłe żółcią — wężąc w powietrzu słabość, zmieszanie, zimny pot oblewający pasażerkę ubraną w sweterek z krótkimi rękawami i spódniczkę w szkocką kratę, ocierającą jedną dłoń o serwetę stolika, a drugą o sweter na biuście, zanim znowu zdołała złączyć spoczone ręce i zawołać, nie panując nad zdenerwowaniem w głosie:

— *Whisky soda... Without glass *...*

Barman spojrział na nią zdumiony: zdumienie urażonego fachowca. Zatrzymał się w tej pozycji, w jakiej zaskoczyło go polecenie Izabeli, i pozwolił opaść ramionom, zraniony w swym zawodowym honorze jej ostrym krzykiem. Zamknął oczy, pozbawiony dawnej ufności w swoją niezrównaną sprawność i usługowość:

— *Perhaps her ladyship would like a silver goblet... Glass is so common, after all *...*

Głowa w płomieniach rozkruszyła się w gło-

Without glass (ang.) — bez szkła.

Perhaps... (ang.) — Może pani wolałaby srebrny kieliszek... Ostatecznie szkło jest tak pospolite...

śnym wybuchu śmiechu pomarszczonym i piegowatym. Barman podniósł serwetkę do ust i zdławił w niej swój udręczony śmiech.

— *Sans glace, s'il vous plait* * — powtórzyła Izabela nie patrząc na barmana. — Lód... lód szkodzi mi na gardło...

Czerwona twarz wychyliła się zza serwetki.

— *Ah, madame est Française?* *

— Nie, nie, Meksykanka...

— Nazywam się Lancelot i mam nadzieję służyć pani tak, żeby nie przynieść wstydu temu imieniu. Doradziłbym pani „Southerly Buster”: to najlepsze przy skłonności do anginy i umożliwi absolutne panowanie nad przenikaniem alkoholu do krwi, wzięwszy pod uwagę gęstość mieszaniny. Lancelot, wie pani? Rycerze Okrągłego Stołu!

Skłonił się przed Izabelą, wykonał błyskawiczny półobrót ze zgiętymi kolanami i na czworakach przeszedł pod kontuarem podśpiewując.

Serce Izabeli biło jak młotem. Nie podnosiła wzroku, utkwionego w jakimś neutralnym punkcie obrusa.

— Chciałaby pani posłuchać płyty? — spytał Lancelot.

Izabela słyszała ściekające do szklanki krople gęstego płynu, prztyknięcie wyciska-

Sans glace... (fr.) — bez lodu, proszę.

Ah, madame... (fr.) — Ach, pani jest Francuzką?

nej cytryny, szmer wody sodowej, odgłosy miksera. Skinęła głową. Westchnienie Lancelota.

— Pech. Dziś na mnie przypadła kolej, żeby zostać na statku. Pani jest tutejsza?

Izabela zaprzeczyła gestem. Lancelot nastawił starą, zużytą płytę „Doing the Lambeth Walk”. Izabela uśmiechnęła się, oderwała wzrok od obrusa i spojrzała na barmana: krzyknęła, zakryła oczy, po czym ręce podniosła do piersi na widok nowej twarzy Lancelota, w masce, o rysach zniekształconych i wydłużonych, ledwie widocznych w masie spiczastych zębów i oczu ostrygi... Wstała, przewróciła w pośpiechu krzesło i uciekła z baru, nie słysząc rozpaczliwego wołania:

— *Milady! Look here! Milady! Shall I have it sent to your cabin?* *

Pijana marchewka została zerwana, niby kaptur inkwizytora, przezroczyta pończocha pokrywająca twarz. Wzruszył ramionami i wypił powoli resztki fioletowego trunku.

Izabela zatrzymała się na korytarzu bez tchu, nie wiedząc, gdzie się skierować, oszłomiona numeracją pokładów i korytarzy, i dopiero gdy uczuła świeży chłód poduszki i szum wentylatora w swojej kabynie, zaczęła płakać i cichutko powtarzać imiona, które ją

Milady! Look... (ang.) — Proszę pani! Czy mam to odesłać do kabiny?

uspokajały, nazwy dobrze znanych przedmiotów, imiona znajomych osób, które jej nie uprzedziły, nie przeszkodziły jej wyruszyć na tę Wielką Przygodę. I zmęczenie, lęk i tęsknota ukołysały ją do snu, każąc zrezygnować ze spakowania na nowo walizek i powrotu na ląd jeszcze tej samej nocy.

— Jakie to jest uczucie, kiedy się opuszcza pokład najniższy, Jackie-boy?

— Więcej szacunku, nędzny, nieszczęsny Lovejoy! Mogę złożyć skargę u kapitana!

— Spróbuj nas upokorzyć. Wiesz już, jaka kara cię spotka.

— Jaka? Zaczaiście się na mnie w ciemnej uliczce w Panamie i będziecie tłuc, póki nie poproszę o litość! I myślicie, że potem zwyczajny, męski honor zmusi mnie do milczenia?

— Mniej więcej coś w tym rodzaju. Chyba że jeszcze przedtem postanowimy zgolić twoje złociste loki.

— Zapominasz o jednej bardzo prostej rzeczy, biedny idioto, Lovejoy!

— Ach, tak?

— Ach, tak. Ja nie znam kodeksów honoru. Wydam was i wszyscy znajdziecie się w więzieniu.

— Uczucia ludzkie, oto czego ci brakuje! Nie tylko tobie, wszystkim tym dzisiaj

lalusiom, chuliganom, nierobom, ludziom bez zasad. Dawniej dobry marynarz był ceniony przez wszystkich. Oby przyszła nowa wojna, żeby zrobić z nich ludzi!

— Kogo chcesz oszukać, mój najdroższy Lovejoy?

— Nie przejmuj się, Jackie, to wszystko z tęsknoty za dawnymi czasami. Po prostu ogarnia mnie roztkliwienie i smutek, że już nie jesteś wśród nas.

— Roztkliwienie? Wściekasz się jak pies, że musisz mi służyć.

— Nie, Jackie-boy, nie. Ty wiesz, że zawsze cię kochałem. Zbyt wiele dobrych chwil przeżyliśmy razem. Poznałem cię, kiedy jeszcze byłeś smarkaczem. Naprawdę brak mi ciebie. Nie powiesz mi, że nie pamiętasz...?

— Cicho, oskubana papugo! Szantaż jest przestępstwem bardzo szpetnym i bardzo drogo się za to płaci.

— Nie, Jack, nie rozumiesz mnie. Chodzi o to, że boję się sam robić pewne rzeczy. Razem, jak dawniej, czułbym się bezpieczny. Ludzie są tacy niedbali, roztargnieni... Pamiętasz panią Baldwin i jej fałszywe klejnoty?

— Do widzenia, Lovejoy. Jutro rano przynieś mi gorącej herbaty. To formalne zlecenie.

— Czekał, czekał. Ta nowo przybyła, wiesz, południowo-Amerykanka, co wsiadła w Acapulco...

— Nie chcę nic wiedzieć. Jesteś najbardziej odpychającą syreną siedmiu mórz, stary, łysy, żalorny Lovejoy!

— Chodzi mi o to, że taka jest nierozgarnięta. Prosi się o naszą interwencję! Słyszysz: dziewięć tysięcy dolarów w czekach podróży, słyszałeś kiedy o czymś podobnym? Tak sobie złożone w szufladzie komody w kabinie, jak liście sałaty. Zielone i świeżutkie. Gotowe do przyrządzenia w salaterce.

— Mój ty naiwny staruszkul! Czek podróży musi mieć ten sam podpis u dołu i u góry. Czy nie mówią o tym ogłoszenia? Bezpieczniejsze są pieniądze!

— Jackie, Jackie, przypomnij sobie, jak sfalszowaliśmy...

— Dosyć! Jeżeli nie przestaniesz mi krakać nad uchem, przysięgam ci, że się poskarżę kapitanowi. Masz do czynienia z dżentelmenem. A dżentelmen zawsze ocala pozory, diable, bezzębny wampirze, nieczysty, łysy sępiel!

— Ach, ach, Jackie-boy, już cię rozumiem! Och, tak, nie masz pojęcia, jak się cieszę. Zawsze cieszyły mnie twoje obelgi, o tym dobrze wiesz, prawda? Ale teraz to już nieważne. Jack, pamiętaj o mnie, gdy się znajdziesz w Twoim królestwie, jak powiedział Barabasz. No co, dobrze, Jackie?

— Gorąca herbata, Lovejoy. Pamiętaj. Dobranoc.

Mocno uspiona, nie zauważyła momentu, w którym statek wypłynął z Acapulco, i następny ranek, nie mający w sobie nic niezwykłego na tym parowcu, gdzie codzienny ceremoniał powtarzał się bez zmian od dnia opuszczenia Sydney, dla Izabeli był spokojnie niezwykły. Wahadłowy ruch „Rodezji” sprawiał, że małe słoiczki i przybory toaletowe spadały ze stołu i toczyły się po podłodze, uderzając jedne o drugie. Steward wszedł bez pukania, kiedy ona była jeszcze w łóżku, i powiedział: — *Good morning, I'm Mr. Lovejoy, your cabin steward**, i postawił jej na kolanach tacę z herbatą, podczas gdy ona naciągała pled wysoko pod brodę, przyglądała ręką włosy i usiłowała przytrzymać tacę huśtającą się na kolanach, myśląc, że stanowczo dla cudzoziemców nie istnieje coś takiego jak poszanowanie intymności w życiu kobiety. Wypiwszy herbatę wzięła kąpiel z ciepłej wody morskiej i patrząc na swoje nagie ciało w zielonawym, jedwabistym płynie, przypomniała sobie kąpiel w internacie Sacré-Coeur. Potem zeszła do jadalni pokładu C, gdzie ochmistrz skłonił się przed nią i powiedziawszy, że nazywa się Higgins i że jest na jej rozkazy, zaprowadził ją do dwuosobowego stolika i wskazał miejsce naprzeciwko

Good morning... (ang.) — Dzień dobry, jestem Lovejoy, pan! steward kabinowy.

pięćdziesięcioletniej damy, która jadła jajecznice.

Tamta przedstawiła się jako Mrs. Jenkins i wymachując obwisłym podbródkiem opowiedziała, że jest nauczycielką w szkole w Los Angeles, że ze swoich oszczędności co trzy lata może sobie pozwolić na luksusową wycieczkę morską, ale ponieważ wakacje szkolne przypadają w lecie, nigdy nie może trafić na prawdziwie elegancki sezon na statkach czy na wyspach słonecznych, to znaczy w miesiącach zimowych; na co Izabela z kolei uznała za swój obowiązek powiedzieć jej, że jest właścicielką sklepu przy ulicy Nicejkiej w mieście stołecznym Meksyku, od którego oddalała się teraz po raz pierwszy w życiu, ponieważ jest to jej pierwsza podróż za granicę, mimo że ma w sklepie ekspedientkę bardzo sumienną i pracowitą, imieniem Marilú, która zajmuje się wszystkim z wielką starannością i kompetencją; sklep zasługuje na jak największą dbałość i starania, bo wiele trudu kosztowało ją pozyskanie dobrej reputacji i zapewnienie sobie klienteli obejmującej nie tylko, rzecz prosta, dawnych przyjaciół, krewnych i znajomych tych wszystkich czcigodnych rodzin, które ucierpiały na skutek rewolucji, lecz także pań nowo wzbogaconych, pewnych, że znajdą w jej *boutique* dobry smak we wszystkich szczegółach, a zresztą to przyjemna praca dobieranie tych

ozdobnych przycisków do papierów, rękawiczek z koźlącej skóry, zawijanie ich w jedwabiste, wzorzyste bibułki...

Pani Jenkins przerwała to opowiadanie, by jej doradzić, żeby nigdy nie zamawiała śniadania angielskiego, bo płatki owsiane i solony śledź mogą tylko być traktowane jako środek na wymioty po nadużyciu alkoholu poprzedniego wieczora. „Nie uwierzy pani, że istota ludzka może wypić tyle alkoholu, póki nie zobaczy pani tego własnymi oczyma. Pani nie lubi pić?” Izabela roześmiała się i powiedziała, że jej życie jest bardzo skromne i proste. I że pomimo olśnienia podróży tęskni za swymi dawnymi zwyczajami. Naprawdę, to bardzo przyjemnie wstawać rano i z mieszkania, które dzieli z ciotką Adelajdą, iść do sklepu, pracować tam w milczeniu z Marilú, taką młodą i poważną, potem przechodzić na drugą stronę ulicy i jeść obiad codziennie u Sanborna. Ciotka Adelajda czekała na nią o siódmej i opowiadała jej stare historyjki rodzinne, a potem opowiadały sobie wzajemnie wszystkie wydarzenia dnia, a o ósmej jadły lekką kolację. Chodziły na mszę w niedzielę, do spowiedzi w czwartki, do komunii św. w piątki. A przytulne i zaciszne „Ciné Latino” było zaraz za rogiem ich domu. Naprawdę przyjemne życie.

Izabela zamówiła na śniadanie sok pomarańczowy, jajka sadzone i kawę. Pani Jenkins

szturchnęła ją nogą pod stołem, poleciła przyjrzeć się młodości i urodzie kelnerów.

— Żaden nie ma więcej niż dwadzieścia cztery lata i człowiek zadaje sobie pytanie, co to za kraj, który poświęca swoją młodzież na obsługiwanie jadalni okrętowych zamiast ją wysłać na uniwersytet. Nic dziwnego, że stracili swoje wszystkie kolonie.

Izabela miała już nawiązać przerwana opowieść, ale zdobyła się tylko na otarcie ust serwetką i rzucenie chłodnego spojrzenia Amerykance.

— Nie mam zwyczaju rozmawiać o służbie. Jeśli się im okazuje zainteresowanie, od razu zaczynają się poufalić.

Pani Jenkins zmarszczyła czoło i wstała, mówiąc, że musi wypełnić codzienny regulamin: sześć razy naokoło Promenade Deck to akurat miła. Trzeba co dzień dużo chodzić, inaczej ma się kłopoty z żołądkiem.

— *Good bye, deary*, zobaczymy się przy obiedzie.

Pomimo wszystko Izabela czuła się lepiej i jakby znowu pod opieką, w towarzystwie tej olbrzymiej damy owiniętej we wzorzysty szal, przedstawiający scenę przybycia kolonizatorów purytańskich do skały Plymouth i powiewający teraz wokół właścicielki, która zmierziała ku wyjściu z jadalni, żegnając zamasztyłym gestem ręki wszystkich współbiedników i raz po raz powtarzając *deary*.

Uśmiechnęła się i powoli zaczęła pić kawę, prawie z zamkniętymi oczyma. Zwykle hałasy jadalni, brzęk łyżeczek w filiżankach, stukanie się kieliszkami, ciepły obłok nad wrzącą herbatą, spowijały ją, otulały i w końcu przekonały ją o spokoju, przyzwoitości i dobrym guście otoczenia. Długi pogodny ranek, kontemplacja Pacyfiku z leżaka na pokładzie, filiżanka rosółu, który jej tam przyniesiono, obserwowanie pasażerów i słuchanie dobiegającej z głównego salonu muzyki kwartetu skrzypcowego, który grał walce Lehara — wszystko to utwierdziło ją raz jeszcze w tym uczuciu.

O pierwszej jeden z młodych grajków obszedł wszystkie pokłady oznajmiając obiad. Izabela zeszła do jadalni, rozwinęła serwetkę i czytając kartę potraw bawiła się swoim naszyjnikiem z pereł. Zamówiła łososia szkockiego, rozbef i ser cheddar, nie patrząc na stojącego przy niej kelnera i czekając z pewnym napięciem na potrzebne jej, punktualne przybycie pani Jenkins.

— *Hallo! My name's Harrison Beatle**.

Izabela przestała wyciskać cytrynę na różowy plasterek i zobaczyła przed sobą młodego mężczyznę o smagłej cerze i jasnych włosach, równiutko przedzielonych i przygładzonych

Hallo! My name's... (ang.) — Dzień dobry! Nazywam się Harrison Beatle.

przy samej skórze czaszki; zobaczyła ten szczupły profil, cienkie wargi, te szare uśmiechnięte oczy, które odbierały ceremonialność nieco sztywnemu ukłonowi. Młody blondyn odsunął krzesło i czekał na zaproszenie Izabeli, by na nim usiąść.

— Chyba zaszła pomyłka — zdołała wreszcie wybełkotać Izabela. — Przy tym stoliku siedzi pani Jenkins.

Mr. Harrison Beatle zajął miejsce, rozłożył serwetkę na kolanach i, błyskawicznie szybkim ruchem ukazując mankiety koszuli w niebieskie paski, rozpiął marynarkę z białego lnu.

— Nowa dyspozycja. To się tu ciągle zdarza — powiedział z uśmiechem, przeglądając kartę. — Ochmistrz to Jehowa tutejszej jadalni. Likwiduje rozdźwięki. Niech pani to przyjmie jako żart: może pani towarzyszka poskarżyła się na panią, poprosiła o zmianę...

— Och, nie — powiedziała z powagą Izabela, swoją pracowitą angielszczyzną. — Rozumiałyśmy się przecież doskonale.

— W takim razie niech pani przypisze to wszechwiedzy maître d'hôtelu. Nie wiadomo co się dzieje z tymi statkami, coraz gorsza obsługa. Boy! Miałaby pani ochotę na wino? Nie? To samo, co dla pani, i pół butelki Château Yquem.

Znowu się do niej uśmiechnął. Izabela spuściła oczy i pośpiesznie jadła łososia.

— *Suppose we ought to be properly introduced. Pity you didn't show up at the Captain's gala the other night.**

— Nie, ja wsiadłam dopiero wczoraj wieczorem, w Acapulco.

— Ach, pani jest z Łacińskiej Ameryki?

— Tak, Méjico, Distrito Federal.

— Harrison Beatle, Philadelphia.

— Isabel Valles, do usług. Ulica Hamburgo 211. Panna Izabela Valles.

— Ach, podróżuje pani bez towarzyszki? Myślałem, że Latyni są na tym punkcie bardzo drażliwi i zawsze wyznaczają starszą damę w mantyli do towarzystwa paniom. Proszę się nie przejmować. *Keep an eye on you.**

Izabela uśmiechnęła się i po raz drugi tego dnia opowiedziała historię swego życia. Od okrągłego stolika z nakryciem na cztery osoby pomarszczona ręka zamachała w powietrzu. Izabela usłyszała okrzyk *Yoo-hoo, deary* — i znowu się uśmiechnęła, potem zarumieniła się i dalej opowiadała o tym, jak to ciocia Adelajda namówiła ją do tych kilku tygodni wypoczynku po piętnastu latach pracy w sklepie z upominkami; ale brakowało

Suppose we ought... (ang.) — Zdaje się, że powinniśmy się sobie wzajemnie przedstawić. Szkoda, że nie pokazała się pani przedwczoraj wieczorem, na przyjęciu u kapitana.

Keep an eye on you (ang.) — Będę na panią uważał.

jej teraz tego ładniutkiego sklepiku, udekorowanego złotem i bielą, i ciekawe, jak te drobne zajęcia — prowadzenie ksiązek i odkładanie oszczędności, zamawianie, wystawianie i sprzedawanie chusteczek, broszek i koralików na użytek codzienny, torebek, kosmetyczek, luksusowych drobiazgów — mogą wypełnić życie i stać się niezbędne. Może dlatego tak to lubiła, że po śmierci ojca i matki — Izabela jeszcze niżej pochyliła głowę — przyjaciele rodziny poradzili jej zainwestować w przedsiębiorstwo wszystko, co zostawili jej rodzice — to znaczy tę niewielką sumkę, jaką zostawili. Mr. Harrison Beatle, w promieniach zachodzącego słońca, słuchał z głową wspartą na ręce i z mgiełką Benson and Hedges przysyłającą oczy.

Wierny dewizie, która przypisuje zwycięstwo pod Waterloo tężyznie fizycznej nabytej na boiskach sportowych w Eton, brytyjski parowiec pasażerski przypomina olbrzymi pływający stadion, po którym wszystkie miejscowe władze w oparciu o armię podoficerów, organizatorów sportowych, długonogich dziewcząt w białych mundurach, marynarzy w szerokich spodniach i pasiastych trykotach oraz innych osobistości mniej lub bardziej świadomych swego karykaturalnego podobieństwa do operetkowych bohaterów Gilberta i Sullivana, sprzysięgły się celem zama-

nifestowania brytyjskiej tradycji *fair play* i zaszczepienia jej — wraz z duchem wypraw krzyżowych i przy maksymalnym wykorzystaniu krótkiego czasu podróży udzielonego przez Opatrzność — nieszczęsnym tubylcom, po raz pierwszy mającym zetknąć się z Albionem. Nie ulega wątpliwości, że duch sportowy przeniesiony na pokłady „Rodezji” prosił się o opisy skoncentrowane wokół najbliższej pojętej sztampy brytyjskiej. Zamiast jednak podchodzić do tego krytycznie, czyż mógł się znaleźć choć jeden członek załogi czy pasażer, który nie czułby się świadomy i dumny z wykonywania czynów i gestów, z przybierania postaw, na których na próżno szczybiło swe ostrze sto lat angielskiej satyry. Sekret tkwi gdzie indziej: Anglik ustala swoją własną karykaturę na użytek zewnętrzny i żyje nią w życiu publicznym, po to, by w życiu prywatnym, pod ochroną szablonu i frazesu, cieszyć się życiem zupełnie innym, utajonym, osobistym i ekscentrycznym.

— Chodźmy popatrzeć na rozgrywki krykieta — mógł zaproponować po południu Mr. Harrison Beatle, ubrany w sposób idealnie dostosowany do okoliczności, w białe flanelowe spodnie i ażurowy sweterek w zielone i czarne prążki.

— Obejrzymy zawody pływackie dzieci — zdecyduje nazajutrz rano Mr. Harrison Beatle,

w nienagannie skrojonej białej koszuli *frotté*.
— Nigdy pani nie widziała, jak się tańczy *Scottish Reel*? — zapyta później Mr. Harrison Beatle (granatowy blezer z wyhaftowaną na piersi tarczą Trinity College) wchodząc na salę tańca.

— Dziś rozgrywki o mistrzostwo tenisa pokładowego — oznajmi następnego ranka Mr. Harrison Beatle: koszula polo, szorty i rudo owłosione nogi.

— Dziś wieczorem odbędą się wyścigi konne w lounge. Stawiam na Olivera Twista i żądam, żeby pani, przez solidarność, także postawiła funta. (Smoking o matowych wyłogach, lakierki).

Izabela, niewiele o tym myśląc, przekonała się, że asystowanie przy różnych imprezach sportowych, jeśli nie czynne uczestnictwo, jest naturalnym obowiązkiem pasażera na statku pod barwami flagi Union Jack. Przy stałej asyście pana Beatle, zawsze ubrana w swoim zwykłym ulubionym stylu (bluzka albo sweter w pastelowych kolorach, naszyjnik z pereł, plisowana spódniczka z tergalu, nylonowe pończochy i pantofle na niskich obcasach — jako jedyne ustępstwo na rzecz ducha wakacji), przebiegała wszystkie pokłady, wchodziła i schodziła po wszystkich schodkach, ogrzewała wszystkie miejsca, uczestniczyła we wszystkich spotkaniach asów krykietowych, dostała leciutkiego zeza

od oglądania meczów tenisowych i w końcu wznosiła okrzyki na cześć drużyny turystycznej w jej w pocie czoła prowadzonych zapaśach atletycznych przeciw ekipie załogi, która na skutek uprzedniego ostrzeżenia, ciągnąc linę, zawsze dawała się pociągnąć poza białą kreskę granicy.

— *Chin up!*

— *Knuckle down!*

— *Character will carry the day!*

— *Shame! Measure those twenty yards between wickets again!*

— *Mr. Beatle plays bowler for the Sherwood Forest Greens!*

— *Come now, Miss Valles, hold your partner by the waist, and keep your left arm up.**

— *Good sport!*

— *Good sport* — szepnął jej do ucha pan Harrison Beatle przyciskając ją do piersi po zakończeniu pokazu tańców szkockich, na pół godziny przed rozpoczęciem koncertu z płyt w tym samym salonie.

Chin up (ang.) — Mocniej podeprzeć!

Knuckle... (ang.) — Niżej...

Character... (ang.) — Najważniejsze, to się nie łamać.

Shame... (ang.) — Wstyd! Zmierzcie jeszcze raz te 22 jardy między bramkami.

Mr. Beatle... (ang.) — Pan Beatle gra w kręgle w drużynie Sherwood Forest Greens!

Come now... (ang.) — Niech pani obejmie swego partnera w tali, trzyma wysoko lewe ramię.

Izabela nie zaczerwieniła się. Podniosła rękę do policzka, jakby chciała zatrzymać na nim oddech pana Harrisona Beatle: młody Amerykanin ukazywał swoje olśniewające zęby i przeglądał program koncertu: uwertury Masseneta, Verdięgo, Rossiniego.

— Napijemy się herbaty przed koncertem? — zaproponował.

Izabela skinęła głową.

— Pan jest bardzo angielski w swoich obyczajach... to znaczy jak na Amerykanina — szepnęła, podczas gdy Harrison układał kruche ciasteczka na talerzyku.

— Philadelphia. Main Line. Scranton 64 — uśmiechnął się pan Harrison stając w ogonku po herbatę.

Spojrzał na Izabelę rozbawiony. Zdawał sobie sprawę, że ona nie chwyta żadnej z jego aluzji.

— ...i znaczna część dzieciństwa spędzona w Londynie z rodzicami. Widziałem Gielguda w „Hamlecie”. Abdykację króla Edwarda. Powrót Chamberlaina z Monachium, z parasolem i z mokrą teczką. Annę Neagle w tysiącu filmów o sześćdziesięciu latach chwały wiktoriańskiej. Widziałem Beatrice Lillie w jej repertuarze piosenek ulicznych. A także zwycięstwo Jacka Hobbsa w rozgrywkach o mistrzostwo krykieta w Lord's.

— Proszę pana: Grace był i zawsze będzie najlepszym graczem w krykieta, jakiego wy-

dała Anglia — oświadczył stając naprzeciw niego barczysty mężczyzna o białych wąsach zaczesanych w kierunku dziurek od nosa.

— Hobbs był gwiazdą Surrey — wtrącił głaszcząc białą bródkę inny pasażer, mizerny, niskiego wzrostu, z olbrzymim tranzystorem pod pachą.

— Lokalne sławy nie interesują nas, mieszkańców Gloucester — odparował tonem nie znośnym sprzeciwu pan o uczesanych wąsach.

— Bristol? — zapytał ten z bródką.

— Blakeney — ten z wąsami podniósł głowę z oburzeniem — Forest of Dean. On the Severn! Ziemia, nie cegły, proszę pana.

— To nie przeszkadza, żeby się napić czegoś na wzmocnienie — chrząknął mały człowieczek otwierając swoje przenośne radio, by ukazać buteleczkę koniaku, która tkwiła tam zamiast baterii. Wyciągnął ją, otworzył i zaoferował panu z Gloucester; tamten skinął głową potwierdzająco, podsuwając mu swoją filiżankę herbaty, do której przedstawiciel hrabstwa Surrey nalał łyk koniaku, wciąż z tą samą szybkością i zręcznością, i obaj wybuchnęli śmiechem.

— Zobaczymy się wieczorem w Pool Bar, Tommy — mruknął ten z Gloucester.

— Mur beton, Charlie — odpowiedział ten z Surrey i schował z powrotem swoją butelkę, mrugając w stronę Izabeli. — Jeżeli ci nie

smakują moje gruszki, to nie potrząsaj moim drzewem!

— Myślałam, że oni się kłóca — powiedziała Izabela ze śmiechem. — Jacy sympatyczni!

— Przyjaźń wzbroniona — oświadczył Harrison z bardzo poważną twarzą. — Połowa ludności Anglii jest najprzyzwoitsza w świecie, a druga połowa najbardziej zgniła.

Usiedli w saloniku przeznaczonym do pisanja listów, rozmawiając po cichutku.

— Jak pan dobrze zna świat, panie Beatle.

— Proszę mnie nazywać Harry. Tak jak moi przyjaciele, Izabelo.

Izabela słuchała odgłosu pióra biegającego po papierze.

— Tak... tak, Harry.

Inni wokół nich kaszlali, przewracali kartki książek, zalepiali koperty.

— Harry... Tak miło spędzałam ten czas w pana towarzystwie... Przepraszam... Muszę się panu wydawać bardzo naiwna... bardzo „zaufana”, jak mówimy w Meksyku. Ale... Ale z początku myślałam, że będę bardzo osamotniona.. że nikt się do mnie nie zbliży, żeby porozmawiać... Rozumie pan to...

— Nie, nie rozumiem. Dla mnie też pani towarzystwo było niezwykle miłe. Myślę, że pani obniża swoją wartość we własnych oczach, niesłusznie.

— Naprawdę... tak pan myśli?

— Dla mnie jest pani najbardziej uroczą kobietą na statku. Dystyngowana...

— Ja?

— Tak, dystynkcja i skromność. Jestem przy pani bardzo szczęśliwy, Izabelo.

— Pan?

Nie zdając sobie z tego sprawy Izabela wyrwała koronkową chusteczkę z za aksamitnego paska od zegarka, otarła wilgotne ręce i prędko wyszła z salonu.

Ten niebieski rimmel, nie, nie, zawsze jej mówiono, że najlepsze, co ma, to oczy, nie trzeba ich poprawiać... ale może odrobinę cienia na powieki... gdzie jest czarny ołówek? Mój Boże, nie mogła przecież zgubić ołówka do brwi. Dlaczego o nim zapomniała, a zabrała ten śmieszny słoiczek tuszu, którego nigdy nie używa? Panie Lovejoy, panie Lovejoy... dzwonek, nie wie, co robić, dlaczego przyciska dzwonek i czeka, aż przyjdzie Lovejoy, łysy i z długim nosem: żeby kazać mu zejść do sklepu i kupić, jeśli jest tak uprzejmy, ołówek do brwi, *half crown*, i niech pan zachowa resztę, a papiloty? zdąży zrobić sobie fryzurę? Nie, włosy jeszcze wilgotne, co za idiotyzm, myć włosy na dwie godziny przed obiadem; gabinet kosmetyczny stale zajęty, trzeba zamówić wizytę na 24 godziny wcześniej. Mój Boże, przynajmniej perfumy są

dobrze, „Ma griffe”, w sklepie szły doskonale, ale wieczorem suknia, czy się spodoba Harrisonowi, przeproszam Harry'emu, nie skrytykuje tak małego dekoltu? Kto wie, suknie o kroju greckim zawsze są eleganckie, to rzecz wiadoma, tak mówią wszystkie panie, które kupują w sklepie: styl grecki; dziękuję, panie Lovejoy, tak, właśnie taki, dziękuję, proszę nie szukać reszty, może już pan odejść, czy nie za dużo płynnego pudru? Powiedziano jej, że z „naleśnikiem” jej nie do twarzy, że ma cerę bardzo świeżą, naturalną, och, całe palce umazane różem, ach, nigdy nie będzie gotowa, słoiki, tubki toczą się po stoliku w rytmie statku, nic nie chce stać spokojnie, pudełko Kleenexu spada na podłogę, woda w pokrywce słoika do zwilżenia ołówka wylewa się na kolana, plami pończochy, Izabela zrywa się niemal z krzykiem, dotyka rękami ud i smaruje się teraz tą kleistą, różową pastą, krzyczy, nie mogąc się opanować, drapie szkło brudnymi rękami, zostawiając odciski palców barwy różowej, cielistej, aż wreszcie kładzie obie dłonie na lustrze, rozmazując wszystko, płacze, zrywa zakrętki z włosów, jednym zamachem zrzuca wszystko, co stoi na wąskim, niewygodnym stoliku, wacha rozlane mieszaniny, opróżnione flaszeczki, wszystko umazane różem do warg, perfumami, płynnym pudrem, tuszem do rzęs, zwiesza głowę, podnosi ją, widzi siebie z bruzdami łez żłobiącymi

warstwę makijażu, potem otwiera słoik z kremem, wyciera te ślady papierową serwetką, uśmiecha się biorąc małą maszynkę do golenia, podnosi ramię i smaruje mydłem pachę, goli krótkie włoski, wyciera się wilgotnym ręcznikiem, gdzie jest dezodorant? I zaczyna go szukać, najpierw nie wstając z taboretu przed lustrem, potem na kolanach, zbierając rozsypane przedmioty z podłogi w wąskiej kabinie, Harry, Harry, nie zdąży na czas, nie będzie dobrze wyglądała, och, Harry...

— Jak ten czas lecił Wyłynęliśmy z Acapulco cztery dni temu, a jutro przybywamy do Panamy. Gdzie wysiadasz?

— W Miami. Stamtąd mam wracać samolotem do Meksyku. Taki miałam zamiar, tak było...

— I może nigdy się już nie spotkamy.

— Harry, Harry...

— Każde z nas wróci do swego kraju. Obowiązki. Praca. Zapomnimy o tej podróży. Więcej jeszcze: nie będziemy do niej przywiązywali żadnej wagi. Tak, jakby nam się to wszystko śniło.

— Och, nie, Harry, co to, to nie.

— No więc?

— Ależ ja tak mało wiem o panu... o tobie...

— Harrison Beatle. Lat trzydzieści siedem.

Przysięgam, choć wyglądam na mniej. Zamieszkały w Filadelfii, Pensylwania, USA. Katolik. Republikanin. Groton, Harvard i Cambridge. Dom czternastopokojowy w mieście. Domek pod miastem, raczej pawilon myśliwski w okolicy, gdzie poluję na lisy. Cenne przedmioty. Płótna Sargenta, Whistlera, Winslow Homera. M. G. starej linii. Skromny: ubranie szyte u Brooks Brothers. Uczciwych obyczajów. Kocha psy i konie. Przywiązany do matki, uroczą sześćdziesięcioletnią wdową. Prawy charakter i nieznośna pamięć. A teraz strona ciemna: dziesięć godzin dziennie pracy w biurze. Gra na giełdzie. Zadowolona?

— Ja... ja nie... Chcę powiedzieć, że twoje życie jest przyjemniejsze. Moja ciotka Adelajda mówi, że za jej czasów wszystko było piękne, zabawy, ludzie, wszystko... Ja już tego nie znałam. Chodziłam do szkoły Sacré-Coeur, a potem... Chłopcy nigdy u mnie nie bywali, choć, prawdę mówiąc, nigdy ich nie oczekiwałam. Dziewczęta mówiły o tym, ale ja... mnie się zdawało, że to wymysły. A jednak wszystko było ładne, prawda? Nie wydaje mi się, żeby moje życie różniło się bardzo od życia innych ludzi... Rozumiesz mnie? Harry... Harry...

Nigdy wahanie nie oznajmiało gorętszej pewności, nigdy nie oznaczało takiego strachu czy rozkoszy, równie wyraźnie przebiegających stos pacierzowy, wyczuwalnych dla pal-

ców, które głaskały jej plecy, nagie plecy, można by powiedzieć, bo taki był kontakt naelektryzowanych palców Harry'ego z jasnoniebieską tkaniną usianej drobniutkimi, zagubionymi gwiazdeczkami, zapiętej z tyłu wieczorowej sukni Izabeli; wahanie i pewność, strach i rozkosz, ten zimny pot, nieszkodliwy, jak coś oddzielonego od ciała, uparcie i urągliwie obcego porządkowi i ostrożności; to ciepłe drzenie, pozwalające wyczuć sieć pulsujących żył; ten suchy język przywarty do podniebienia. Zmęczenie ramion obejmujących plecy Harry'ego, martwy ciężar nóg, gdy bezwiednie przesuwiała się po parkiecie sali tanecznej, ledwie oświetlonej przez rozproszone na niebie błękitne światelka. Dalekie echo muzyki. Nieobecność twarzy wirujących przed nią, nieśmiało oddaną uściskowi ramion Harry'ego, kiedy wysuwała brodę, by dotknąć wyłogu jego smokinga, kiedy przybliżała głowę do szyi Harry'ego wdychając zapach lawendy. Izabela na próżno szukała pana o białych wąsach, mizernego człowieczka z bródką i tranzystorem, nauczycielki kalifornijskiej udrapowanej w czerwone atłasy, która ślizgała się po posadzce, poruszając palcami i szepcząc „yoo-hoo”, młodego blondyna, który tyle razy przeszedł koło nich, patrząc na nią intensywnie, mrugając okiem od czasu do czasu, kiedy ona i Harry tańczyli w takt przyływu i odpływu muzyki.

— Chodź, Izabelo. Chodźmy na pokład.

— Harry, nie powinnam. Ja nigdy...

— Nie ma nikogo o tej godzinie.

I fosforyzująca gwiazda, gorąca piana nieruchomości nocy, zagarnęła, unosząc je ze sobą, wspomnienie ciotki Adelajdy i Marilú, sklepu przy przy ulicy Nicejskiej i mieszkania przy ulicy Hamburskiej, w kierunku milczącego propelera, porwała je na strzępy, przemieniła we wstążeczki morza, zanim je odepchnęła i porzuciła na pastwę ciemności, pozostawiając Izabelę zagubioną, bezsilną, wilgotną, z zamkniętymi oczyma, półotwartymi wargami i gorącymi łzami, w ramionach Harrisona Beatle.

— Jak wyglądał ten ślub, Jack?

— Romantyczny, Billy, romantyczny, jak stary film z Phyllis Calvert.

— Ale nie zaprosili nikogo?

— Nie, tylko oni dwoje w małym kościele koło Hilton. I ja w charakterze gapia, schowany za kolumną. Takie rzeczy mnie wzruszają.

— Bez tych dodatków, streszczaj się, chłopie.

— Żądasz wiele, a nic nie dajesz w zamian. Pamiętaj, że już nie jesteśmy równi.

— A kiedy byliśmy? Już ci mówiłem:

przyjdzie czas, że znowu cię zobaczę, jak szorujesz klozety.

— A tymczasem?

— Już dobrze. Powiem Lancelotowi, żeby ci odpalił butelkę Gordona.

— Teraz mówisz jak człowiek, Billy.

— Choćby się mała w jedwabie przybrała...

— Skąd wiesz? Tak, miała białą jedwabną suknię i welon z organdy.

— Mówiłem o tobie, idioto.

— Billy, jesteś podła świnia!

— No więc chcesz tę butelkę, czy nie?

— Butelkę dżinu. Stary Scrooge byłby przy tobie aniołem dobroci. Mogę zapraszać moich przyjaciół na dżin, póki się nie skończy butelka.

— G... mnie to obchodzi. Opowiadaj.

— Ona przez cały czas czerwieniła się i płakała. Pan Beatle był wzorem dystynkcji w swojej granatowej marynarce i białych spodniach, jakby zamierzał olśnić wszystkie cizie w Brighton.

— E, pan Beatle to dystyngowany facet. Prawie wygląda na Anglika. Dobry chłopak, jakby się kto pytał, i nie mam nic przeciwko niemu. Tylko wygląda o wiele młodziej niż ona.

— Mówię ci, że nie masz serca. Co taka stara jaszczurka jak ty może wiedzieć o miłości?

— Ech, mógłbym o tym niejedno powiedzieć, ale musiałbym ci najpierw utrzyć nosa. Za moich czasów...

— Zostaw te historie sprzed potopu i daj mi zasłużyć na tę butelkę. Była mała scena przy wyjściu z kościoła. Ona nie chciała zdjąć welonu, ale on był stanowczy i zerwał go jej z głowy bez ceregieli. Ona rozplakała się, wzięła welon w ręce i całowała, a on stał sztywno jak strażnik pałacowy. Ładny początek miodowego miesiąca!

— Nie słyszałeś, co do siebie mówili?

— Nie, głupcze, musiałem trzymać się z daleka, nie rozumiesz? Potem poszli z kościoła do hotelu, w ten piekielny upał panamski. Suknia jej się przylepiła do pleców, taka była spocona. A on też, ale wyglądał jak lord. Jednym słowem poszli do hotelu i ona zajęła się wysyłaniem telegramów, a on popijał poncz przy barze, a wszystkie te małpy z falbankami na rękawiczkach tańczyły w takt bębna.

— Powinni jeszcze raz odprawić wesele na okręcie. Byłby ubaw. Widziałem już wiele ślubów na statku. Kapitan ma pełnomocnictwo, wszystko jak w rejestrze cywilnym.

— Ona jest katoliczką, rozumiesz? W kościele wystarczy.

— Skąd wiesz?

— Lovejoy widział jej paszport i dokumenty. Papistka niczym krwawa Maria. Heretyczka nadziana forszą.

— I teraz czekasz na tę pieczeń, którą inny ci upiecze, tak?

— Aj, Billy, przestań, puść moje ucho! Stary draniu, to ja ciebie upiekę w oliwie!

— Nie pozwolę na to, słyszysz, Jack? Będę cię pilnował i następował na pięty. Zostawisz w spokoju tę przyzwoitą, zakochaną parę albo zobaczysz, co potrafi Billy Higgins! I nie zapominać, że zanim przeszedłem do jadalni, byłem dwadzieścia lat w załodze i umiem bić gdzie trzeba. Toteż odejdz po dobroci i najprostsza dróżka, bo inaczej mnie popamiętasz, jak mam imię Gwendolyn Brophy wytatuowane na piersi!

— A niech cię wszyscy diabli, piracie!

„Rodezja” odpływała z Balboa o godzinie czwartej rano. Pasażerowie wrócili na pokład lekko podpici, zaopatrzeni w tandetne pamiątki i koronkowe obrusy nabyte w hinduskich sklepach na Avenida Central, oskubani z pieniędzy w kabaretach pełnych niebieskiego dymu i usługnych Mulatek, podnieceni wirowaniem czerwieni i czerni na zielonej serwecie, zahipnotyzowani mrugającymi otworami automatów polykających monety, oszołomieni tropikalną muzyką długich trąb rzucających tęczowe błyski naprzeciw okrągłych szklanych kontuarów, wzdychający z ulgą, że zostawili za sobą żółte i fioletowe cienie wielkich ruder

zamieszkałych przez biedotę w dzielnicy Calidonia, rachityczne zamki z rozklekotanych desek zaludnione przez brzuchate Murzynki, poruszające niebieskimi parasolkami wśród nocy, i mogli przejść do dzielnicy starannie utrzymanych trawników i solidnych domów Strefy Kanału, odetchnąć orzeźwiającą bryzą Pacyfiku i wejść po trapie na pokład parowca.

— *Thanks for the tip* * — zawołał do nich szofer taksówki i dodał po hiszpańsku: — Tu nie mamy ani forsy, ani kukurydzy!

I Harrison Beatle podał ramię swojej żonie. A w godzinę później wierzeje służby Miraflores zalanej szarozieloną wodą otworzyły się, by wpuścić uroczyście wpływający parowiec, ciągniony przez dwa muły mechaniczne po czarnych, naoliwionych szynach. I rzęście oświetlona „Rodezja” popłynęła ku porankowi, minęła służby Pedro Miguel i już w poziomym świetle rodzącego się tropiku przebyła kanał Corte de la Culebra, podobna do białego sztyletu, rozdzielając bujny gąszcz drzew mangrosowych i platanów, który, przy najlżejszym zaniedbaniu, znowu zakryje wyciętą ścieżkę.

T h a n k s... (ang.) — Dziękuję za napłwek.

Szare światło sączyło się przez okrągłe okienko kabiny, kiedy steward Lovejoy, ścieląc łóżka, pochylił się nad prześcieradłami, by je zbadać węchem ogara i niespokojnym wzrokiem jastrzębia. Od progu kabiny Jack, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi rękami, zaśmiał się. Lovejoy wyprostował się nerwowym ruchem i dalej porządkował łóżko.

— Przenoszą się do innej kabiny? — spytał Jack.

— Tak. Sam kapitan zaofiarował im cabinę małżeńską. — Lovejoy zakaszlał i potrząsnął kapą przykrywającą łóżko. — Mieli szczęście. Para, która ją zajmowała, wysiada w Colón.

— Tak, prawdziwe szczęście! — Jack uśmiechnął się i przytknął palcami tak, że niedopałek papierosa wystrzelił w łysą czaszczę Lovejoya.

Uśmiechnięta Izabela z rozpostartymi ramionami tańczyła naokoło kabiny małżeńskiej, lekka, w rytmie muzyki, którą jej milczące wargi usiłowały odzyskać. Bose stopy czuły laskotanie dywanu, wyciągnięte ręce ocierały się o zasłony. Stała, gryząc się w palce, uśmiechnęła się i pobiegła na palcach do komody, w której Harry układał swoje koszule.

— Harry, czy można otrzymywać telegramy na statku?

— Depesze radiowe, kochanie — powiedział Harry ze zmarszczonymi czołem.

Izabela uściskała męża z impetem, który go zadziwił.

— Harry, wyobrażasz sobie minę ciotki Adelajdy, kiedy się dowie? Wiesz? Kiedy zobaczyłam, że odłożyłam już dosyć pieniędzy, i zaczęłam myśleć o podróży, bałam się jechać sama i moja ciotka powiedziała mi, że może się zdarzyć, że jakiś pięćdziesięcioletni przyzwoity pan zakocha się we mnie. Poznasz niedługo moją ciotkę Adelajdę. Ma powiedzonka takie, że nie wiesz, co odpowiedzieć. Ile czasu idzie telegram do Meksyku?

— Kilka godzin.

Harry układał koszule w górnej szufladzie: jedna przegroda na koszule pod marynarkę, druga na sportowe.

— A Marilú! Ucieszy się, oczywiście, ale też będzie zazdrosna. Tak, zzielenieje z zazdrości.

Młoda mężatka zaśmiała się i objęła ramieniem talię Harry'ego.

— Kochanie, jeżeli nie ułożymy ubrania jak najprędzej, kabina będzie wyglądała jak namiot cyrkowy.

Harry leciutko uwolnił się z uścisku, wyprostował się, pogłaskał jej rękę.

— Tak, tak, później. To dlatego, że to jest

nowe życie... mój najdroższy... — Przerwała, żeby rozważyć te dwa słowa, powtórzyła je bezgłośnie, poruszając wargami.

Harry schylił się i przesunął ręką po koszulach, jakby zapewniając im odpoczynek i porządek.

— Możesz zająć półki w szafie na twoje rzeczy. Nie będziesz musiała się schylać. Podzielimy szafę na połowę. Na statkach amerykańskich jest więcej przestrzeni, ale musimy się pogodzić z tym, co mamy.

— Tak, tak, tak — zaśpiewała Izabela, puściła Harry'ego i zaczęła znowu tańczyć.

— Teraz przybory toaletowe — mruknął Harry kierując się do drzwi łazienki. Izabela poszła za nim na palcach, ze skrzyżowanymi ramionami, wpatrzona w wysmukłego blondyna, który rozpinał koszulę patrząc podejrzliwie w stronę wentylatora.

— Możesz zająć apteczkę — dodał. — Ja zajmę stolik przy wannie. Bezpieczniej dla twoich flaszeczek. — Otworzył apteczkę i przytaknął głową.

Izabela włożyła rękę pod rozpiętą koszulę Harry'ego, pogłaskała jego pierś, dotknęła wilgotnej pachy, chciała podrapać go w plecy i zmusiła go, żeby przytuliwszy głowy, przyrzekli się jedno drugiemu w lustrze.

— Nie wiedziałam, nie wiedziałam — szepnęła Izabela i jej oddech powlekł parą lustro. — Myślałam, że dziewczęta kłamią.

Wstyd mi było ich słuchać. Śmiały się ze mnie, kiedy się czerwieniłam, milkły, kiedy wchodziłam do pokoju. Zakrywały usta rękami i przestawały rozmawiać. Wiesz? Czasem oglądałam fotografie z dzieciństwa, a potem patrzyłam do lustra i myślałam, że coś się stało, że już nie jestem ta sama, że tylko mi zostały błyszczące włosy, wielkie oczy, cera... Ale wargi zrobiły się jakieś cieńsze, i nos inny. W końcu się oddaliłam od tego wszystkiego. Zapomniałam. Nie wiedziałam. Harry, rozumiesz mnie?

— Najdroższa Izabelo!

Izabela podniosła wzrok i zobaczyła, że ona i Harry w lustrze patrzą na Harry'ego. Przesunęła otwartą dłoń po jego policzkach.

— Musisz się ogolić do kolacji. Do twarzy byłoby ci z brodą. Byłaby chyba biała, takie jasne masz włosy.

— Pomyłka. Broda ma tendencje do koloru rudego. — Harry wysunął naprzód szczękę.

— Kochałeś przedtem wiele kobiet? — Izabela kreśliła niewidzialne fale na nagim torsie Harry'ego.

— Doza umiarkowana — uśmiechnął się młody małżonek.

— Mnie dotychczas nikt nie kochał, nikt. — Izabela pocałowała włochatą pierś, którą Harry cofnął gwałtownie.

— Dosyć, Izabelo! Dosyć litowania się nad

sobą! Nie cierpię ludzi, którzy się nad sobą użalają!

Harry wyszedł z łazienki. Izabela spojrzała w lustro na siebie pierwszy raz, zdjęła okulary i umalowała sobie usta.

— Trzeba będzie cię wychować — powiedział stanowczym głosem Harry z kabiny. — Wiedziałem przecież, że w tropikach charakter się wypacza. Pewnie nie przeczytałem dokładnie mego Conrada.

— W tropikach... — powtórzyła Izabela, niezdolna spojrzeć jeszcze raz na siebie w lustro. — Nie, wysokość położenia miasta Mexico... Harrison, to już drugi raz krzyczysz na mnie, odkąd pobraliśmy się wczoraj!

Odpowiedział jej odgłos otwieranych i zamkniętych szuflad, zasuwanych zasłon, a potem długie milczenie.

Izabela czekała.

Harry zakaszłał.

— Izabelo.

— Tak.

— Wybacz mi, jeżeli jestem trochę szorstki. Byłem wychowany surowo. Ale ty także. To właśnie, przede wszystkim to, pociągnęło mnie ku tobie. Twoja rozważa i czystość moralna. Trochę tylko brakuje ci charakteru. Teraz jesteś moją żoną i nigdy więcej nie wolno ci litować się nad sobą. Rozumiesz? Nie zniosę tego. Przykro mi, ale na to nie pozwolę. Małżonka Harrisona Beatle musi patrzeć

na świat z podniesioną głową i dumnym wzrokiem. Mówię ci to dlatego, że cię kocham, Izabelo. Najdroższa Izabelo!

Z okularami w wilgotnych dłoniach, Izabela wybiegła z łazienki, rzuciła się w ramiona Harry'ego i zapłakała z wdzięcznością, jednoczącą w każdym stłumionym szlochu pieśczętami ciała wewnątrz ciemnej kabiny z pieśczętami ducha, które, jak pierwszej nocy, uwalniały od piętna grzechu to nie dające się opanować drzenie, tę wilgoć niejasno upragnioną i odrzucaną, i, tak jak prześcieradła w milczeniu odsunięte przez Harry'ego w półmroku, ofiarowały świeżość i zachowywały ciepło. Ręce Harry'ego, wyobrażała sobie z oddali Izabela, dotykały jednocześnie ciała i ducha. A więc to była miłość błogosławiona, połączenie duchowe, ciało chronione przez sakrament. Na próżno szukała słów podziękowania. Na próżno ułożyła jeszcze jeden telegram do ciotki Adelajdy, tłumacząc jej to, uspokajając, podając do wiadomości, że jest kochana — jak to powiedzieć? — może tak, jak kochali się jej rodzice, tak samo. I myśl o tym była jej słodką pociechą, otulała ją jasnym światłem, świadomą, że inna siła, coś, co pozostało ze snów zapomnianych w dzieciństwie, unosi ją, wlecze w czarne fale i pograża w nich, ale zarazem pozwala jej szeptać: — Jestem szczęśliwa, jestem szczęśliwa, jestem szczęśliwa.

Izabela spojrzała na zegarek, kiedy wielki most pontonowy otworzył się, aby przepuścić „Rodezję”. Powoli statek wpłynął na redę portu Willemstad. Izabela zdała sobie sprawę, że wskaźnik mijania dni zatrzymał się. Harry stał obok niej z łokciami opartymi na poręczy z nie malowanego drzewa i patrzył na mijające ich holenderskie pozostałości w stolicy Curaçao, wysokie, niemal pionowe dachy domów, wykusze, przeniesione z Haarlemu, Goudy i Utrechtu na tę karaibską wyspę, płaską i upalną, przez której słoneczny firmament przepływały nawałnice dymu rafinerii. Izabela zapytała, który to dzień tygodnia, a Harry z roztargnionym spojrzeniem odpowiedział jej, że jest niedziela. Roześmiała się: wczoraj także powiedział jej, że to niedziela, i dlatego ona nie patrzyła na zegarek, i teraz dopiero zdała sobie sprawę, że wszystkie dni wydają się jej świętem i że od dnia postoju w Panamie nie zainteresowała się tym zegarkiem-kalendarzem, który wskazywał godzinę, dzień i miesiąc z punktualnością wypróbowaną przez godziny handlu w sklepie przy ulicy Nicejskiej. Przedtem niepunktualność mogła zostać ukarana grzywną. Już miała to wytłumaczyć Harry'emu, ale się powstrzymała: biedak miał tak malownicze pojęcie o życiu w Meksyku, o braku charakteru ludzi z krajów tropikalnych, o panienkach, którym towarzyszą zakwefione starsze damy, o nie-

punktualności, ziemi wiecznego „jutro”... Pogłaskała jego rękę i oboje patrzyli na mijające ich powoli budynki, wąskie, o wysokich łupkowych dachach i fasadach w pastelowych barwach, często uwieńczonych starymi tarczami herbowymi. Gdy wpłynęli do portu, Izabela spojrzała w stronę rufy, by zobaczyć, jak się przemieszcza na nowo, od końca do końca, stary most na mocnych pontonach, podczas gdy sznur czekających samochodów, autobusów, rowerów i pieszych gromadził się po obu brzegach. Ostry gwizdek rozdarł powietrze, kiedy most z powrotem spotkał się z rozgrzanym asfaltem jezdni i hałas motorów, klaksonów, nawołujących głosów i dzwonek dał się słyszeć na nowo, jak gdyby uroczyście wejście „Rodezji” narzuciło przerwę życiu Curaçao, jak gdyby biały statek ślizgający się po spokojnych wodach zatoki, rozcinający je cicho, prawie nie mącąc powierzchni, wywołał raz jeszcze magiczny czar, który w końcu rozprasza fakty życia powszedniego. Nie myśląc o tym, Izabela czuła, że ulega dalekiemu wpływowi tej magii, fascynował ją tłum bezzębnych Murzynek i smukłych Murzynów, spoconych Wenezuelczyków, chłodnych i urodziwych Holendrów, nie ogolonych Hiszpanów i kobiet mieszanej rasy, o sterczących piersiach i jędrnych biodrach, wpatrzony w lekko i powoli wpływający statek, w milczeniu, które przerwała po chwili wrzawa

różnorodnych języków, śpiewne i natrętne zachwalanie towarów na sprzedaż, bananów, papi, mang i innych owoców tropiku, ryb rozłożonych wzdłuż mola lub w łodziach pod płóciennym daszkiem. Murzyni rozciągnięci w cieniu kutrów, z głową wspartą na aromatycznych skrzynkach wypełnionych owocami, służących im jako poduszki podczas długich sjest, rzucali z daleka ciche rozkazy Murzynkom, które poruszały się wolno, jak na zwolnionym obrazie filmowym, wykrzykując nazwy produktów i zachwalając ich zalety ewentualnym klientom, w żmudnej, upalnej krzątanie, wypoczywając chwilami, by zapleść z trudem warkoczyk z szorstkich, krótkich włosów lub obwiązać głowę czarną, wilgotną od potu chustką. Ale wibracje pływającego rynku ani nordycki spokój Helfrichplein, z gmachami urzędowymi i statuą młodej królowej Wilhelminy na rokokowym piedestale, nie ukazały Izabeli, gdy przechodziła obok nich z Harrym, kontrastu między sobą a jej życiem minionym, przedłużały tylko to poczucie czasu zatrzymanego na jej zegarku: czasu zarazem nieruchomego i śpieszącego ku nowo odkrytemu, rodzącemu się życiu, które zdawało się na zawsze zabierać rzeczywistość jej poprzedniej egzystencji. Wyprostowane plecy i sprężysty chód idącego obok niej męża, gdy weszli na Keukenstraat wdychając aromat kawy tropikalnej — to były znaki tego

nowego życia, w którym w jakiś przedziwny sposób wartości tego, czego się nauczyła i akceptowała przez wszystkie swoje lata, jednoczyły się z rozkoszami rzeczy dawniej wzbronionych i odrzuconych. Śledziła wzrokiem ruchy swego męża, patrzyła, jak przystanął przed kawiarnią na świeżym powietrzu, wybrał stolik, przysunął lekko krzesło i czekał, aż ona nadejdzie: Izabela zatrzymała się z zamglonym wzrokiem i jakimś nie dającym się opanować drżeniem w gardle. Ten przystojny mężczyzna, w którego szarych oczach wesołość posłuszna była godności, ten chłopak o jasnych włosach i mocno zarysowanych ustach, jej mąż o długich ramionach i zręcznych dłoniach...

Izabela opowiedziała Harry'emu, podczas gdy popijali kawę ze śmietanką, że ta podróż przypomina jej zabawy z dzieciństwa, kiedy jeszcze żyli jej rodzice i wszyscy mieszkali w wielkim domu koło Tivoli del Eliseo. Była w tym domu jeszcze z dziecinnych lat jej ojca wielka hala gimnastyczna w suterenie i w soboty po południu spotykali się tam wszyscy kuzyni. Chłopcy popisywali się sprawnością na drabinkach, kozłach, używali obręczy do skakania i ogromnego skózanego konia bez głowy. Dziewczynki wołały gry i zabawy czysto meksykańskie, tak odmienne, zawsze ilustrowane słowami poezji. Doña Blanca stoi w ukryciu, za rzędem filarów ze srebra i zło-

ta. Rozbijemy jeden filar, żeby zobaczyć donię Blanę. Młoda Meksykanka owoce sprzedaje, pomarańcze, gruszki, melony, papaye. A tam wąż morski zwija się w pierścienie, uciekajcie, dzieci, tędy, przez kamienie. Harry przechylił na bok głowę i poprosił, żeby powtórzyła ostatnią strofkę. Izabela zrobiła to, podczas gdy on tłumaczył słowa, ze skrzyżowanymi ramionami i wzrokiem utkwionym w niebo nad wyspą.

— *The snakes of the sea. Quite. The sea-snakes.**

I zaśmiał się cicho. Zapłacił rachunek. Izabela wskazała sklep naprzeciwko, którego szyld, „Mocky Job”, ogłaszał naprawę zegarków i roboty jubilerskie. Dotknęła lewą ręką prawego przegubu i przypomniała sobie o zepsutym zegarku. Weszli do sklepu. Jubiler, stary Holender, rudawy, o obwisłych policzkach, obejrzał zegarek, rozmontował go i przez kilka sekund bawił się zębatymi kółeczkami, zanim oddał go właścicielce. Izabela włożyła okulary i zaczęła grzebać w torebce.

— Ile jestem panu winna? — spytała. — Czy mogę zapłacić w dolarach? Zdaje się, że mam tylko czeki podróżne.

— Jeden dolar — skinął głową jubiler.

The snakes... (ang.) — Węże morskie. Tak, to właśnie węże morskie.

Harry wyprzedził jej ruch i położył banknot na kontuarze. Izabela została z otwartą książeczką czekową, zawstydzona, zaczerwieniona, wreszcie uśmiechnięta.

— Dziękuję. Polecam się na przyszłość.

— Przepraszam — szepnęła Izabela. — To dlatego, że zawsze płaciłam za siebie sama. Zapomniałam, Harry.

— Nie ma o czym mówić, kochanie. Przyzwyczaisz się do małżeństwa. Powiedz, jak to było w tym wierszyku z dzieciństwa.

— „A tutaj wąż morski zwija się w pierścienie, uciekajcie, dzieci, tędy, przez kamienie. Kto szybko biegnie, ucieknie na czas, a kto nie zdąży, zostanie wśród nas”.

— *Oh, God!*

— Tak, teraz czuję się tak jak wtedy, kiedy się w to bawiłam, jak w dzieciennych latach. Potem już nigdy nie byłam znowu szczęśliwa, Harry.

— Muszę ci się przyznać, że pewnego wieczora, na statku okropnie się bałam — powiedziała Izabela rozkładając starannie koszulę wyciągniętą spod poduszki.

Harry, leżąc na łóżku, upuścił gazetę na przykryte pledem kolana.

— Ale przecież ten poczciwy statek brytyjski to wcielona przyzwoitość pływająca!

— Tak, teraz to wiem. Ale wtedy dałam się

oszołomić. Spójrz, już widać z daleka światła Curaçao.

— Nie budzi w tobie zaufania ten tak starannie ogolony angielski kapitan? I pastor anglikański? A czcigodny wiek pasażerów?

— O, protestanccy duchowni przerażają mnie jeszcze bardziej niż ten zwariowany barman!

Izabela roześmiała się. Harry ziewnął. Spojrzała na swój świeżo naprawiony zegarek. On znów zaczął z roztargnieniem przeglądać gazetę. Przypomniała mu, że zbliża się godzina obiadu. Harry powiedział, że nie zejdzie, bo czuje się zmęczony. Izabela spuściła oczy.

— Ale ludzie zaczną zaraz komentować twoją nieobecność.

Harry wyciągnął ramiona i pogłaskał rękę swojej żony.

— Powiedz, żeby mi przyniesiono filiżankę rosołu i sandwicza. *That's a nice girl!* *

— Jeżeli chcesz, zostanę z tobą.

Harry spojrzał na nią z przechyloną na bok głową i udanym uśmiechem w oczach:

— Wiesz równie dobrze jak ja, że nie chciałabyś stracić ani jednego wieczora!

— Tak, ale z tobą! Bez ciebie to co innego.

— Bardzo dobrze. Lepiej już być nie może. Idź na obiad, tęsknij za mną, rozmawiaj

That's a nice girl! (ang.) — Bądź grzeczną dziewczynką.

z ludźmi, wypij parę kieliszków, pomyśl, czym byłoby życie beze mnie, a kiedy już nie będziesz dłużej mogła znieść rozłąki, wracaj do mnie i powiedz, że mnie kochasz.

Izabela usiadła obok Harry'ego i objęła go za szyję, wdychając.

— I z tobą wszystko jest takie inne! We wszystkim wynajdujesz wesołą stronę! A zarazem jesteś taki poważny. Taka jestem zadowolona, a jednocześnie przestraszona...

— Przestraszona? — Harry podniósł głowę i przytulił policzek do policzka Izabeli. Gazeta spadła na podłogę. — Już wypływamy z zatoki.

— Nigdy nie mówiliśmy o przyszłości.

— Błąd nie do wybaczenia. Pojedziesz ze mną do Filadelfii prawdopodobnie.

— A moja ciotka Adelajda?

— Może zamieszkać z nami. Zaprzyjaźni się z moją matką. Umie grać w brydża?

— Będzie z nią kłopot. Jest taka stara! I lubi narzucać swoją wolę. Musi wszystkim rządzić, inaczej jest nieszczęśliwa.

— Biedna mała Izabela! Bardzo cię tyranizowała?

— Nie, nie rozumiesz mnie. Ona jest szczęśliwa na swój sposób i ja też lubię, żeby się mną ktoś zajmował. O nic nie muszę się kłopotać. Chcę powiedzieć, że sklep jest na mojej głowie, a rządy w domu sprawuje ciotka. Zresztą umie sobie radzić ze służącymi. Mogę

pertraktować z kupcami, kłócić się w sprawach podatków, to wszystko tak. Ale nie ze służbą. Od tego robi mi się niedobrze, Harry. Marilú, to co innego. Pochodzi ze skromnej rodziny, ale umie się zachować, zna swoje miejsce. Kiedyś zachorowałam i służąca, którą wtedy mieliśmy, ośmieliła się dotknąć mi ręką czoła, żeby zobaczyć, czy mam gorączkę. Poczulałam straszliwe obrzydzenie. Poza tym służące mają dzieci i nie wiedzą, kto był ich ojcem. I różne inne rzeczy. Naprawdę budzą we mnie wstręt.

— Izabelo, przyrzekam ci, że służba w naszym domu będzie się poruszała z dyskrecją letnich obłoków.

— Przepraszam. Wiem, że nie lubisz narzekania. Zresztą jakże miałabym się skarżyć? — spojrzała na Harry'ego z krzywym uśmiechem. — Kiedy myślę, jak mnie wychowano! Zakonnice ubierały nas w zielone mundurki z długimi rękawami, zapięte pod szyję. Do kąpieli w wannie owijały nas w długie koszule. Trzeba było gasić światło, żeby się rozebrać przed spaniem...

— *Darling*, wybiła już ósma, a ty jeszcze nie jesteś ubrana. Pośpiesz się. Ja odrobę zaległości w lekturze, a ty będziesz za mną tęskniła i wrócisz jeszcze bardziej zakochana we mnie. I jeszcze jedna rzecz, Izabelo. Musisz pokonać swoją nieśmiałość. Idź sama i rozmawiaj z innymi pasażerami. Pamiętaj,

że w Filadelfii będziemy prowadzić życie towarzyskie.

— Tak, Harry. Masz rację. Dziękuję, Harry.

— *Hurry on now. That's a nice girl.**

— Pilna sprawa, Mr. Jack — Lovejoy nachylił się z uszanowaniem do ucha młodzieńca, który jadł rybę przy okrągłym stole na cztery osoby; szept łysego stewarda zagubił się w gwarze głosów, dyskretnych śmiechów i brzęku porcelany.

— Możesz mówić, Lovejoy.

— Małżonek nie zszedł na kolację.

— Jaki małżonek, chłopie? Myślisz, że jestem księgą miejscowego rejestru cywilnego?

— Mąż Meksykanki.

— Ach, ten! Zachorował? Wezwał lekarza? Przedwczesne wyczerpanie, wyobrażam sobie.

— Nie, nie, Mr. Jack. Kazał sobie podać do kabiny filiżankę rosółu i sandwicza. Przed chwilą mu to zaniósłem.

— Dobrze. Lovejoy. Możesz odejść.

— Do pańskich usług, oczywiście.

Jack uśmiechnął się do swoich współbiesiadników, otarł usta serwetką i podniósł palec do góry: — *Sommelier* *! — powiedział do

Hurry on now. (ang.) — A teraz pośpiesz się. Bądź grzeczna.

Sommelier! (franc.) — Kelner!

młodzieńca w okularach, który głaskał zawieszony na piersi medalik — „Dom Pérignon” dla pani przy stoliku 23.

Podpisał rachunek i znowu się uśmiechnął.

— Aha — powiedziała pani Jenkins, kiedy młody blondyn upewnił się wreszcie, wyciągnąwszy szyję, że butelka w srebrnym kubku przykrytym serwetkami została ustawiona na stoliku Izabeli.

— O co chodzi? — odburknął niezbyt grzecznie Mr. Jack.

— Mr. Jack, jak pan może być tak ordynarny? — zaśmiała się pani Jenkins. — Pannie, dlaczego znosimy przy naszym stole tego buntownika, który nie służy żadnej sprawie?

Anglik z hrabstwa Gloucester strzepnął wyłogi swego białego smokinga i przygładził palcem wąsy zaczesane do góry. — Demokracja, ot co jest. Chcieliście jej, to macie. Nigdy w życiu nie myślałem, że będę jadł kolację w towarzystwie eks-kelnera.

Zaśmiał się głośno, ale Jack już go nie słuchał; oparty rękami o stół, z rękami skrzyżowanymi pod brodą, obserwował reakcję Izabeli po otrzymaniu szampana.

— *Oh, you wicked boy* * — mruknęła Mrs. Jenkins, coraz bardziej podobna do skrzyżo-

Oh, you wicked boy. (ang.) — Och, ty niecznośny chłopcze.

wania słonia z kotem. — Jeżeli chcesz, to ci powiem. Zaczerwieniła się. Mówi, że nie zamawiała szampana do kolacji. Steward tłumaczy, że posyła go jej w hołdzie wraz z wyrazami szacunku ten młody człowiek przy okrągłym stoliku. Ona znowu się uśmiecha. Pewnie myśli, że to życzenia z okazji jej niedawnego ślubu. Panie Charlie, widział pan kiedy dziwniejszą parę niż ta Meksykanka i mój rodak z Filadelfii?

Stary z białymi wąsami mruknął:

— Buntownicy bez Sprawy, *blousons noirs*, *stiliagha*, *nezem*, *paparazzi* — to choroba wieku.

— Nie bądź ignorantem, Charlie — stary z bródką jednym wspaniałym gestem wyciągnął kręgosłup ryby. — *Paparazzi* to nie są zbuntowani młodzi. To rodzaj makaronu włoskiego.

— Ha-ha! — roześmiała się teraz jak słoń pani Jenkins. — Oto do czego służy prasa brytyjska. *Paparazzi* to nie *spaghetti*, panie Tommy, tak samo jak eunuchowie nie są mężczyznami, choćby pozory na to wskazywały.

— Och, bądźcie cicho — wykrzyknął Jack pośród śmiechów trojga starych i posłał błyszczący uśmiech w stronę Izabeli, która przyjęła go zmieszana, spuściła głowę i dalej jadła kolację.

— W takim razie co to znaczy *paparazzi*? —

zapytał Mr. Tommy z Surrey, oddając się rozkoszom podniebienia.

Charlie: — Żołnierz włoski z kogucimi piórami na głowie.

Mrs. Jenkins: — Kura egipska z piórami Włocha na ogonie!

Tommy: — Średniowieczne narzędzie tortur, które wpychano rozżarzone do czerwoności przez ogon.

Charlie: — Ogon ma być tematem dzisiejszego wieczora? Dobrze, przypuśćmy, że rozpoznajemy ludzi nie po twarzy, tylko po ogonie.

Tommy: — Dzień dobry, jak doskonale wygląda dziś pański ogon!

Mrs. Jenkins: — To zasługa różu w pudełeczku. Nie sposób się oprzeć urokowi ogona.

Tommy: — Jak cię rozpoznam w karnawale z tą maseczką na ogonie?

Charlie: — Teraz, przy rozwoju ogonowej chirurgii plastycznej, możesz stać się gwiazdą filmową, nazwiemy cię Anus Cyclops.

Tommy: — I kupimy ci monokl na astygzmatyzm kiszki stolcowej.

Mrs. Jenkins: — I obiad będzie rzeczą nieprzystojną i utrzymywaną w sekrecie, natomiast wypróżnienia będzie się odbywało w miłym gronie dobranych przyjaciół!

Charlie: — W restauracjach będą muszle klozetowe zamiast talerzy.

Tommy: — A kelnerzy zamiast podawać, będą zabierać.

Charlie: — *Oh, what a jolly world!* *

Jack uderzył pięścią w stół:

— *Shut your bloody mouths!* *

— W samej rzeczy — pisnął Tommy. — Właśnie. Zamknąć gęby i otworzyć...

— A *paparazzi* to zaszrane łajzy, które fotografują cycki Anity Ekberg — krzyknął Jack i ryknął śmiechem, któremu wszyscy zawtórowali.

— Nie ma to jak kontakt z niższymi klasami — chichotał Charlie zatykając sobie usta serwetką, purpurowy ze śmiechu.

— Doświadczenie podejrzliwego patrzenia na przeszłość wraz ze smakiem miodu na wargach i przeżywaniem terażniejszości — westchnął przeciągle Tommy.

— *Salve, Britannia* — Charlie podniósł kieliszek, nie mogąc zapanować nad czkawką. — Ziemia wybrana stoickiego szaleństwa!

— *Really, some people overdo it* * — zauważyła pewna dama z ostatniej grupy opuszczającej jadalnię.

— *Salve* — zawtórował mu Tommy, także z podniesionym kieliszkiem i pogardliwym spojrzeniem w stronę damy. — Ten królewski

Oh, what... (ang.) — Cholerny świat!

Shut... (ang.) — Zamknij pysk!

Really, some... (ang.) — Naprawdę, niektórzy ludzie przesadzają w zabawie.

tron kurew, ta wyspa zapożyczonych prymatów jądrowych, ta ziemia majestatu, siedziba Stephena Ward, ten drugi Eden Anthony i *demi-tasse*, ta szczęśliwa hodowla nimf i *kinkys*, ta karmicielka sutenerów z Jamajki, ten brzuch zapłodniony przez Battenberga, ta ziemia błogosławiona, królestwo, Anglia!

Tommy opadł ciężko na krzesło i spojrzał szklistymi oczami na panią Jenkins:

— No i co, czy jankesi mają podobną poezję?

Mrs. Jenkins majestatycznie podniosła się i zaśpiewała nad obwisłymi podbródkami wśród stłumionych śmiechów kilku kelnerów, którzy oglądali widowisko w pustej jadalni: „O, powiedz mi, czy widzisz w świetle jutrzeńki to, o czym śpiewaliśmy w ostatnich blaskach zmierzchu?”

Staruszka dramatycznym gestem wyciągnęła ramię i skurczyła mięśnie twarzy:

— Bum! Na drugi rok zostały w klasie dzieci z Alabamy! Bang! Do łóżeczka poszli tatusiowie i mamy! Bang! Zaopatrzcie się w schrony, panowie i panie, póki Rocky będzie wygodne i tanie! Bang! Jack Paar jest naszym Homerem, a Fulton Sheen naszym bestsellerem! Frrrp! W telewizji płakaliśmy z Nixonem i jego pieskiem! Zing! W San Quintin upiekliśmy żywcem Chessmana. Tick tick tick póki jest z czego płacić składki, módlmy się do Boga, dziatki. Czegóż nam

brak do szczęścia? Pragniesz nieba? Da ci je Spellmann. Chcesz uczucia? Posłuchaj, jak Liberace gra na fortepianie. Chcesz pozyskać przyjaciół i wpływać na ludzi? Ofiaruj milion dla Hiszpanii i Wietnamu. Chcesz się zabić w piratów? Wystarczy ci się pogrążyć w Zatoce Świń. Chcesz kultury? Jackie dekoruje Biały Dom. Och, ta niewinność dnia wczorajszego, drewniane domki, pionierzy Dalekiego Zachodu, och, napady Siuksów, och, bukoliczne jezioro Walden, och, polowanie na czarownice z Salem. Miller, twoje imię jest Dimmesdale. Niech żyje Lincoln sproszkowany, niech żyje Grant perfumowany! Wivat Jefferson w wieku kwiecie na integralnym bidecie. Korzystajmy, korzystajmy z darów ziemi Obfitości, wybrzydźmy, rozwijajmy w sobie ducha subtelności!

Niby omdlały słoń, pani Jenkins osunęła się bez tchu w ramiona Charliego: jej purpurowa twarz napotkała otwarte usta Izabeli, siedzącej obok Jacka:

— Pani nie pije, eks-dziewico? — jęknęła pani Jenkins i zemdląła.

— Co się z panią dzieje? — krzyknęła Izabela. — Nic nie rozumiem! Proszę pana, pan był bardzo uprzejmy, ale muszę już wracać do swojej kabiny.

Jack przytrzymał ją delikatnie za łokieć.

— Musi pani nam pomóc odprowadzić panią Jenkins.

— Dokąd zaprowadzimy różowy Zeppelin wolności? — spytał Tommy zabierając swój tranzystor.

— Na razie zdejmijcie go ze mnie — zduszonym głosem zawołał Charlie, który dźwigał dziewięćdziesiąt osiem udrapowanych kilo.

— Do „Pool Baru” — zaproponował Tommy i wyciągnął ramię potrząsając swoim aparatem radiowym, tak że zagrzechotała ukryta w nim butelka.

Pani Jenkins otworzyła jedno oko:

— Wyglądasz jak Waszyngton w momencie przekraczania rzeki Delaware!

— Rzeka whisky z krami lodu! Niepodległość i rewolucja „*On the rocks*” — gwizdnął Charlie. Ujął panią Jenkins pod pachy, podczas gdy Tommy trzymał ją za nogi, i wesoły orszak ruszył do „Pool Baru”, razem z Jackiem i Izabelą.

— Można się zabić na statku, pani Beatle.

— Pani? Ach, tak, pani Beatle. No tak, on powiedział... to znaczy mój mąż, żebym się zabiła... nie wiedziałam...

— A co pani wiedziała, Izabelo? Mogę panią nazywać „Izabella”?

Drzwi windy otworzyły się i wszyscy weszli, nie bez trudu. Młody windziarz zatkał sobie usta ręką, żeby się nie śmiać. Panią Jenkins, niby mur bez fundamentów, podpierali Tommy i Charlie, którzy z kolei szukali oparcia

w milczącej, lakierowanej klatce. Izabela i Jack stali ściśnięci w kącie.

— Nazywam się Izabela, nie Izabella. Skąd pan zna moje imię?

Jack zrobił gest, który mógł oznaczać natchnienie, równie dobrze jak obojętną ironię:

— Izabella to bardziej romantyczne, bardziej łańskie. Jest na statku lista pasażerów, pani wie?

— Zresztą...

— Nadużycie zaufania? Brak szacunku? Niech pani spojrzy wokół siebie. Wszyscy oszaleliśmy!

Izabela roześmiała się. Otworzyły się drzwi i wszyscy weszli do salonu, gdzie pasażerowie, w nieustającym turnieju, grali w „pytania i odpowiedzi”. Prowadzący grę zadawał pytania przez mikrofon i ekipy złożone z dwudziestu stolików wypisywały odpowiedzi i numer stolika, po czym ktoś z grupy składał karteczki na stole, zajęty przez jury. Marynarz w szerokich spodniach notował punkty poszczególnych drużyn na tablicy. Charlie i Tommy skutecznie dźwigali panią Jenkins pod eskortą Jacka i Izabeli, która zakrywała sobie twarz torebką.

— Kto wymyślił psychoanalizę? — padło pytanie przez mikrofon.

Charlie krzyknął: „Montgomery Clift!”, a Tommy: „Nieprawda. To był genialny fabrykant tapczanów”. Charlie dodał: „Co było naj-

pierw, tapczan czy psychoanaliza?”, po czym obaj upuścili panią Jenkins, niby worek kamieni, na środku salonu, ujęli się pod boki i zaczęli poruszać nogami w takt kankana, wyjąc pijackimi głosami:

Hymn na cześć Edypa, wesołego typy,
Co czczył co dzień Świątło Matki
Drzemką pod pierzyną w kratki
Niech żyje Jokasta, cnotliwa niewiasta,
Co uświęciła stan wdowi
Rodząc wnuki własnemu synowi!

Potem rozległa się muzyka Offenbacha, Charlie i Tommy podnieśli z podłogi zemdloną i wyszli czym prędzej, wśród śmiechów i oklasków, z rzęsiście oświetlonego salonu do pogrążonego w półmroku „Pool Baru”, gdzie pani Jenkins, po raz ostatni, złożona została na wysokiej ławeczce naprzeciw kontuaru, podtrzymywana przez barmana Lancelota, podczas gdy Tommy szturmem zajął fortepian, usiłując wydobyć z klawiszy wodniste tony *à la* Debussy, a Charlie, z łokciami wspartymi na kontuarze, rzucił rozkaz:

— Muszę cię jeszcze skonfundować, Lancelot! „Aksamit Północy!”

Człowiek z marchewkową głową uśmiechnął się ukazując czarne zęby z tektury:

— *Champagne and stout, My Lord...**

— — —
Champagne and stout... (ang.) — szampana i porto.

— *Blast it!** — Charlie uderzył dłonią w kontuar: — Scarlett O'Hara.

Barman zaśmiał się sztuczną zgnilizną w swoich ustach, schylił się i wynurzył z pince-nez w złotej oprawie na nosie, po czym pośpiesznie zmieszał whisky, sok cytrynowy i zawartość puszkę z galaretką z malin, w wysokiej szklance pełnej drobno rozkruszonego lodu. Potrząsnął tą mieszaniną przed dziko rozpaloną twarzą Charliego.

— Za burzę, Lancelot, za burzę! Z tobą na prawdę nie można się pogodzić. Tracisz czas na tym stateczku ukraińskich emigrantów. Marly, Fontainebleau, Windsor, Peterhof, Sans Souci, Schönbrunn, Sardi's, Robert Vathier aux Halles, pałace tego świata i księżce podniebienia żądają twoich usług... Świerszcz! *Grasshopper!*

Lancelot znowu się schylił i wynurzył się tym razem w cylindrze na głowie i z czarnym monoklem w oku. Do drugiej szklanki z lodem wylał porcję śmietanki, drugą kremu kakaowego i trzecią kremu z mięty: podał zimny puchar rozgrzanemu Charlie. W obliczu trzech mieszanin, czarnej, czerwonej i zielonej, obywatel z hrabstwa Gloucester zaniemówił: chleptał jedną po drugiej nie dotykając kieliszków, plamiąc białe wąsy, aż wresz-

* *Blast it!* (ang.) — Niech to diabli!

cie przybrały barwy jakiegoś jeszcze nie wyzwolonego narodu.

— Teraz Alamo — zdołał westchnąć, nim padł definitywnie — na cześć naszego gościa, Meksykanki.

Izabela siedząc obok Jacka koło fortepianu wzięła do ręki wysoką szklankę soku grejpfrutowego i whisky.

— *Remember the Alamo?* — spytał przy-mrużając oczy bez brwi barman we frygijskiej czapce.

— To sok z grejfrutu — powiedział Jack. Izabela wypła z grymasem obrzydzenia.

— Ależ ja nigdy nie piję!

— Więc wzgardziłaś moim szampanem?

— Nie, wypłam. Ale to nie jest napój pijaków.

— Pamiętam moje lata w Kalifornii — rozmarzył się Tommy przebiegając wciąż po klawiszach. — Pewien bar w Oakland w epoce prohibicji. Byliśmy młodzi, lekkomyślni. Nie dźwigaliśmy jeszcze na swoich barkach obowiązków wieku dojrzałego. Raz tylko się jest młodym, proszę pani — mrugnął okiem do Izabeli. — Kochałem się wtedy w niedosłej gwieździe filmowej, nazwiskiem, jak twierdziła, Laverne O'Malley. To ona rzucała Douglassowi Fairbanks linę, żeby wdrapał się po niej przez mur zamku. Byliśmy młodzi i romantyczni i śpiewaliśmy.

Tomy uderzył w klawisze i wydobył ze swej przepony:

— *How you gonna keep'em down at the farm now that they've seen Pareeee...**

Zamglonymi oczyma obserwował Izabelę i Jacka.

— Nie traćcie czasu, gołąbki. Łóżko jest jedynym miejscem przyjaźni i miłości, poznania i okrucieństwa, rozczarowań i wzruszeń. Al Jolson skończył z Laverne, *San Francisco here I come, right back where I started from, Swanee, how I lovy, muy dear old Swanee, Sonny Boy, If you don't get a latter then you'll know I'm in jail, Too-too-tootsie dahn cray,** bo Laverne miała głos zdolny zatrzymać rakietę międzykontynentalną i sypiała z Johnem Gilbertem i Ramonem Novarro, a teraz prowadzi pensjonat dla emerytowanych aktorów w małej ślepej uliczce przy końcu Wilshire Boulevard.

Głos Tommy'ego załamał się i głowa opadła na klawisze z głośnym szlochem. Jack uściśnął rękę Izabeli. Pani Beatle, odurzona i bez sił, nie wyrwała dłoni z mocnego uścisku młodzieńca. Zamglonym wzrokiem przebiegła

How... (ang.) — Jak ich teraz utrzymasz na wsi, kiedy już widzieli Paryż...

San Francisco... (ang.) — San Francisco, wracam już tam, skąd przyszedłem. Jakże cię kocham, droga stara Swanee... Jeśli nie dostaniesz listu, wiedz, że jestem w więzieniu... Nie płacz...

trzy bezwładne bryły: pani Jenkins, chrapiąca na kontuarze i usadowiona na taborecie, Charlie, zwinięty w kłębek na podłodze z głową na miedzianej spluwaczce; Tommy, popłakujący na milczących klawiszach. Jack, z oczy- ma utkwionymi w Izabelę, nie puszczając jej ręki, zaczął gwizdać pierwsze tony „Boże zachowaj królowę”, a Lancelot na czubkach palców podszedł do adapteru, nastawił płytę i po chwili dał się słyszeć głos Sary Vaughan. Jack uniósł z krzesła Izabelę biorąc ją za ręce, objął w talii młodą mężatkę i przybrał rytm najwolniejszy, w jakim kiedykolwiek była kołysana do snu, w dodatku na stojąco. Przez oszołomioną głowę Izabeli przebiegły wspomnienia dziecinnych piosenek i rond, skóry Harry'ego, fal łamanych przez kil „Rodezji”, zapach angielskiego dezodorantu i rozlanych koktajli. I ten drugi mężczyzna nie ścisnął jej, nie obrażał w niczym, trzymał się z daleka, nie odrywając od niej wzroku, prawie się nie poruszając, pod dyktando powolnej piosenki: *My little girl blue...* Była kimś innym, tak jak inna była niegdyś opuszczona kobieta na molo Acapulco, tak dalekim, tak nierealnym. I wyuczony kodeks rozpadał się w kawałki, a ona nie wiedziała, jak odpowiedzieć na wymawiane słowa i sytuacje stworzone przez dwóch starych Anglików, panią Jenkins i Jacka, Jacka, który nie przestawał na nią patrzeć...

— Nie przestałem patrzeć na ciebie, odkąd wsiadłaś na statek, Izabello.

— Doña Blanca za rzędem filarów ze złota i srebra.

— Dobrze się czujesz?

— Rozbijemy jeden filar...

— Ale ty nigdy nie patrzyłaś na mnie...

— Ja nigdy nie patrzyłam na ciebie...

Gorąca fala uniosła się gdzieś od brzucha. Izabela otoczyła ramionami szyję Jacka i pocałowała go w usta. Odsunęła się natychmiast z grymasem zgrozy, patrzyła na niego tak uporczywie, jak on na nią, wytrzymując uśmiechnięte spojrzenie jego półprzymkniętych oczu, po czym zakryła twarz dłońmi, skurczyła się, pochyliła, dręczona tym wstydem, który studził żar w skroniach, ale nie w brzuchu, i wreszcie upadła na kolana przed Jackiem, nieruchomym, wspartym na nogach twardych i mocnych jak dwa drzewa.

— Och, Jack, och, Jack...

— Wstań. Podaj mi rękę. Wyjdziemy na powietrze.

— Przepraszam... Uderzyło mi do głowy. Nigdy nie piję. Nigdy... Nigdy...

Znowu słony lodowaty podmuch na jej policzkach. Ale tym razem nie z tą chłodną energią, jak z początku, lecz ze straszliwym przecuciem mdłości.

— Proszę mnie odprowadzić do kabiny, Jack. Źle się czuję.

— Chcesz wracać do męża w tym stanie?

— Nie, nie. Co mam zrobić?

— Powietrze cię w końcu uspokoi. Oprzyj się na moim ramieniu.

— Co sobie o mnie pomyślisz!

— To, co zawsze. Że jesteś najbardziej uroczą dziewczyną na statku.

— To nieprawda. Nie drwij.

Uświadomiła sobie, że gdy krzyczy, wiatr odbiera jej słowom wszelką siłę, że krzyczeć teraz, to tak jak być niemą. Błyskawice bez grzmotów, także nieme, oświetlały wstęgę horyzontu. Jack poruszał wargami, a ona nie słuchała. Wiatr targał włosy obojga: krótkie jasne kosmyki Jacka i czarne włosy Izabeli, które oślepiały ją i wilgotniały w ustach. Jack zdjął jej okulary i wrzucił do morza. Izabela wyciągnęła rękę i napotkała tylko próżnię czarnego oceanu, bezcielesnego, obdarzonego tylko głosem. Jack, uśmiechnięty, wziął torebkę z rąk Izabeli, wyciągnął ołówek do brwi i kredkę do warg i zaczął rysować prędko, lecz starannie nową twarz: zmieniony łuk brwi, pełniejszy kształt warg, rękami ułożył jej włosy. Izabela czuła dotknięcia palców na skroniach, na czole, na ustach i wreszcie Jack pokazał jej nowy obraz w małym lusterku ze zmianami minimalnymi, lecz absolutnymi: brwi szukały wyrazu, pełne wargi nadawały inną symetrię twarzy, a włosy — prowokacyjny niepokój całemu ciału. W pewnej chwili

wiatr ustał i głosy dały się słyszeć na nowo.

Kiedy wrócili do salonu, trójka starych otrzeźwiała już trochę. Siedzieli w fotelach obitych zieloną skórą, zajęci grą własnego pomysłu: prowadzenie rozmowy złożonej z cytatów Szekspira. Lancelot, usłużny i nadskakujący, przygotował im koktajle na bazie soku pomarańczowego i Charlie tłumaczył:

— Po co marnować szare komórki, jak by powiedział mój ulubiony detektyw, wymyślając na nowo to, co już zostało powiedziane, powiedziane na zawsze i w sposób wspaniałe. Zdrowie starego Willa! Pederasta czy Marlowe? Niech to sprawdzi CIA! On powiedział to wszystko, toteż, na miłość Boską, usiądźmy sobie na ziemi i opowiadajmy smutne historie o śmierci królów. Ryszard II.

Pani Jenkins stłumiła czkawkę.

— Zdaje mi się, że za słabą mam głowę, żeby pić. Otello.

Tommy grał na fortepianie marsza weselnego Mendelssohna: — O tragiczna wesołości! Sen nocy... — nie mógł powstrzymać łez krzywego uśmiechu — ...letniej.

— Lekkomysłnej małżonce należy się małżonek poważny — Charlie westchnął. — Kupiec Wenecki.

Pani Jenkins zagdakała:

— Kiedyż na nowo spotkamy się we troje... grzmoty... błyskawice... deszcz...

Charlie i Tommy wstali, sztywno wyprost-

wani i weseli, ze szklankami wysoko wzniesionymi w górę, i wykrzyknęli razem: „*When the hurly-burly's done, when the battle's lost and won!*” *

— *Bloody fools!* * — Jack wzruszył ramionami i odwrócił się od nich. — Potem giną z rąk motłochu i jeszcze pytają, dlaczego, i wstępują na szafot zmieszani, niewinni, pełni swojej godności skazańców. Raz nareszcie wsadziłbym im petardę w d...

— Jack... ten język — szepnęła Izabela. — Myślę, że teraz na pewno już muszę wracać.

Jack uniósł w górę brwi i pokazał zęby:

— Cóż to, skończona pieśń dlatego, że skończyła się grzeczność? Och, ty cizio, naprawdę jesteś naiwna. Z kim masz do czynienia, jak ci się zdaje? Skończyła się komedia? W takim razie poznaj łajdaka Jacka Murphy, co przez osiem lat pracował jako steward na tej samej łajbie, a teraz wydał wszystkie swoje oszczędności, żeby choć raz współżyć na równej stopie z towarzystwem wytwornych dam i panów...

— Ty... pan... służącym? Ja... ja pocałowałam służącego?

— I to najniższego rzędu, ślicznotko. Tymi wymanicurowanymi rączkami myłem klozety

When the hurly-burly's... (ang.) — Kiedy minie zawierucha, kiedy bitwa będzie przegrana i wygrana...

Bloody fools! (ang.) — Kretyni!

i zbierałem prezerwatywy... Co o tym myślisz?

— Proszę mnie puścić!

— Siedź i nie ruszaj się. Brak mi jeszcze znajomości z babką, która drze nosa i której nie smakuje miłość służącego. Na ogół wszystkie chcą mocnych wzruszeń. Z iloma czci-godnymi damami spałem w czasie każdej podróży, jak ci się wydaje?

— Pani Jenkins! Na miłość Boską! Proszę mi pomóc!

— A jednak lękam się twojej natury — westchnęła z daleka potężna Kalifornijka. — Zbyt pełna jesteś mleka ludzkiej dobroci. Makbet.

Jack przytrzymał Izabelę za przegub.

— A dzisiaj otrzymałem telegram. Co na to powiesz?

— Nie wiem, nie wiem, co za telegram? Na Boga! Och, Marilú albo moja ciotka, one...

— Staruszka, moja matka, przez całe życie sprzedawała kwiaty na ulicach Blackpoolu, przy wyjściu z teatrów, wiesz? Jak w dawnych melodramatach, w śnieg i deszcz... A ja wydałem wszystkie pieniądze na podróż. Trunki w barze dają mi tu z litości.

— We mnie też budzi pan litość... Proszę mnie puścić, na wszystko, co dla pana najdroższe. Mój mąż...

— Nie interesuje cię, co się stało z moją matką? Jesteś bardzo okrutna.

— Proszę pana, ja nic nie rozumiem, proszę mnie puścić, błagam...

— Serce. Najwyżej trzy miesiące życia. Ani pensa, żeby zapłacić szpital. A ja tu flirtuję z tobą... A ja...

Jack opuścił głowę na kolana Izabeli, szlochając.

Izabela podniosła do góry ręce, jakby chciała egzorcyzmować demona, a w końcu pozwoliła im opaść na jasnowłosą głowę Jacka.

— Jack... proszę pana... Och, mój Boże, co się robi w takich wypadkach...

Otworzyła torebkę i wyjęła chusteczkę. Lekko wytarła nos.

— *Fair is foul and foul is fair* * — powiedział Charlie głosem przerywanym przez czkawkę.

Izabela wyjęła z torebki niebieski portfelik. Otworzyła go, znalazła wieczne pióro i pod każdym czekiem podpisała z pośpiechem swoje nazwisko, tym pajęczynowym pismem, którego ją wyuczono w Sacré-Coeur. Odezwała się suchym i gorzkim głosem:

— Ile pan potrzebuje? Dwieście dolarów? Pięćset? Proszę powiedzieć!

Izabela wetknęła czeki podróżne do kieszeni marynarki Jacka, odsunęła jego głowę, jakby to była krucha szklana kula, i wyszła z baru, pożegnana złośliwym spojrzeniem Lan-

Fair is foul... (ang.) — Piękno jest plugastwem, a plugastwo pięknem.

celota i zupełną obojętnością trójki pijaków, którzy nie zauważywszy tego nawet, dalej zabawiali się w cytaty.

— *Merde* — beknął Charlie.

— Postaraj się zwymiotować, to ci dobrze zrobi — powiedział pan Harrison Beatle.

Ubrany był w swój ulubiony strój: granatowa lniana marynarka i białe flanelowe spodnie. Cesał się przed lustrem, a Izabela, leżąc w łóżku pod obrazem Matki Boskiej z Guadalupe, przybitym do ściany gwoździkiem, którego dostarczył jej Lovejoy, także przeglądała się w swoim lusterku ręcznym. Skrzywiła się z niesmakiem na widok tego, co w nim zobaczyła: wyciągnęła język i obejrzała go wdychając aromat wody kolońskiej, którą Harry skropił chusteczkę.

— Och, Harry, spójrz! Nigdy w życiu nie miałam takiego języka. Oj, co za wstyd.

Harry zdawał się wahać, patrząc w lustro.

— Nie mogę w to uwierzyć, Izabelo! Przyłączyć się do tej bandy nałogowców!

Rozwiązał węzeł krawata.

— Och, Harry, lepiej byłoby ci nic nie mówić!

Otworzył szafę ścienną ze zmarszczonym czołem.

— Za pozwoleniem! Nie powinno być żadnych sekretów między tobą i mną, zresztą je-

stem ci wdzięczny za szczerość. Teraz przynajmniej wiesz, że po dwóch kieliszkach szampana i jednym koktajlu mogłabyś wpaść do morza. Będę musiał także nauczyć cię pić w towarzystwie.

Westchnął i wyjął błękitny krawat w czerwone prążki.

— Widzisz? Lepiej, żebym była została z tobą, tak jak chciałam. To ty się uparłeś, żebym się zabawiła...

Podniósł kołnierzyk koszuli.

— Tak, ale myślałem, że wybierzesz sobie inne towarzystwo. Nie brak tu przyzwoitych ludzi, poważnych małżeństw! A ty musiałaś się wmieszać między tę hołotę!

Zawiązał nowy krawat.

— O trzeciej wpływamy do Trinidadu. Jesteś gotowa?

Jeźdźce raz uważnie przyjrzała się swemu odbiciu w lusterku.

— Nie, Harry, chyba nie wysiądę. Czuję straszliwą rewolucję w żołądku i głowę mam jak z kamienia.

— Nigdy nie myślałem, że będę musiał leczyć własną żonę ze skutków pijatyki, *Nasty business*,* Izabelo. Jeżeli my nie potrafimy utrzymać się w formie, to kto?

Izabela wstała z łóżka, z podkrążonymi oczyma, zżółkłą twarzą.

* *Nasty business* (ang.) — brzydka historia.

— Harry, Harry, nic już nie mów, nie dokuczaj... Harry, jest jeszcze coś, czego ci nie powiedziałam. Och, Harry...

Uklękła przed nim, szlochając, obejmując nogi swego męża.

— Co? — Harry nie dotknął jej. — Izabelo. Człowiek stara się być wyrozumiały. Ale istnieje granica, której przekroczyć nie można. Izabelo, coś zrobiła w twoim honorem?

— Nie, nie — wybełkotała Izabela wśród łez. — To nie to... Harry mój najdroższy, mój mężu. Harry. Myślałam, że w ten sposób go upokorzę, każę mu zapłacić za poniżenia, że...

— *Speak up, woman.**

Izabela podniosła wzrok i zobaczyła swego męża, wysokiego, jasnowłosego, jak kłos spalony na słońcu.

— Dałam mu pieniądze, żeby go upokorzyć, rozumiesz? Tylko dlatego...

— Co za lekkomyślność — Harry wyrwał się gwałtownie z uścisku. — Przede wszystkim nie miałaś powodu usprawiedliwiać się przed tym idiotą. Jeszcze dziś go odszukam i każę mu zwrócić pieniądze, choć wyobrazasz sobie, jakie przyjemne może być dla mnie spotkanie z takim łobuzem. Ile mu dałaś?

— Nie wiem — Izabela siedziała wciąż na podłodze. — Chyba z pięćset dolarów. Trzeba policzyć czek, żeby sprawdzić... Harry, nie

Speak up, woman. (ang.) — Mówże, kobieto!

szukaj go. Proszę cię, zapomnijmy o tym wszystkim. — Podniosła się z trudem i przez chwilę stała na czworakach. — Wiem, Harry. Tyle rzeczy się stało, że miesza mi się w głowie. Wiem. Weź ode mnie wszystkie pieniądze i zarządzaj nimi, błagam cię.

Harry pomógł jej się wygramolić, podając obie ręce, tak że stanęła wreszcie na nogach, chwiejąc się.

— Nie chcę nic wiedzieć o twoich pieniądzech. Jeżeli chcesz, podaruj je swojej ciotce. Zapominasz, z kim rozmawiasz. Ale z czasem mnie poznasz. Wtedy będziesz wiedziała, że mój honor jest...

Izabela zatkała mu usta ręką, z trudem podszła do stolika nocnego i wzięła leżącą na nim torebkę. Usiadła i zaczęła podpisywać prędko czeki, jeden po drugim.

— Weź to ode mnie, proszę, na samą myśl, że mogłoby się powtórzyć to, co było wczoraj wieczorem, dostaję mdłości, Harry...

— Moje pieniądze i twoje muszą nadal być oddzielone, na to, żebyśmy mogli żyć razem. To jest warunek.

— Pała mnie te czeki... Weź, weź, weź.

Wyrywała kolejno kartki z książeczki i dawała je Harry'emu.

— Dobrze. Jeżeli sobie życzysz — Harry wziął je najpierw z niechęcią, potem z nagłą decyzją. — W Trinidad otworzę rachunek na twoje nazwisko w moim własnym banku

i kiedy wrócimy do Stanów, będziesz mogła podejmować. Mam nadzieję, że do tego czasu odzyskasz twoje wrodzone cnoty.

— Tak, Harry, tak. Teraz chcę być uległa, chcę, żebyś mi kupował wszystko, chcę cię prosić o pieniądze nawet na gabinet kosmetyczny. — Przesunęła ręką po włosach. — Muszę wyglądać jak czarownica, nie?

Harry ujął jej rękę i pocałował:

— Najdroższa Izabelo!

— Tak, Harry. Teraz przygotuj się, żeby wysiąść, i nie kłopotz się o mnie. Będę wypoczywała przez całe popołudnie.

Statek zmniejszał szybkość. Izabela poprawiła chusteczkę i węzeł krawata Harry'ego. Pobiegnęła do stolika i wyjęła paszport.

— Weź. Zapomniałeś o tym.

— Ach. Dziękuję.

Harry wyszedł z kabiny. Izabela w nocnej koszuli uklękła na łóżku naprzeciwko okrągłego okienka i stamtąd ujrzała przybliżające się doki Port of Spain. Statek przybijając do mola podnosił wokół siebie ogromne kwiaty żółtego błota. Głosy Murzynów chwytających liny, rzucone z „Rodezji”, i hałas trapu spadającego na molo pozostały po drugiej stronie szyby. Poza odgłosami pracy dokerów, tylko stare, długie magazyny portowe o zniszczonych murach i ciemnym wnętrzu. Zobaczyła schodzącego po trapie Harry'ego. Zastukała w szybę. Harry nie spojrzał w stronę

okienka. Zniknął w ciemnych drzwiach jednego z magazynów. Inne palce zastukały w drzwi kabiny, Izabela przykryła się i oparła głowę o poduszki.

— *Come in.**

Ukazał się długi nos Lovejoya, rozplływającego się w przeproszeniach. Wszedł, unizony, z celofanowym pudełkiem pod pachą i kopertą w bladych palcach. Złożył obydwie rzeczy na łóżku Izabeli i wyszedł, nie odwracając się, niby ambasador japoński. Izabela otworzyła wilgotne pudełko z perlistymi kropelkami wody po drugiej stronie przezroczystej pokrywki, pod którą spoczywała różowożółta orchidea. Rozdarła kopertę, z której wypadły na koldrę trzy czekki podróżne, kilka biletów pięciofuntowych i bilecik. Zamknęła oczy. Wreszcie odważyła się przeczytać:

*Dear Isabella: I love you. Will you ever believe it? * Jack.*

P.S. Kupiłem kwiaty za pani pieniądze. Mam nadzieję, że reszta jest O.K.

Bezczelny, lecz uwielbiający Panią J.

Mdłości podeszły znowu do gardła i utkwily tam, zanim rozplynęły się w jakąś lepka słodcz między zębami. Izabela nie odważyła się dotknąć ani orchidei, ani czeków, ani pienię-

Come in. (ang.) — Wejść!

Dear Isabella... (ang.) — Droga Izabelo. Kocham cię. Czy w to kiedykolwiek uwierzysz?

dzy. Przycisnęła do piersi bilecik i szepnęła z zamkniętymi oczami:

— „Kocham ciebie”. Podkreślone. „Czy uwierzysz w to kiedyś?” „Droga Izabelo”.

Ukryła twarz w poduszce i po kilku sekundach wyciągnęła rękę i po omacku poszukała celofanowego pudełka. Wreszcie zdołała namacać aksamitny puszek kwiatu i pogłaskać mięsiste płatki.

— Aj, Jack, boli mnie!

— Jaką zrobiła minę?

— Uczy się.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Łojku, gnojku, nienawidzę cię.

— Pozwól mi mówić, Jackie boy.

— Cały się w słuch zamieniam.

— Nie drgnął ani mięsień w jej twarzy.

— To wszystko, co masz do powiedzenia?

— Próbowałem podsłuchiwać za drzwiami. Tylko westchnęła.

— Masz za twoje usługi! Masz! Masz!

— Aj, nie, już dość, Jackie boy. Już nie! Chociaż tak. Jeszcze raz! Nie chowaj paska! Bij mnie, na wszystko, co najwięcej kochasz, na miłość Boską!

— Zmijo plugawa, czarny ichtiozaurze, włochata małpo, masz!

— Och, nie, Jack, już nic, powiedz, co mam dla ciebie zrobić...

— Na kolana, nędzniku, Lovejoy! Słyszysz gwizd z komina? Żegnaj, wyspo Trinidad! Nie zdajesz sobie sprawy, że podróż trwa nadal i wkrótce się skończy? Co zrobisz, kiedy się skończy?

— Nie wiem, Jack, ale gdybyś choć raz, jeden jedyny raz zechciał, oprócz tego wszystkiego...

— Nigdy, Lovejoy. Nigdy mnie takim nie zobaczysz. Wstań, przekłety pająku! Biegnij wplątać się w twoją pajęczynę!

— Och, Jackie, och!

Statek podniósł kotwicę w Port of Spain podczas obiadu i po deserze Harry zaprosił Izabelę na kawę do salonu na górnym pokładzie. Zajęli miejsca na głębokiej kanapie i uprzejmie skłaniali głowy na widok każdej wieczorowo ubranej pary, która, trzymając się pod rękę, spacerowała w oczekiwaniu na godzinę kina. Kapitan zatrzymał się, żeby się z nimi przywitać („Ach, nowożeńcy! Zadowoleni państwo z podróży? Kiedy zechcą państwo zajrzeć na mostek kapitański”), podobnie jak pastor anglikański („Żałuję, prawdziwie żałuję, że ominęła mnie sposobność połączenia was węzłem małżeńskim, ale ostatecznie wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi, czyż nie prawda? Ważna jest wiara, nie jej formy”), drugi mechanik („Statek musi się

państwu wydawać za mały, żeby pomieścić wasze szczęście, co? Ale kiedy będą państwo mieli ochotę, zejdziemy do maszynowni, żeby dać państwu pojęcie o jego rozmiarach"), organizator sportowy („Brakowało nam pana na rozgrywkach krykietowych, panie Beatle. Pani wyszła za najlepszego gracza na statku. Powiedziały kto, że jest Anglikiem. *No offense meant. I'm sure*"), para Amerykanów w średnim wieku („Nie mieliśmy jeszcze okazji powinszować państwu. To najbardziej romantyczne zdarzenie w czasie podróży. Wszyscy tak mówią”) i druga para Anglików w wieku podeszłym („Nie ma to jak podróż morska jako wypoczynek. Smutno nam wracać do kraju. Trzydzieści czworo wnuków”). Ale jedna tylko Kolumbijka, czarno ubrana i z podkrążonymi oczyma, zmusiła Izabellę do utkwienia wzroku w jednym ze stolików karcianych: o kilka metrów dalej Jack tasował, rozdawał, zbierał karty, wygrywał i przegrywał, nie przestając obserwować Izabelli.

— Powinnyśmy się częściej widywać, jesteśmy jedynymi przedstawicielkami Ameryki Łacińskiej na statku.

— Tak, bardzo mi będzie miło. Koniecznie.

— Oczywiście, rozumiem to. Pani mąż także jest przecież z Północy!

No offense... (ang.) — Oczywiście nie chciałbym nikogo urazić.

— W takim razie do zobaczenia wkrótce.

— Oczywiście. Kiedy tylko będzie pani miała ochotę.

— Co tak pilnie obserwujesz, Izabelo kochana? — zapytał Harry, kiedy Kolumbijka odeszła.

— Nic, Harry. Naprawdę. Patrzę na ludzi w salonie.

— Czy nie uważasz, że można spędzić naprawdę przyjemny wieczór na pokładzie statku?

— Tak, Harry.

— W takim razie czemu jesteś smutna?

— Nie, nie jestem smutna. Jestem spokojna, a to przecież nie to samo.

— Każda inna kobieta na twoim miejscu byłaby szczęśliwa.

— Tak, to właśnie chciałam powiedzieć. Być spokojnym, to być szczęśliwym, czyż nie?

— Jasne. Z dwoma mężczyznami. Wyobrażam sobie, że żadna inna kobieta na tym statku nie ma do dyspozycji aż dwóch mężczyzn.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Harry, bardzo cię proszę. Prosiłam cię, żebyśmy nie mówili o tym.

— Jesteś bardzo nieuważna. Bilecików miłosnych nie chowa się pod poduszkę.

— Harry!

— Och, mój Boże! „Bezczelny, lecz uwielbiający cię, J.”. Jesteś równie lekkomyślna, jak nieszczera, kochanie.

— Ależ ja nie...

— Tak, rozumiem. Nie masz powodu różnić się od innych kobiet. Teraz wiesz, że jestem zazdrosny, i będziesz próbowała mnie dręczyć.

Harry zaśmiał się nerwowo i z grymasem w twarzy. Izabela nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ale podniosła oczy z jakimś poczuciem złudnej siły.

— Nawet zmieniłaś makijaż i uczesanie, widzę to, widzę. Skąd te umalowane brwi i te wargi... Izabelo, mówię do ciebie.

I wyzywającym wzrokiem odparł intensywne spojrzenie Jacka. Młody blondyn nadal tasował karty w milczeniu.

Here, sir, Look here, daddy-o, Come sir, Penny, daddy: dzieci murzyńskie pływały z furją naokoło „Rodezji” i zanurzały się z głową, usiłując odzyskać monety rzucone w wodę przez pasażerów z pokładu. Kilka szalup z wiosłami kołysało się na falach w pobliżu grupy „młodych nurków, którzy wynurzali się z wody bez tchu, z nabiegłymi krwią oczyma i strumykami śliny, ciekącymi po brodzie. Wśród nich jedna tylko dziewczyna, piętnastoletnia Murzynka, smukła i bez piersi, krzychała głośniejsz od innych i nurkowała ukazując małe pośladki, potem wynurzała się z mo-

rza jak strzała, ubrana w stary, zielony kostium kąpielowy, i wrzeszczała z całych sił:

— *Look at me, daddy! Silver here, sir! Please!*

I czekała na monetę z błyskiem fascynacji w ogromnych, białych oczach, jakby ten cały trud nie był sposobem zarabiania na życie, lecz podniecającą grą i przyjemnością.

— *Gimmie, sir, ooh, daddy-oooooh...*

W zastygłym upale południa motorowe szalupy „Rodezji” przewoziły kolejno pasażerów, którzy chcieli wysiąść na ląd w Bridgetown. W dali na wybrzeżu Barbados budynki z czerwonego drzewa i czarne zarośla zacatón kontrastowały z białą wodą zagłębiającej się w bezbarwny piasek.

— Jutro będziemy na Barbados — powiedział Harry do Izabeli, gdy wrócili do kabiny i zaczęli się rozbierać. — To ostatni przystanek przed Miami. Z Miami polecimy samolotem do Nowego Jorku, a dalej pociągiem do Filadelfii. Chcę być kulturalny i pobłażliwy wobec ciebie. Rozumiem twoją rozterkę. Wbrew temu, co mówisz, nie wątpię, że ten biedaczyna zakochał się w tobie. Dla ciebie to wyjątkowa sytuacja. Tak dalece wyjątkowa, że więcej się nie powtórzy. Nigdy. Bo w moim domu czeka cię zupełnie inne życie. Takie samo zresztą, jakie, o ile mi wiadomo, prowadziłaś zawsze i do którego jesteś przyzwyczajona. Więc zlikwiduj tę sprawę, Izabelo.

Wysiądź sama w Bridgetown. Jeżeli chcesz, wstąp na kieliszek albo idź na spacer z twoim oryginalnym wielbicielem. Chcę ci dać ten dowód zaufania. Tak, upewniam cię. Chcę, żebyś zobaczyła tego człowieka na zimno, w świetle dziennym. Żebyś mogła się przekonać, że to tylko służący. Co więcej: żądam tego od ciebie. Chcę, żebyś straciła to złudzenie i żebyśmy znowu mogli żyć w spokoju.

W rzeczywistości, schodząc po drabince do szalupy i przebywając przestrzeń morza oddzielającą statek od mola, Izabela myślała tylko o wysłaniu kartek do ciotki Adelajdy i do Marilú, opisujących jej cudowne przeżycia. Ślub, miłość, nowa twarz, Izabela jako produkt rywalizacji dwóch mężczyzn. Raz po raz układała w myśli te kartki, które miały wywołać zazdrość, rozczarowanie, poczucie straconego autorytetu, nieuniknionej starości w obliczu odzyskanej młodości, uwięzionej nudy wobec swobodnego entuzjazmu. Jakie miny zrobią? — powtarzała sobie to pytanie Izabela z uśmiechem, który nie wpływał na nie dający się opanować niepokój i bicie serca.

— Zawsze, kiedy tu wysiadamy, Jack chodzi na plażę Accra — powiedział jej Lovejoy mrugając okiem i ściskając w dłoni banknot pięciofuntowy. — Tam woda jest jak czysty dżin, proszę pani, a Jack pokazuje się w sli-

pach i doprowadza do szaleństwa wszystkie babki.

Izabela wyciągnęła banknot nie dotykając ręki Lovejoya: była pewna, że jest wilgotna, lepka i zimna. Słowo „alfons”, ta obelga daleka i nie sprawdzona, drażniła swoją aktualnością jej podniebienie.

Ale teraz, na molo, orkiestry z intensywnym znużeniem wygrywały kalipso z wysp. Murzyni w białych spodniach i żółtych bluzach wprawnymi rękami walili w puste beczułki i metalowe pokrywki, z wypisanymi białą farbą numerami i napisami: „*Shut your mouth*”, „*Go away*”, „*Mama*”, „*Look-a Bubudad*”.

Wsiadła w taksówkę przy wyjściu z przystani i kazała się zawieźć na plażę Accra. Auto jechało brzegiem morza oddalając się od miasta, zostawiając za sobą odświętnie ubrane rodziny murzyńskie, wychodzące z kościoła, przedstawiciele pewnych podejrzanych przedsiębiorstw, oblegających turystów płci męskiej z propozycjami profanacji dnia Pańskiego, opalonych młodzieńców wchodzących i wychodzących ze sklepików portowych; Izabela oddalała się od wiktoriańskiej ohydy budynków malowanych na czerwono z wysokimi mansardami, z kurkiem na dachu lub sztuczną kopułą, z balkonami z kutego żelaza. Taksówka zatrzymała się przed hotelem malowanym na różowo. Izabela przeszła przez

salony na plażę. Trudno jej było iść na wysokich obcasach, a wiatr tarosił jej spódnice. Zdjęła pantofle i uczuła pod stopami rozżarzony piasek. Drugą ręką przytrzymała fałdy spódnicy i szła dalej w stronę wydmy piaszczystej. Zapomniała o pantoflach i fałdach spódnicy, żeby poszukać okularów przeciwsłonecznych w torebce, i mrugając oczyma porażonymi blaskiem słońca usiłowała dostrzec Jacka pośród mężczyzn wyciągniętych na piasku, twarzą lub plecami do słońca, grających w piłkę lub pluskających się w morzu. Słońce karaibskie było jak daleka cytryna rozpuszczona w ciepłych mgiełkach. Izabela przysłoniła ręką oczy i kilka razy obiegła spojrzeniem plażę. Wreszcie usiadła pod parasolem, czekając. W końcu zdrzemnęła się i przez sen zdała sobie sprawę ze swego wyczerpania nerwowego, ceny, jaką musiała zapłacić za podniecenie ostatnich dni. Drzemała nie przestając słuchać głosów i hałasów na plaży. Trzymała jakby otwarte jedno okienko we śnie, jakby odważyła się na próbę rozpoznania po omacku głosu, kroków lub zapachu potu Jacka. Otworzyła oczy z uczuciem głodu. Spojrzała na zegarek. Trzecia po południu. Wstała, wzięła pantofle i torebkę i poszła w stronę hotelu. Rozpoznała po drodze kilku pasażerów „Rodezji”. Charlie i Tommy także przeszli brzegiem morza, ociekając wodą

i śpiewając sprośne piosenki. Pomyślała, że znajdzie może Jacka w barze.

Usiadła sama, nieco oszołomiona blaskiem słonecznym, przy stoliku w osobnej przegródce. W barze było niewiele osób. Kilku mężczyzn, najwidoczniej funkcjonariuszy administracji wyspy, siedziało na wysokich stołkach przy barze. Izabela czuła się pewnie na swoim miejscu: zamówiła jerez nie spuszczać oczu i bez drżenia rąk. Za sobą, ponad ceglową ścianą przegródki, usłyszała głos pani Jenkins siedzącej w grupie pasażerów.

— ... jak Anglicy. Nie widziałam jeszcze nikogo ani nic, co by pochłaniało więcej alkoholu. Jeszcze jeden „Tom Collins”, żeby się zbliżyć do granicy olimpijskiej. *Oh, boy*, a potem znowu trzy lata w Fremont High School...

Kelner postawił przed Izabelą kieliszek jerezu. Meksykanka uśmiechnęła się i zamierzała wstać i podejść do pani Jenkins. Może będzie wiedziała coś o Jacku. Ale najpierw postanowiła wypić łyk wina.

— ... połowa chłopców kończy jako młodocieni przestępcy. Bardzo dobrze! Ja w ich wieku byłam bezczelną *flapper*. Ubierałam się jak Clara Bow i całe noce rozbijałam się w otwartym samochodzie...

Jerez lekko spłynął do żołądka i tam zapalił się przyjemnym, spokojnym ogniem. Izabela uśmiechała się. Głos pani Jenkins zagłuszał śmiechy przy sąsiednich stolikach.

— Ale najgorszy łobuz z Kalifornii jest niewinnym dzieckiem przy tych Anglikach. Pi-jacy, erotomani, żigolaki, co tylko może być najgorszego, i zawsze z tą uroczystą gębą, jakby za chwilę miała wejść Królowa i udekorować ich Orderem Podwiązki... Ach.

Izabela stłumiła śmiech i usłyszała celne splunięcie pani Jenkins ponad miedzianym drutem.

— *Charlie and Tommy just don't have any visible means of support.** Nie wiem, kto ich utrzymuje, kto opłaca te wędrówki od baru do baru, od morza do morza. A ten cham, Jack, jak on się urządza, żeby podróżować pierwszą klasą? Podobno wydaje swoje oszczędności z czasów, kiedy szorował klozety. Coś mi się tu nie podoba. I czemu się tak krył po krzakach w tym parku na Trinidadzie z tym typem, co się ubiera jak wielki szambelan dworu, mężem tej Meksykanki? Co też widzi ten pan Beatle, taki przystojniś, w takiej starej pannie bez żadnego wdzięku jak ta Mexi...

Izabela przytrzymała kieliszek jerezu obiema rękami. Ścisnęła go jakby w obawie, że, pod wpływem impulsu własnego, kieliszek rozbije się o marmur podłogi w czarne i białe kwadraty.

Charlie and Tommy... (ang.) — Charlie i Tommy nie mają żadnych jasno określonych środków utrzymania.

Weszła do kabiny drżąca i pełna naprężenia, dławiąc w gardle słowa, wykrzykując w milczeniu imię swego męża, szukając go w nieprawdopodobnych miejscach, w szafie ściennej, pod łóżkiem, w łazience, jakby przypuszczała, że Harry już się ukrył, żeby z nią nie rozmawiać. Usiadła przed lustrem nie patrząc. Włożyła palce do słoika z kremem i rozsmarowała go na brwiach i na ustach. Starła cały makijaż, włożyła okulary i rozpuściła włosy.

Czekała nieruchomo przed lustrem.

Wstała i wyszła na korytarz. Chłopcy okrętowi szorowali podłogi wyłożone linoleum i skrapiali je środkiem dezynfekcyjnym. Potknęła się o wiadro napełnione szarymi mydlinami. Lovejoy wysunął głowę z kabiny dla służby.

— Proszę mnie zaprowadzić do kabiny pana Jacka.

— Z przyjemnością, proszę pani, oczywiście.

Lovejoy skłonił się z wyciągniętą ręką. Na palcu wisiał pęk kluczy.

— Pani wybaczy, milady — mruknął służący, łysy i nosaty, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami, w szare i białe pasy. — Na postojach wykorzystujemy czas na sprzątanie, tak żeby nikomu nie przeszkadzać.

Chłopcy wylewali wiadra wody, szorowali szczotką podłogi, myli szmatami klozety. Izabela poszła na Lovejoyem na pokład B.

— Niech pani nie myśli źle o panu Jacku, Jego kabina nie jest taka, do jakich pani jest przyzwyczajona. Jest wewnętrzna, bez okienka. Biedak tyle oszczędzał!

Weszli w korytarz wąski i cichy, zamknięty w głębi drzwiami do kabiny.

Zatrzymali się przed tymi drzwiami i Lovejoy położył palec na ustach, wyjmując jednocześnie klucz z pęku, który trzymał.

Powoli otworzył drzwi, uśmiechając się. Izabela stanęła na progu. Lovejoy usunął się na bok i natychmiast stanął za Izabelą, zaglądając ponad jej ramieniem w głąb kabiny, ledwie oświetlonej lampką nocną, której blask rysował i zdawał się uwydatniać dwie nagie sylwetki leżące na łóżku, uśpione, splecione w uścisku ramion, znużone, jasnowłose. Izabela patrzyła na wyraźnie zarysowany profil dwóch mężczyzn, którzy spali spokojnie, jeden naprzeciw drugiego. Lovejoy zatkał sobie usta ręką i jego śmieшек nie zakłócił snu kochanków. Cichutko zamknął drzwi z powrotem.

Ktoś jej powiedział, że dziób jest najcichszym miejscem na statku. Ale żeby tam dotrzeć, trzeba było zejść z trzech pokładów, do pomieszczeń przeznaczonych dla załogi. Może prowadziły ją tu zapachy. Tak jak z początku, statek stał się na nowo tym prymityw-

nym wrażeniem węchowym: z dala od środka dezynfekcyjnego i mydlin, z dala od kretonowych zasłon i puszystych dywanów, z dala od białej farby i basenu z wodą morską w stronę tych aromatów kuchennych sfermentowanego sera i suszonego mięsa, w stronę tych otwartych kabin pachnących brudną bielizną, wilgotnymi prześcieradłami. Po drodze mijala chłopców z załogi ukazujących twarze pobielane kremem do golenia, spocone pachy, tatuowane ramiona. „Rodezja” płynąc pełną parą szukała oddechu Atlantyku. Izabela nie patrząc przeszła obok Hindusów, którzy siedzieli na pokładzie smaganym wiatrem, z twarzami koloru popiołu, bosych, w rozwiązanych turbanach, w szerokich spodniach z jedwabnymi wypustkami, grali w kości i rozmawiali sepleniącym głosem. Kilka brodatych twarzy uniosło się, żeby na nią spojrzeć, kilkoro oczu barwy węgla zamrugało. Cała ta utajona załoga, nigdy nie widywana na pokładach dla pasażerów, śmiała się hałaśliwie, wyszczerzając zęby żółtkie od nikotyny. Izabela weszła na schodki prowadzące na dziób, najwyżej położony koniec statku. Hałasy i zapachy zostały za nią. Izabela stanęła przy zardzewiałej poręczy obejmując ją dwiema rękami. Oddech statku, podobnie jak oddech morza kołyszącego do snu, wydawał się tu głębszy. Dziób podnosił się i opadał w powolnym, milczącym rytmie. Pośród masywnych warkoczy kotwi-

cy ukazywała się cząstka morza błękitnego o zmierzchu. Izabela nie puszczała poręczy. Ocean był sercem bijącym bez przerwy, zwierciadłem bez światła, nad którym pochylała się Izabela, obszerną reprodukcją fałszywych kolorów nieba, ruchliwą i zmienną rzeźnią, w której żadne oko ludzkie nie mogło dopatrzeć się swego odbicia. Puściła poręcz i patrzyła na swoje dłonie poplamione rdzą i sadzą. Upadła na klęczki, ze ściśniętymi ramionami, dotykając podbródkiem kolan, czując znowu smak soli na nie umalowanych wargach i pieszczotę wiatru we włosach uczesanych według gustu bryzy. Atlantyk otwierał się przed nią i zapraszał.

Billy Higgins widział ją przechodzącą w kierunku dziobu. Stary ochmistrz wykorzystywał te godziny zachodzącego słońca na opalanie i odpoczywał rozciągnięty na płóciennym leżaku, z krótkim cygarem (nabytym na Trinidadzie) między zębami i z obnażonym torsem, na którym pośród kepek siwych włosów wytatuowane było imię Gwendolyn Brophy. Zobaczył ją i zadał sobie pytanie, co też robi pani Beatle w tym sektorze zarezerwowanym dla załogi. Zauważył powolny, roztargniony krok i smutne spojrzenie Izabeli. Pomyślał o Jacku i przypomniał sobie własną pogróżkę pod jego adresem. Westchnął i podniósł le-

żącą na obnażonym brzuchu powieść Maxa Branda. Uznał, że byłoby wścibstwem zbliżyć się w tej chwili do tej pani, i pogrążył się w dalszej lekturze, spokojnie paląc cygaro. Skończywszy rozdział zerknął w stronę dziobu. Ostatecznie ktoś, jeśli nie on, przyjął napiwek od pana Harrisona Beatle za wyznaczenie mu miejsca przy stoliku 23. Zaniepokojony odłożył książkę na bok i podniósł się z leżaka.

— Uspokój się, Harry. Jeszcze trzy dni i będziemy w Miami.

— Nudzi mnie już ta komedia.

— Daj spokój. Gorsze te trudności z widywaniem się. Miałeś doskonały pomysł z tym, żeby ją wysłać samą na Barbados.

— Wyobrażasz sobie, Jack? Widzę już, jak szuka cię na plaży, w okularach, pełna złudzeń...

— Więcej wyrozumiałości, kochanie. Dzięki losowi za to, co nam przyniósł, i nie żądaj cudów!

— Osiem tysięcy pięćset dolarów. Łatwo powiedzieć. Możemy żyć jak książęta przez trzy albo cztery miesiące i nie wracać do pracy. Wynajmiemy mieszkanie w Nowym Jorku, co wieczór będziemy wychodzić, przyjmować przyjaciół.

— Jasne, Harry. W Miami wysiadamy na

ład, a w kilka godzin później uśmiechną się do nas światła Broadwayu. A potem?

— Jak odpoczniemy, to pomyślimy. Te rzeczy trzeba planować z idealną dokładnością. Już pięć lat pracuję w tym zawodzie. Ale nie zawsze ma się tyle szczęścia.

— *It's breeding that does it, Harry* *. Z twoim wykształceniem mógłbyś oszukać samego lorda Astora. I to wszystko, czego mnie nauczyłeś: *sommelier*, „Dom Pérignon”, wszystkie te wykwintności. Nigdy ci się nie zdołam odwdziaczyć, wierz mi, Harry. *You're a real cool.**

— Ciekawe. Jedyne, czego się bałem, to żeby nie zajrzała do paszportu i nie zobaczyła, że ją okłamałem co do mego wieku. Jedyne raz, kiedy mi zabiło serce, to wtedy, kiedy mi podała swój paszport przed zejściem na Trinidad. Myślałem, że rozmyśli się co do rachunku. Zabawne, czego też człowiek musi się bać.

— A w kościele się nie bałeś?

— Jestem adwentystą Siódmego Dnia i nigdy się nie żenię z kobietą mojej religii.

— Tak ci się lepiej podoba?

— Nikt mi się nie podoba lepiej niż ty. Od chwili, kiedy cię zobaczyłem w tym pubie zeszłej wiosny, pamiętasz?

It's breeding... (ang.) — To zasługa twego starannego wychowania, Harry.

You are... (ang.) — Jesteś prawdziwym asem.

— No więc teraz możesz sobie powetować tyle nocy poświęcenia.

— Nie wiedziałem, że Meksykanki są takie swawolne. W każdym razie żal mi biedaczki. Już zacząłem przywiązywać się do niej, jak do starej ciotki. Pomyśleć, że przez trzy dni jeszcze trzeba grać tę komedię! Brrr!

— Teraz nie myśl o tym. Chodź, Harry, chodź.

— A tutaj wąż morski zwija się w pierścienie...

SPIS RZECZY

Dwie Eleny	7
Królowa lalek	25
Tego chciał los	53
Moralność dawnych czasów .	77
Koszty życia	104
Czysta dusza	121
Wąż morski	151